

Cena zł

KALENDARZ KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ

NA ROK PAŃSKI

1938



ROCZNIK CZTERNASTY

WYDAWNICTWO I DRUK ZAKŁADU WYCHOWAWCZEGO
TOW. SW. MICHAŁA ARCHANIOŁA W MIEJSCU PIASTOWYM

Or-Ot.

Na Nowy Rok.

Bije na wieży złoty dzwon,
Na obszar świata bije —
Staremu światu wróży zgon,
A wieści: — Nowy żyje.
Idzie rok nowy z górnych dróg,
A co przynosi — wie to Bóg.

W przędzy z łez ludzkich, z kiru
[z krwi
Nić się wysnuwa złota,
Od wieków lepsze świata dni
Wymarza dusz tęsknota.
I z każdym rokiem śni, że już
Wschodzą promienie owych zórz.

Ta baśń o szczęściu idzie wciąż
Po drogach cierniem krytych,
A przed nią chytry złości wąż,
A za nią stos zabitych.
Zmaga się wiecznie noc ze dniem
A wizja szczęścia ciągle snem.

Choć się nie ziścisz cudny śnie
Serc umęczonych wiarą,
Wyskrzydlaj ducha, co się rwie
Nad łez doliną szarą.
I Chrystusowy dźwiga krzyż
I przez męczeństwo idzie wzwyż.

Niech wali twardy bólów młot,
Niech z męki kuję zorzę.
Zali kto wstrzyma orłów lot,
Zali zadzierży morze?
Nad wszech żywiołów krzepkich
[ruch
Mocniejszy żywioł — wolny duch.

Ten duch zwycięży! szczęścia baśń
Prawdą się wtedy stanie,
Miłość zwycięży starą waśń
I przyjdzie wszechzbratanie
Jedno mieć będzie hasło świat:
Każdy człowiek to mój brat.





Stanisław Wyspiański.

Niepokalana Królowa

(Z „LEGIONU“)

Niepokalana Królowa,
bądź pochwalona, bądź zdrowa!
W błękitach, w gwiazd zawierusze
królujesz, Pani słoneczna,
Niepokalana, Ty wieczna.

Królujesz, Pani słoneczna,
w odmętach, w gwiazd zawierusze,
po smokach stąpasz bezpieczna,
Niepokalana, Ty wieczna,
Królowo polska... przez Syna
Oto wybiła godzina —
zbaw duszę!...

Królowo, Pani słoneczna,
po smokach stąpasz bezpieczna
w odmętach, w gwiazd zawierusze,
Niepokalana, Ty wieczna...

STYCZEŃ

Dnia		Rzymsko-kat.	Grecko-kat
1	S	Nowy Rok	19 Hrudeń 1937
1.		Ewang. u św. Łuk. 2, 21: O imieniu Jezus.	
2	N	Makarego	20 Ihnatyja
3	P	Genowefy	21 Julianny
4	W	Eugeniusza	22 Anastazji m.
5	S	Telesfora	23 10Mucz.wK
6	C	Trzech Króli	24 Jewhenii †
7	P	Walentego	25 Rożd. Chr.
8	S	Seweryna	26 Sob. Pr. B.
2.		Ewang. u św. Łuk. 2, 42—52: Znalezienie P. Jezusa w świątyni.	
9	N	Juliana	27 Stefana m.
10	P	Pawła pust.	28 2000 M. wN.
11	W	Honoraty	29 SS Mład.
12	S	Arkadiusza	30 Anyzji m.
13	C	Hilarego b.	31 Melanii m.
14	P	Feliksa z N.	1 Siczeń 1938
15	S	Maura op.	2 Sylwestra
3.		Ewang. u św. Jana 2, 1—11: Cud w Kanie Galilejskiej.	
16	N	Marcelego	3 Małachyja
17	P	Antoniego	4 Sobor. 70 A.
18	W	Pryski p.	5 Nawecz.B.†
19	S	Henryka	6 Boh. Hosp.
20	C	Fabiana i Seb.	7 S. św. Joana
21	P	Agnieszki	8 Heorhija
22	S	Wincentego	9 Połyjewkta
4.		Ewang. u św. Mat. 8, 1—13: Uzdrow. trędow. i sługi setnika.	
23	N	Zaśl. NMP.	10 Hryhoryja
24	P	Tymoteusza	11 Teodozyja
25	W	Naw. ś. Pawła	12 Tatiany m.
26	S	Pauliny	13 Ermyła
27	C	Jana Złotoust.	14 SS.Otec.wS
28	P	Karola W.	15 Pawła
29	S	Franciszka	16 Wer.ś.Petra
5.		Ewang. u św. Mat. 8, 23—27: Uciszenie burzy na morzu.	
30	N	Martyny p.	17 Antonija
31	P	Piotra z Nol	18 Atanazyja

Co się dzieje w przyrodzie?

Przyroda w styczniu pogrążona jest jeszcze w śnie zimowym. — Wolno polować na niedźwiedzie, rysie, wilki, lisy, dziki-maciory, zające (do 15), kuny, gronostaje, wydry, kaczki, cietrzewie-koguty, oraz wszelkie drapieżniki. — Na niebie Merkury widoczny rano godzinę, Wenus wieczorem do północy, Mars — rano 2 godziny, — Saturn wieczorem 3 godziny.

Przepowiednia pogody na styczeń:

Po pogodnym początku miesiąca około 9-go rozpoczynają się silne opady śnieżne. Druga połowa miesiąca początkowo mroźna. Około 23-go odwilż, deszcz ze śniegiem. W końcu miesiąca wypogodzenie i mróz.

Przysłowia:

Nowy Rok pogodny, zbiór będzie dogodny.

Kiedy styczeń najostrzejszy, wtedy roczek najpłodniejszy.

Styczeń każe do kożucha trunkiem nie obciążać brzucha, krwi nie puszczać, pieprzno jadać, w ciepłej łaźni wolno siadać.

Trzej królowie pod szopę, przybyło dnia na kurzą stopę.

Agnieszka łaskawa puszcza skowronka z rękawa.

Kto się w styczniu rodzi, temu gadzina nie szkodzi.

Na świętego Ludwika, na grudzie koń utyka.

Kiedy w styczniu rośnie trawa, licha w lato jest postawa.

ZAPISKI

L U T Y

Dnia		Rzymsko-kat.	Grecko-kat.
1	W	Ignacego b.	19 Makaryja
2	S	NPM. Gromn.	20 Ewtymyja
3	C	Błażeja b.	21 Maksyma pr
4	P	Weroniki	22 Tymotej. ap.
5	S	Agaty p.	23 Kłymentia
6.		Ewang. u św. Mat. 8, 24—30: Przypowieść o kąkolu.	
6	N	Doroty p.	24 Kseni pr.
7	P	Romualda	25 Hryhoryja
8	W	Jana z Malt.	26 Ksenofonta
9	S	Apolonii	27 Per. ś. Joana
10	C	Scholastyki	28 Jefrema pr.
11	P	Łucjana	29 Ihnatyja
12	S	Eulalii	30 Troch Św.
7.		Ewang. u św. Mat. 20, 1—16: O robotnikach w winnicy.	
13	N	Katarzyny	31 Kyra i Joan
14	P	Walentego	1 Lut. Tryfon.
15	W	Faustyna m.	2 Strit Hosp
16	S	Julianny p.	3 Symeona
17	C	Aleksego	4 Izydora
18	P	Flawiana	5 Ahafii
19	S	Konrada	6 Wukoła
8.		Ewang. u św. Łuk. 8, 4—15: O siewcy na roli.	
20	N	Nicefora	7 Parftenija
21	P	Eleonory	8 Teodora
22	W	Kat. ś. Piotra	9 Nykifora
23	S	Romany	10 Charłampyja
24	C	Macieja ap.	11 Własyja
25	P	Wiktora	12 Mełetyja
26	S	Aleksandra	13 Martyniana
9.		Ewang u św. Łuk. 18, 31—43: Uzdrowienie ślepego.	
27	N	Anastazji	14 Awksentyja
28	P	Romana wyzn.	15 Onysyma

Co się dzieje w przyrodzie?

Kwitną niekiedy w ciepłe dni: leszczyna, olsze, przebiśniegi i śnieżyczki. — Przylatują szpaki, dzikie kaczki (także w marcu), skowronki polne, dzwonki borowe, (lerka), gołębie siniaki, czajki właściwe. Młode wyprowadza krzyżodziób. Wolno polować na niedźwiedzie, dziki-maciory, rysie, wilki, lisy, kuny, gronostaje, wydry, cietrzewie-koguty, kaczki oraz wszelkie drapieżniki. — Na niebie: wieczorem znaleźć można Saturna, rano Merkurego, Marsa, Wenusa.

Przepowiednia pogody na luty:

Pierwsza połowa miesiąca pogodna i mroźna — około 14-go rozpoczyna się pogoda wietrzna, która przechodzi w ostatnim tygodniu miesiąca w śnieżyce.

Przysłowia:

Czasem luty ostro kuty, czasem w luty same pluty.

Czasem luty się zlituje, że człek niby wiosnę czuje; ale czasem tak się zżyma, że człek prawie nie wytrzyma.

Gdy mróz w lutym ostro trzyma, tedy jest niedługa zima.

Gdy na Gromnicę roztaje, rzadkie będą urodzaje.

Gdy św. Maciej lodu nie stopi, długo jeszcze w ręce chuchać będą chłopi.

Na dzień św. Doroty ma być śnieg pod płoty.

ZAPISKI

MARZEC

Dnia		Rzymsko-kat.	Grecko-kat.
1	W	Albina bisk.	16 Pamfyła
2	S	† Popielec	17 Teodora
3	C	Kunegundy	18 Lwa pap.
4	P	Kazimierza	19 Archipa ap.
5	S	Fryderyka	20 Lwa ep.
10.		Ewang. u św. Mat. 4. 1—11: Kuszenie P. Jezusa.	
6	N	Kolety p.	21 Tymofteja
7	P	Tomasza z A.	22 SS. M. w E.
8	W	Jana B. B.	23 Połykarpa
9	S	*Such.* Franc.	24 Obr. hł. Joan.
10	C	Cypriana	25 Tarasyja
11	P	*Such.* Konst.	26 Porfiryja
12	S	*Such.* Grzegorz.	27 Prokopa
11.		Ewang. u św. Mat. 17, 1—9: Przemienienie P. Jezusa.	
13	N	Krystyny	28 Wasyłyja
14	P	Matyldy	1 Berez. Jew.
15	W	Longina	2 Teodota
16	S	Lubina	3 Jewtropyja
17	C	Gertrudy wd.	4 Harasyma
18	P	Edwarda	5 Konona
19	S	Józefa Obl.	6 42 M. w A.
12.		Ewang. u św. Łuk. 11, 14—28: P. Jezus wypędza czarta.	
20	N	Joachima	7 Wasyłyja
21	P	Benedykta	8 Teofyłakta
22	W	Bogusława	9 40 M. w S.
23	S	Wiktoriana	10 Kondrata
24	C	Gabriela	11 Sofronija
25	P	Zwiast. NMP.	12 Teofana
26	S	Emanuela	13 Nykifora
13.		Ewang. u św. Jana 6, 1—15: Nakarmienie 5000 ludzi.	
27	N	Lidii, Ruperta	14 Wenedykta
28	P	Sykstusa pap.	15 Ahapia
29	W	Cyryla, Eust.	16 Sawyna
30	S	Kwiryna	17 Ałeksyja
31	C	Balbiny	18 Kiryła

Co się dzieje w przyrodzie?

Zakwitają te drzewa i krzewy, które rozwijają swe kwiaty przed rozwojem liści, jak leszczyna, olsza, dereń, poza tym kwitną przebiśniegi, podbiały, złoć, przylaszczka; w ogrodach kwitną ciemierniki. — Przylatują gajówka, radzik (raszka), gajówka ogrodowa (pieszka), kos (w kwietniu), zięba, skowronek, pliszka biała, drozd śpiewak, kaczka cyranka, kania rdzawa, gołąb grzywacz, słonka bekas, kulig wielki, żóraw pospolity. Wolno polować na (jak w lutym) kaczory, głuszcze-koguty, cietrzewie-koguty, słonki.

Przepowiednia pogody na marzec:

W pierwszym tygodniu miesiąca pogoda łagodna. Od 9-go do końca miesiąca na przemian deszcze ze śniegiem i deszcze przy pogodzie wietrznej.

Przysłowia:

Co marzec wypiecze, to kwiecień wyciecze.

Kiedy starzec chory w marzec, będzie zdrów, lecz gdy baba w maju słaba, pacierz zmów.

Marzec dziwnie broi fochy, zmiata starce i junochy.

Suchy marzec, mokry maj, będzie żyto gdyby gaj.

Suchy marzec, maj niechłodny, kwiecień mokry, rok niegłodny.

Gdy na św. Józef bociek przybędzie, to już śniegu nie będzie

Św. Józef kiwnie brodą, idzie zima na dół z wodą.

ZAPISKI

KWIECIEŃ

Dnia		Rzymsko-kat.	Grecko-kat.
1	P	Hugona b.	19 Chryzanfta
2	S	Franciszka	20 Prep. Oteć
14.		Ewang. u św. Jana 8, 46—59: Żydzi chcą ukamien. P. Jezusa.	
3	N	**Ryszarda**	21 **Jakowa pr.**
4	P	Izydora	22 Wasyłyja
5	W	Wincentego	23 Nikona
6	S	Celestyna	24 Zacharii pr.
7	C	Hermana	25 **Błah. Pr. B.**
8	P	Dionizego	26 Hawryła
9	S	Marii Egip.	27 Matrony
15.		Ewang. u św. Mat. 21, 1—9: Wjazd tryumfalny do Jerozolimy.	
10	N	**Ezechiela pr.**	28 **Ilariona**
11	P	Leona	29 Marka
12	W	Juliusza p.	30 Joana
13	S	Justyny p.	31 Ipatyja
14	C	Wiecz. P.	1 Kwit. Marii
15	P	Wielki Piątek	2 Tyta
16	S	Wielka Sobota	3 Nykity
16.		Ewang. u św. Marka 16, 1—7: Zmartwychwstanie P. Jezusa.	
17	N	**Wielkanoc**	4 **Josyfa pr.**
18	P	**Pon. Wielk.**	5 Teoduła
19	W	Emmy wd.	6 Jewtychyja
20	S	Agnieszki	7 Hryhoryja
21	C	Anzelma b.	8 Czetwer W.
22	P	Sotera i K.	9 **Piatok Weł.**
23	S	Wojciecha	10 Subota Weł.
17.		Ewang. u św. Jana 20, 19—31: O niewiernym Tomaszu.	
24	N	**Jerzego**	11 **Woskr. H.**
25	P	Marka ew.	12 **Pon. Wosk.**
26	W	Kleta, Bazyl.	13 **Wtorok W.**
27	S	Zyty	14 Martyna
28	C	Pawła od Krz.	15 Aristarcha
29	P	Piotra m.	16 Ahafii
30	S	KatarzynyS.	17 Symeona

Co się dzieje w przyrodzie?

Zakwitają z drzew wierzby, wiązy, jesiony, klony, topole, osika, niekiedy tarnina, a w lasach liściastych śledzienice, przełaszczki, zawilce, płucnice, pierwiosnki, piżmaczki, fiołki, wilcze łyko, jaskier, pszonka, sasanka, mniszek, na łąkach kwitną kaczeńce. Przylatują: podróżniczek (gajówka), słowik rdzawy, pokląskwa, białożytka, świstówka, kraska, pliszka żółta, świergotek łąkowy, pokrzewka, trzciniak, drozdówka, muchołówka, jaskółka, lelek (kozodój), dudek, kopciuszek, pleszka, drozd, kos, pustułka zwyczajna, bocian, (także w marcu), czapla siwa, rybołów, orlik krzykliwy, kulczuk, turkawka, rybitewka zwyczajna, bojownik (batalion), brodziec piskliwy, bąk większy, siewka rzeczna, kokoszka wodna, przepiórka (także w maju), ertolan.

Przepow. pogody na kwiecień:

Po krótkim wypogodzeniu z początkiem miesiąca, od 7-go pogoda zmienna, wietrzno, od 22-go deszcze.

Przysłowia:

Kwiecień — plecień, bo plecie niby zimą, niby latem, a przeplata wszystko kwiatem.

Grzmot w kwietniu dobra nowina, już szron roślin nie pościna.

Kiedy w kwietniu słońce grzeje, tedy gbur nie zubożeje.

ZAPISKI

MAJ

Dnia		Rzymsko-kat.	Grecko-kat.
18.		Ewang. u św. Jana 10, 11—16: O dobrym pasterzu.	
1	N	Filipa, Jakuba	18 Joana
2	P	Zygmunta kr.	19 Joana pr.
3	W	Konst. 3 Maja	20 Teodora
4	S	Floriana	21 Januaria
5	C	Piusa V p.	22 Teodora
6	P	Jana w Ol.	23 Heorhija
7	S	Domiceli	24 Sawy
19.		Ewang. u św. Jana 16, 16—22: Maluczko a nie ujrzycie mnie.	
8	N	Stanisława	25 Marka
9	P	Grzegorza	26 Wasyłyja
10	W	Izydora Or.	27 Symeona
11	S	Adolfa	28 Jasona ap.
12	C	Pankracego	29 9 Mucz.wK.
13	P	Serwacego	30 Jakowa ap
14	S	Bonifacego	1 Maj. Jeremii
20.		Ewang u św. Jana 16, 5—14: O odejściu do Ojca.	
15	N	Zofii z córk.	2 Atanazyja
16	P	Jana Nepom.	3 Teodozyja
17	W	Paschalisa	4 Pełahii
18	S	Feliksa	5 Iryny m.
19	C	Iwona	6 Jowa pr.
20	P	Bernarda	7 Jawł.cz Chr.
21	S	Heleny kr.	8 Joana Boh
21.		Ewang. u św. Jana 16, 23—30. O modlitwie.	
22	N	Julii	9 Nykołaja
23	P	Dezyd. d. k.	10 Symeon. ap.
24	W	Joanny dn. k.	11 Mokyja
25	S	Urbana dn. k.	12 Jepyfanyja
26	C	Wniebow. P.	13 Hłykerii m.
27	P	Jana p	14 Izydora
28	S	Wilhelma	15 Pachomyja
22.		Ew. u św. Jana 15, 26—7; 16, 1—4: Przepow. o prześladow. Kościoła.	
29	N	Maksymil.	16 Teodora
30	P	Feliksa	17 Andronika
31	W	Anieli, Petr.	18 Teodota

Co się dzieje w przyrodzie?

Zakwitają w pierwszej połowie drzewa i krzewy, których kwiaty rozwijają się równocześnie lub prawie równocześnie z rozwojem pierwszych liści, a więc dęby, buki, brzozy, porzeczki, czereśnie, wiśnie, grusze, jabłonie, czeremchy, tarniny; w połowie maja zakwitają wreszcie te drzewa i krzewy, na których kwiaty pojawiają się dopiero po rozwoju pierwszych liści, jak bezlilak, kasztanowce, głogi, jarzębina; w lasach kwitną borówki, czarne jagody, konwalie i wiele innych, a w ogrodach narcyzy, goździki, pełniki, floksy, tulipany. — Przylatują: wilga, dzierzba, (czernikręt, czarnoczelna), gąsiorek, kukułka, jerzyk, chróściel, derkacz, sokół, kobuz.

Przepowiednia pogody na maj:

Po zmiennej początkowo pogodzie, od 6-go pogoda ustala się. W połowie miesiąca krótkotrwałe opady potem stopniowo następują przejaśnienia. Koniec miesiąca pogodny.

Przysłowia:

Deszczyk majowy i łzy panny młodej nie długo trwałe.

Grzmot w maju sprzyja urodzaju.

Pierwszy maja poranek, jest tęskliwym dla kochanek.

Chłodny maj, dobry urodzaj.

Wody w maju stojące, szkodę przynoszą łące.

Na Magdaleny pogoda, to dla pszczółek wygoda; gdy zaś słota — to lichota.

Kto sieje jęczmień na Urbana, będzie pił piwo z dzbana.

ZAPISKI

CZERWIEC

Dnia		Rzymsko-kat.	Grecko-kat.
1	S	Nikodema m.	19 Patrykia
2	C	Marceliny	20 Wozn.Hosp.
3	P	Erazma b.	21 Konstantyn
4	S	Franciszka †	22 Wasyłyska

23. Ewang. u św. Jana 14, 23 31: Zesłanie Ducha Św.

5	N	Zielone Sw.	23 Mychajła
6	P	Pon. Ziel.	24 Symeona
7	W	Roberta	25 Ob.hł ś Joan.
8	S	*Such.* Medarda	26 Karpa ap.
9	C	Felicjana	27 Teraponta
10	P	*Such.* Małgorz.	28 Mykity pr.
11	S	*Such.* Barnaby	29 Teodozji

24. Ewang. u św. Mat. 28, 12—20: Dana mi jest wszelka władza.

12	N	Onufrego	30 S. ś Ducha
13	P	Antoniego	31 Pr. Trójcy
14	W	Bazylego	1 Czerw.Just.
15	S	Wita i Mod.	2 Nykifora
16	C	Boże Ciało	3 Łukyjana
17	P	Adolfa b.	4 Mytrofana
18	S	Marka	5 Doroteja

25. Ewang. u św. Łuk. 14, 16—24: Wezwanie na ucztę.

19	N	Gerwazego	6 Wysariona
20	P	Reginy	7 Teodota
21	W	Alojzego	8 Teodora
22	S	Paulina bisk.	9 Kyryła
23	C	Wandy, Zen.	10 Pr. Euchar.
24	P	Jana Chrz.	11 Wartołom.
25	S	Jakuba Str.	12 Onufryja

26. Ewang u św. Łuk. 15, 1—10: O zgubionej owcy.

26	N	Jana i Pawła	13 Tiło Christ.
27	P	Władysława	14 Ełyseja pr.
28	W	Leona pap.	15 Amoza
29	S	Piotra i Pawła	16 Tychona
30	C	Emilii	17 Manuiła

Co się dzieje w przyrodzie?

Zakwitają: akacje, zboża, maliny, wino, róże, a pod koniec miesiąca zaczynają kwitnąć lipy; wśród zbóż kwitną maki, ostrożki, kąkole; w ogrodach tojady, liljowce, tulipany, kosaćce, bratki. Dojrzewają: czereśnie, wiśnie, truskawki, poziomki. Jaja składają: padalec, jaszczurki, zwinka zielona, rodzi jaszczurka żyworodka; (żaba wodna, kumki, żaba zielona, żółw składają jaja zwykle w maju).

Przepowiednia pogody na czerwiec:

Od początku miesiąca do 13-go stopniowe ocieplenie, drugi tydzień miesiąca ciepły. Następnie padają deszcze, pogoda zmienna trwa prawie do końca miesiąca. W ostatnich dniach mies. pogoda powoli ustala się.

Przysłowia:

Czerwiec po deszczowym maju, często dżdżysty w naszym kraju.

Czerwiec temu się zieleni, kto do pracy się nie leni.

Mokry czerwiec, chłodny maj — wszystkim gburom prawy raj.

Od świętego Medarda czterdzieści dni szarga.

Czerwiec stały, grudzień doskonały.

Gdy się św. Jan rozczuli, to go dopiero Najświętsza Panna utuli.

Na święty Antoni, pierwsza się jagódka zapłoni.

Jaki dzień w Boże Ciało, takich dni nie będzie mało.

Pogoda na Nikodema, cztery niedziel deszczów nie ma.

ZAPISKI

L I P I E C

Dnia		Rzymsko-kat.	Grecko-kat.
1	P	Teobalda op.	18 Pr. S. Isusa
2	S	Naw. NMP.	19. Łeontija
27.		Ewang u św. Łuk. 5, 1—11: Obfity połów ryb.	
3	N	**Alfreda**	20 **Metodyja**
4	P	Józefa Kal.	21 Juljana
5	W	Filomeny	22 Jewsewyja
6	S	Izajasza	23 Ahrypiny
7	C	Cyryla i Met.	24 R. ś. Joana
8	P	Elżbiety kr.	25 Fewronii
9	S	Luizy	26 Dawyda
28.		Ewang. u św. Mat. 5, 20—24: O obłudzie faryzeuszów.	
10	N	**Amalii**	27 **Samsona**
11	P	Olgi, Pelagii	28 Kyra i Joan.
12	W	Jana Gwalb.	29 Petra i P.
13	S	Małgorzaty	30 Sob 12 Ap.
14	C	Bonawentury	1 Łypeń.K.iD.
15	P	Henryka	2 Poł. R. Boh
16	S	NMP. Szkapl.	3 Jakynta
29.		Ewang. u św. Marka 8, 1—3: Nakarmienie 4000 ludzi.	
17	N	**Aleksego**	4 **Andreja**
18	P	Szymona z L.	5 Kyryła i M.
19	W	Wincentego	6 Atanazyja
20	S	Czesława	7 Tomy pr.
21	C	Praksedy	8 Prokopyja
22	P	Marii Magd.	9 Pankratyja
23	S	Apolinarego	10 Antonija
30.		Ewang. u św. Mat. 12, 15—22: O fałszywych prorokach.	
24	N	**Krystyny**	11 **Ewfemii**
25	P	Jakuba ap.	12 Prokła
26	W	Anny M. NMP	13 S. Ar. Haw.
27	S	Natalii	14 Akyły
28	C	Innocentego	15 Wołodymyr.
29	P	Marty, Flory	16 Atynogena
30	S	Abdona	17 Maryny
31.		Ewang. u św. Łuk. 18, 1—9: O niesprawiedliwym włodarzu	
31	N	Ignacego L.	18 Jakynta

Co się dzieje w przyrodzie?

Kwitną w pełni: lipy, w polach uprawnych hreczki. — Dojrzewają: zboża, zwłaszcza żyta, pszenice, jęczmiona, z końcem miesiąca i owsy, w lasach borówki, grzyby, w sadach wcześniejsze owoce. — Wiele ptaków wywodzi swoje młode pokolenia. — Temperatura osiąga zazwyczaj swoją najwyższą ciepłotę.

Przepowiednia pogody na lipiec:

Do 12-go pogodnie i ciepło. Następuje okres deszczów, potem pogody zmiennej i dopiero pod koniec miesiąca jest pogodnie i gorąco.

Przysłowia:

Czego lipiec i sierpień nie dowarzy, tego wrzesień nie usmaży.

W lipcu gniewne ziele, jak się rozgniewa, to się gniewa cztery niedziele.

Od lip ciągnie wonny lipiec, nie daj słonku kłosa przypiec.

Jaki Jakub do południa, taka też zima do grudnia; jaki Jakub po południu, taka też zima po grudniu.

Deszcz na Nawiedzenie Panny potrwa pewnie do Zuzanny.

Na świętego Prokopa szykuj plecy do snopa. Źle na Prokopa, jak zmoknie kopa.

W lipcu kłos się korzy, że niesie dar Boży; który prosto stoi, dobrego się boi.

Siedmiu braci przepowiada, ile tygodni popada.

Od św. Hanki chłodne wieczory i poranki.

Lipiec — ostatek starej mąki wypiecz.

ZAPISKI

SIERPIEŃ

Dnia		Rzymsko-kat.	Grecko-kat.
1	P	Piotra w Ok.	19 Makryny
2	W	NMP. An.	20 Iłyjy pr.
3	S	Z.ś.Szczep.	21 Symeona
4	C	Dominika	22 Marii Mahd.
5	P	NPM. Śnieżn.	23 Trofyma
6	S	Przemien. P.	24 Borysa

32. Ewang. u św. Łuk. 29, 41—37: O zburzeniu Jerozolimy.

7	N	**Kajetana**	25 **Usp. ś. Anny**
8	P	Cyriaka	26 Jermołaja
9	W	Romana	27 Pantełej.
10	S	Wawrzyńca	28 Prochora
11	C	Zuzanny	29 Kałynyka
12	P	Klary p.	30 Syły ap.
13	S	Hipolita	31 Jewdokyma

33. Ewang. u św. Łuk. 18, 9—14: Faryzeusz i celnik.

14	N	**Euzebiusza**	1 **Serp. Poh. K.**
15	P	**Wnieb. NMP.**	2 **Stef. mucz.**
16	W	Jacka, Rocha	3 Izaakija
17	S	Anastazego	4 Mład. 7 w Ef
18	C	Heleny ces.	5 Ewsychyja
19	P	Bolesława	6 **Preobr. Hos**
20	S	Stefana kr.	7 Dometyja

34. Ewang. u św. Marka 7, 31—37: O głuchoniemym.

21	N	**Joanny Frem.**	8 **Emyłjana**
22	P	Tymoteusza	9 Mateja ap.
23	W	Filipa	10 Ławrentyja
24	S	Bartłomieja	11 Jewpła
25	C	Ludwika kr.	12 Fotyja
26	P	NPM. Częst.	13 Maksyma
27	S	Przen. ś. Kaz.	14 Mycheja pr.

35. Ewang. u św. Łuk. 10, 23—37: Miłosierny Samarytanin.

28	N	**Augustyna**	15 **Usp. Bohor.**
29	P	Ścięcie ś. Jana	16 Per. Ob. w H.
30	W	Róży z Limy	17 Myrona
31	S	Rajmunda	18 Flora i Ław.

Co się dzieje w przyrodzie?

Zakwitają rośliny jesienne: wrzosy, mikołajki, dziewięciorniki, goryczki, w ogrodach malwy, astry, czarnuszki, piwonie, rezedy. — Dojrzewają: borówki, jeżyny, jarzębiny. — Odlatują: kania rdzawa, słowik rdzawy, świstówka, wilga, jerzyk, trzciniak, rybołówka, bocian. — Wolno polować na dziki, wilki, sarny-kozły, cietrzewie-koguty (od 15), pardwy, jarząbki, kuropatwy, przepiórki, bażanty-koguty (od 15) całe ptactwo błotne i wodne, dzikie gołębie oraz wszelkie drapieżniki. Na niebie: Wenus widoczna, jako gwiazda wieczorna przez pół godziny, Jowisz i Saturn widoczne wieczorem coraz krócej.

Przepowiednia pogody na sierpień:

Pogoda przy wysokiej temperaturze trwa przez dwa początkowe tygodnie miesiąca. Około 11-go rozpoczyna się okres burz, który sprowadza spadek temperatury. Po okresie pogody zmiennej, około 25-go pogoda wyjaśnia się.

Przysłowia:

Lekarstwo często nie służy — w sierpniu, jeśliś zdrów i duży, nie skąp sobie, nie cierp głodu, wypij spory kufel miodu.

Z sierpem w ręku witać sierpień, wiele uciech, wiele cierpień.

W sierpniu wszelki zbytek nie idzie w pożytek.

Na święty Wawrzyniec dostaje kapusta wieniec. A od Tadeusza dostaje kapelusza.

ZAPISKI

WRZESIEŃ

Dnia		Rzymsko-kat.	Grecko-Kat.
1	C	Idziego op.	19 Andreja
2	P	Stefana, Jus.	20 Samuiła
3	S	Szymona Sł.	21 Tadeja ap.

36. Ewang. u św. Łuk. 16, 11—19: O dziesięciu trędowatych.

4	N	Rozalii	22 Agatonika
5	P	Wawrzyńca	23 Łupa m.
6	W	Zachariasza	24 Ewtychyja
7	S	Reginy p.	25 Tyta
8	C	Nar. NPM.	26 Adriana
9	P	Gorgoniusz.	27 Pimena
10	S	Mikołaja z T.	28 Mojseja

37. Ewang. u św. Mat. 6, 24—33: O służeniu Bogu i mamonie.

11	N	Prota	29 Usiek.hł.ś.J.
12	P	Gwidona	30 Ałeksandra
13	W	Tobiasza	31 P. Poj P. B.
14	S	Podw. ś. Krz.	1 Wer. Sym.
15	C	Nikodema	2 Mamanta
16	P	Ludmiły	3 Antyma
17	S	Lamberta	4 Wawyły

38. Ewang. u św. Łuk. 7, 11—16: Wskrzesz. młodzieńca w Naim.

18	N	Tomasza	5 Zacharii pr
19	P	Januarego	6 Cz. ś. Mych
20	W	Eustachego	7 Sezonta m
21	S	*Such.* Mateusza	8 Roż. Pr. Boh.
22	C	Maurycego	9 Joakima
23	P	*Such.* Tekli p.	10 Mynodory
24	S	*Such.* Gerarda	11 Teodory

39. Ewang. u św. Łuk. 14, 1—11: Uzdrowienie opuchłego.

25	N	Władysława	12 Awtonoma
26	P	Cypriana	13 Kornyiła
27	W	Kosmy i Dam.	14 W. Cz. Kres.
28	S	Wacława kr.	15 Nykity
29	C	Michała Arch.	16 Ewfymii
30	P	Jana z Dukli	17 Sofii

Co się dzieje w przyrodzie?

Zakwitają pod koniec miesiąca: zimowit; kwitną wrzosy. Dojrzewają: owoce zimowe, żurawiny, orzechy laskowe. — Odlatują: dzika kaczka, gajówka (rudzik, ogrodowa), kulik wielki, pokląskwa, białożytka, kraska, pliszka żółta, ortolan, pokrzewka (cierniówka, ogrodowa), krętogłów, muchołówka, jaskółka, dudek, kopciuszek, pliszka, turkawka, brodziec piskliwy, siewka rzeczna, przepiórka, gąsiorek. — Wolno polować na: niedźwiedzie, wilki, dziki-maciory, łosie, jelenie-byki (od 15), sarny-kozły, głuszce-koguty, cietrzewie-koguty, pardwy, jarząbki, kuropatwy, przepiórki, słonki, całe ptactwo błotne i wodne, dzikie gołębie, oraz wszelkie drapieżniki.

Przepowiednia pogody na wrzesień:

Początek miesiąca pogodny. Od 9-go przelotne deszcze, od 17-go dżdżysto. Pod koniec miesiąca stopniowe powolne rozpogodzenie się.

Przysłowia:

Oto wrzesień — bliska jesień. Wrześniowa słota: miarka deszczu, korzec błota. Leniwiec wrzesień wsadza ręce w kieszeń.

Dzień św. Idziego, gdy się wypogodzi, cztery tygodnie potem pogoda dogodzi.

Gdy noc jasna na Michała, to nastąpi zima trwała.

Ptaszki przed Michałem odleciały, będzie ostry grudzień cały.

Lichy ten gospodarz, co na św. Michał kopy z pola jeszcze spychał.

Gdy nadejdzie wrzesień, wieśniak ma zawsze pełną stodołę i kieszeń.

Gdy jesień bez deszczów będzie, w zimie wiatrów pełno wszędzie.

ZAPISKI

PAŹDZIERNIK

Dnia		Rzymsko-kat.	Grecko-kat.
1	S	Remigiusza	18 Ewmenyja
40.		Ewang. u św. Mat. 22, 35—46: Przykazanie miłości.	
2	N	**NPM. Różańc.**	19 **Trofyma**
3	P	Teresy z Lis.	20 Ewstachyja
4	W	Franciszka	21 Kondrata
5	S	Placyda	22 Foky i Jon.
6	C	Brunona	23 Zacz.ś.Joan.
7	P	Justyny	24 Tekły
8	S	Brygidy	25 Ewfrozyny
41.		Ewang. u św. Mat. 9, 1—8: Uzdrow. powietrzem ruszonego	
9	N	Dionizego	26 **Joana Boh.**
10	P	Franc. B.	27 Kałystrata
11	W	Wincentego	28 Charytona
12	S	Maksymil.	29 Kyriaka
13	C	Edwarda kr.	30 Hryhoryja
14	P	Kaliksta p.	1 Żow.Pokr.B.
15	S	Teresy	2 Kypriana
42.		Ewang. u św. Mat. 22, 1—14: O szacie godowej.	
16	N	**Jadwigi ks.**	3 **Dionizyja**
17	P	Małgorzaty	4 Jeroteja
18	W	Łukasza ew.	5 Charytyny
19	S	Piotra z Alk.	6 Tomy ap.
20	C	Jana Kantego	7 Serhija
21	P	Urszuli p.	8 Pełahii
22	S	Korduli	9 Jakowa ap.
43.		Ewang. u św. Jana 4, 46—53: Uzdr. młodzieńca w Kafarnaum.	
23	N	**Jana Kap.**	10 **Ewłampyja**
24	P	Rafała Arch.	11 Fyłypa ap.
25	W	Kryspiny	12 Prowa
26	S	Ewarysta	13 Karpa m.
27	C	Sabiny	14 Paraskewii
28	P	Tadeusza	15 Ewtymyja
29	S	Narcyza	16 Łonhyna
44.		Ewang. u św. Jana 18, 33—37: Tyś jest król żydowski?	
30	N	**Chryst. Kr.**	17 **Osyji**
31	P	Wolfganga	18 Łuky ap.

Co się dzieje w przyrodzie?

Zakwitają na polach i ścierniskach: tarniki, gwiazdnice, sporki, bratki, jasnoty, stokrótki. — Odlatują: skowronki (polny, borowy — także w listopadzie), świergotek łąkowy, lelek kozodój, kos, pliszka biała, drozd, gołąb grzywacz, żóraw pospolity, rybołów kulczyk, pustułka zwyczajna, bojownik batalion, kokoszka wodna, bąk większy, chróściel pospolity (derkacz), sokół, kobóz. — Wolno polować na: niedźwiedzie, dziki-maciory, jelenie-byki, sarny-kozły, borsuki, lisy, zające, głuszce-koguty, cietrzewie-koguty, pardwy, jarząbki, kuropatwy, przepiórki, słonki, całe ptactwo błotne i wodne, dzikie gołębie, oraz wszelkie drapieżniki.

Przepowiednia pogody na paźdz.

Pogoda trwa do 9-go, po czym następuje spadek temperatury, ponuro i mglisto. — W połowie miesiąca silne deszcze. Około 23-go wypogadza się.

Przysłowia:

Miesiąc październy — marca obraz wierny.

Październik chodzi po kraju, żenie ptactwo z kraju.

Grzmot październikowy — niestatek zimowy.

Po świętej Jadwidze, słodycz w marchew idzie.

Na św. Szymona i Judy spodziewaj się śniegu lub grudy.

ZAPISKI

L I S T O P A D

Dnia		Rzymsko-kat.	Grecko-kat.
1	W	Wszyst. Św.	19 Joiła
2	S	Dz. Zaduszny	20 Artemija
3	C	Huberta	21 Iłariona
4	P	Karola B.	22 Awerkyja
5	S	Elżbiety	23 Jakowa
45.		Ewang. u św. Mat. 22, 15—21: O monecie czynszowej.	
6	N	**Leonarda**	24 **Arefty**
7	P	Herkulana	25 Markijana
8	W	Sewera	26 **Demetryja**
9	S	Teodora	27 Nestora
10	C	Andrzeja	28 Paraskewii
11	P	**Św. Niepodl.**	29 Anastazji
12	S	Marcina pap.	30 Zynowija
46.		Ewang. u św. Mat. 9, 18—26: Córka Jaira.	
13	N	**Stanisława K.**	31 **Stachyja**
14	P	Józefata	1 Łyst. Kosm.
15	W	Leopolda	2 Akyndyna
16	S	Edmunda	3 Akepsyma
17	C	Salomei	4 Joannyka
18	P	Ottona	5 Hałaktjona
19	S	Elżbiety wd.	6 Pawła
47.		Ewang. u św. Mat. 24, 15—35: O końcu świata.	
20	N	**Feliksa de V.**	7 **Jerona**
21	P	Ofiar. NPM.	8 **S. ś. Mychaj**
22	W	Cecylii	9 Onysyfora
23	S	Klemensa	10 Erasta i Oł.
24	C	Emilii, Jana	11 Myny
25	P	Katarzyny	12 Josafata
26	S	Konrada	13 Joana Złot.
48.		Ewang. u św. Łuk. 21, 25—33: O końcu świata.	
27	N	**Waleriana**	14 **Fyłypa**
28	P	Zdzisława	15 Hurija
29	W	Saturnina	16 Mateja
30	S	Andrzeja ap.	17 Hryhoryja

Co się dzieje w przyrodzie?

Odlatują: szpak, gołąb siniak, zięba, cyranka, słonka, bekas (czasem zimuje), błotniak zbożowy, czapla. — Przylatują z północy, jeżeli śnieg i zimno i bawią do końca lutego lub do początku marca: poświerka śmigula, krzyżodziób, gil, jemiołuszka, orzechówka, myszołów włochaty, czeczotka. — Wolno polować na: niedźwiedzie, dziki-maciory, borsuki, lisy, zające, cietrzewie-koguty, kuropatwy, jarząbki, całe ptactwo błotne i wodne, dzikie gołębie, oraz wszelkie drapieżniki. — Na niebie: Wenus widoczna wieczorem około pół do trzeciej godziny, Mars widoczny rano około godziny, Jowisz widoczny wieczorem około 2 godziny, Saturn w drugiej połowie miesiąca ukazuje się krótko rano.

Przepowiednia pogody na listopad:

Pierwsza połowa miesiąca zimna i mglista, około 15-go deszcze. Koniec miesiąca zimny i wietrzny.

Przysłowia:

Czasem w listopad nie palisz i sobole precz oddalisz, ale w grudniu musisz durniu.

Listopada wiele wody, na łąki wielkie wygody.

W listopadzie grzmi, rolnik dobrze śni.

Na W. Świętych, od zrębu utnij gałąź dębu, jeśli soku nie ma, będzie tęga zima.

Od świętej Katarzyny nie wyganiaj już zwierzyny.

Na świętego Marcina najlepsza gęsina.

ZAPISKI

GRUDZIEŃ

Dnia		Rzymsko-kat.	Grecko-kat.
1	C	Eligiusza b.	18 Platona
2	P	Bibiany	19 Awdyja
3	S	Franciszka	20 Hryhoryja
49.		Ewang. u św. Mat. 11, 2—10: Św. Jan w więzieniu.	
4	N	**Barbary**	21 **Wowed. B.**
5	P	Saby, Krysp.	22 Fyłymona
6	W	Mikołaja	23 Amfiłocha
7	S	Ambrożego	24 Kateryny
8	C	**Niep. P. NPM.**	25 Kłymenta
9	P	Leokadii	26 Ałypja
10	S	NPM. Loret.	27 Jakowa
50.		Ewang. u św. Jana 1, 19—28: Swiadectwo św. Jana.	
11	N	**Damazego**	27 Stefana
12	P	Aleksandra	29 Paramona
13	W	Łucji i Otylii	30 Andreja
14	S	*Such.* Nikaz.	1 Hrud. Naum.
15	C	Fortunata	2 Awakuma
16	P	*Such.* Adelajdy	3 Sofonija
17	S	*Such.* Łazarza	4 Warwary
51.		Ewang. u św. Łuk. 3, 1—6: Wzywanie do pokuty.	
18	N	**Gracjana**	5 Sawy
19	P	Nemezjusza	6 **Nykołaja**
20	W	Teofila	7 Amwrozyja
21	S	Tomasza	8 Patapyja
22	C	Zenona	9 **Zacz. Bohor.**
23	P	Wiktorii	10 Myny
24	S	Adama † wig.	11 Danyła
52.		Ew. u św. Łuk. 2, 1—14; 2, 15 - 20. Św. Jan 1, 1—14: Boże Narodz.	
25	N	**Boże Narodz.**	12 **Spirydiona**
26	P	**Szczepana m.**	13 Ewstratija
27	W	Jana ew.	14 Tyrsa, Łew.
28	S	Młodziank.	15 Ełewterja
29	C	Tomasza b.	16 Ahgeja
30	P	Dawida kr.	17 Danyła
31	S	Sylwestra p.	18 Sewastiana

Co się dzieje w przyrodzie?

Pogrążona w zimowym śnie. — Wolno polować na rysie, wilki, lisy, dziki-maciory, kuny, gronostaje, zające, cietrzewie-koguty, kaczki, kuropatwy, oraz wszelkie drapieżniki. — Na niebie: Merkury w drugiej połowie miesiąca widoczny rano na południo-wschodzie przeszło pół godziny. Wenus widoczna wieczorem na południo-zachodzie przeszło 3 godziny. Mars widoczny rano przez 1 i pół godziny. Jowisz widoczny wieczorem mniej niż godzinę. Saturn widoczny coraz więcej, w końcu miesiąca przeszło 2 i pół godziny.

Przepowiednia pogody na grudzień:

Silne wiatry i powietrze mroźne trwają przez pierwszą połowę miesiąca. — Około 14-go spada silny śnieg; opady śnieżne trwają przez prawie dwa tygodnie. Koniec miesiąca pogodny i mroźny.

Przysłowia:

Swięta Barbara po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie.

Wilia piękna, jutrzenka jasna, będzie stodoła za ciasna.

Gdy tęga zima nastanie w pierwotku Adwentu, osiemnaście tygodni nie spocznie ani momentu.

Gdy w Narodzenie pogodnie, będzie tak cztery tygodnie.

Jeśli da śnieg Eugenii, to zima się przemieni.

Na świętego Mikołaja porzuć wóz a zaprząż sanie.

Gdy Pasterka jasna, to komórka ciasna.

Na świętą Barbarę mróz — chowaj sanie, szykuj wóz.

ZAPISKI

Rok 1938 ery chrześcijańskiej

jest rokiem zwyczajnym, mającym 365 dni. Odpowiada r. 5697—5698 wedle rachuby żydowskiej (N. Rok u żydów 1 października).

Zaćmienia księżyca i słońca.

W r. 1938 będą dwa zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca, ale w Europie widzialne będzie tylko zaćmienie księżyca 7—8 listopada.

a) Całkowite zaćmienie księżyca dnia 14 maja od godz. 5^{41} do godz. 11^{43} według czasu w Greenwich. Będzie widzialne na Oceanie Atlantyckim, w Ameryce, na Oceanie Spokojnym, w Australii i na północno-wschodnim skrawku Azji.

b) Całkowite zaćmienie słońca dnia 29 maja między godz. 11^{46} a 15^{53} według czasu w Greenwich, widzialne na południowo-wschodniej części Oceanu Spokojnego, w południowej części Ameryki Południowej i Oceanu Atlantyckiego, oraz na południowym skrawku Afryki.

c) Całkowite zaćmienie księżyca w dn. 7—8 listopada od godz. 19^{30} 7 listopada. A 1^{14} 8 listopada według czasu w Greenwich, czyli od 20^{39}—2^{14} według czasu środkowo-europejskiego. Będzie widzialne wszędzie, prócz Oceanu Spokojnego i wschodniej oraz środkowej Australii.

d) Częściowe zaćmienie słońca w dn. 21—22 listopada między godz. 21^{45} a 1^{59} według czasu w Greenwich, widzialne w północno-wschodniej części Azji, na północy Oceanu Spokojnego i w północno-zachodniej części Ameryki Północnej.

Dni świąteczne.

We wszystkie niedziele, oraz w dni: Nowego Roku, Trzech Króli, Wniebowstąpienia Pańskiego, Bożego Ciała, śś. Ap. Piotra i Pawła, Wniebowzięcia N. M. P., Wszystkich Świętych, Niepokalanego poczęcia N. M. P. i Bożego Narodzenia wszyscy obowiązani są pod grzechem ciężkim, jeśli nie mają ważnej usprawiedliwiającej przeszkody, wysłuchać całej Mszy św. i wstrzymać się od prac służebnych. W inne dni, chociażby uroczyste nabożeństwa odbywały się w świątyniach, Kościół obowiązku tego nie nakłada.

Dni postne.

W piątki i soboty Wielkiego Postu, w Suchedni i wigilie Zielonych Świąt, Wniebowzięcia N. M. P., (Wszystkich Świętych) i Bożego Narodzenia, obowiązuje post ścisły, oraz wstrzymanie się od potraw mięsnych. (W Wielką Sobotę od 12 godziny nie ma już żadnego postu). We wszystkie inne dni Wielkiego Postu, prócz niedziel, obowiązuje tylko post ścisły.

We wszystkie piątki całego roku (prócz wyżej wymienionych) obowiązuje tylko wstrzymanie się od potraw mięsnych. Jeśli jednak w piątek wypadnie święto uroczyste, jedno z wymienionych wyżej pt. „Dni świąteczne", ustaje obowiązek wstrzymania się od potraw mięsnych.

Natomiast w Dni krzyżowe nie ma żadnego postu; wolno jeść mięso, jak w inne dni roku.

Za potrawy mięsne uważa się tylko rosół i mięso. Wszystkie przyprawy i omasty, choćby pochodziły ze zwierząt, zawsze są dozwolone, więc nie tylko masło i jaja, ale też sadło, słonina (jako przyprawa), smalec itp. mogą być używane we wszystkie postne dni całego roku; również ryb wolno używać zawsze, nawet jeśli w dni postne używa się potraw mięsnych. Również we wigilie z postem, jeśli wypadną na niedzielę, nie ma obowiązku poszczenia ani w niedzielę, ani w poprzednią sobotę.

Takie są przepisy prawa ogólnego kościelnego. W niektórych diecezjach Najprzew. Księża Biskupi zwykli przed rozpoczęciem Wielkiego Postu, dawać obszerniejsze dyspensy.

Czasy zakazane.

W czasie od 1 Niedzieli Adwentu do Bożego Narodzenia włącznie i od Środy popielcowej do Niedzieli Wielkanocnej włącznie, zabaw weselnych wyprawiać nie wolno, ani też żadnych zabaw tanecznych z muzyką. To się odnosi i do święta św. Józefa 19 marca.

Święta ruchome.

Niedziela Starozapustna	13 lutego	Boże Ciało	16 czerwca
Popielec	2 marca	Najśw. Serce Jez.	24 czerwca
Suchedni I	9, 11, 12 marca	Suchedni III	21, 23, 24 września
Wielkanoc	17 kwiet.	Dzień misyjny	23 październ.
Wniebowstąpienie	26 maja	Urocz. Chr. Króla	30 październ.
Zielone Święta	5 czerwca	Niedziela I Adwentu	27 listopada
Suchedni II	8, 10, 11 czerwca	Suchedni IV	14, 16, 17 grudnia

WYKAZ ALFABETYCZNY GŁOWNIEJSZYCH, ŚWIĘTYCH PAŃSKICH

Z OZNACZENIEM DNIA i MIESIĄCA

Adama 24 grudnia
Adolfa b. wyzn. 17 czerw.
— m. 27 czerwca
Agaty p. m. 5 lutego
Agnieszki p. m. 21 stycznia
Albiny p. m. 16 grudnia
Albina b. w. 1 marca
Aleksandra m. 12 grudnia
— b. w. 26 lutego
Aleksandry m. 20 marca
Aleksego Falk. w. 17 lutego
— w. 17 lipca
Alfonsa Lig. b. w. d. K. 2 sierpnia
— Rodr. w. 30 paźdz.
Alojzego Gonz. w. 21 czer.
Ambrożego b. w. 7 grudnia
Amelii p. 10 lipca
Anastazego m. 22 stycznia
— p. w. 27 kwietnia
— w. 17 sierpnia
Anastazji m. 15 kwietnia
— m. 25 grudnia
— p. m. 28 października
Anatola b. w. 3 lipca
Anatolii p. m. 9 lipca
Andrzeja ap. 30 listopada
— Bob. m. 16 maja
— Kors. b. w. 4 lutego
— z Awel. w. 10 listopada
Anieli Merici p. 31 maja
Anny matki NMP. 26 lipca
Antoniego op. 17 stycznia
— z Padwy 13 czerwca
— Zacc. w. 5 lipca
Antonii m. 29 kwietnia
— m. 4 maja
Antoniny m. 1 marca
Anzelma b. d. K. 21 kwiet.
Apolinarego b. m. 23 lipca
— m. 23 sierpnia
Apolonii p. m. 9 lutego
Apoloniusza m. 18 kwiet.
Atanazego b. w. d. K. 2 maja
— kr. m. 20 listopada
Atanazji wdowy 14 sierp.
Augustyna b. w. 28 maja
— b. w. d. K. 28 sierpnia

Balbiny p. 31 marca
Barbary p. m. 4 grudnia
Barnaby ap. 11 czerwca
Bartłomieja ap. 24 sierpnia
Benedykta Polaka m. 12 listopada
— opata 21 marca
— Józ. Labre 16 kwietnia
Benedykty p. 6 maja
Bernarda op. d. K. 20 sierp.
Bernardety Soubirous 16 kwietnia
Błażeja b. m. 3 lutego
Bogumiła b. 10 czerwca
Bogusława b. w. 22 maja
Bohdana m. 18 maja
— b. 2 listopada
Bohdany (Teodyty) m. 17 lipca
Bonawentury b. w. d. K. 14 lipca
Bonifacego m. 14 maja
— b. m. 5 czerwca
Bronisławy p. 1 września
Brunona w. 6 października
Brygidy p. 1 lutego

Cecylii p. m. 22 listopada
Celestyna I p. 6 kwietnia
Cypriana b. m. 16 września
— m. 26 września
Cyryla b. w. d. K. 9 lutego
— Jeroz. b. w. d. K. 18 mar.
— b. w. ap. Słow. 7 lipca
Czesława w. Polaka 20 lipca

Damazego p. w. 11 grudnia
Damiana m. 27 września
Dezyderiusza b. m. 23 maja
Dominika w. 4 sierpnia
Dominiki p. m. 6 lutego
Doroty p. m. 6 lutego
Dionizego b. w. 8 kwietnia
— p. w. 26 grudnia

Edmunda b. w. 16 listop.
Efrema diak. 18 czerwca

Eleonory p. 21 lutego
Elżbiety kr. 8 lipca
— matki św. Jana 5 list.
— wdowy 19 listopada
Emila m. 22 maja
— diak. m. 15 września
— m. 6 października
Emiliana m. 8 lutego
— b. m. 8 sierpnia
— w. 11 października
— kapł. w. 12 listopada
— m. 6 grudnia
Emiliany p. 5 stycznia
Erazma b. m. 2 czerwca
Ernesta op. 12 stycznia
Eugenii p. m. 25 grudnia
Eugeniusza b. m. 4 marca
— b. m. 2 maja
— m. 4 stycznia
— b. w. 13 listopada
Eustachego b. w. 16 lipca
— b. m. 20 września
— w. 20 października
Ewarysta p. m. 26 paźdz.
Ewy 24 grudnia

Fabiana p. m. 20 stycznia
Felicjana m. 9 czerwca
Feliksa b. w. 14 lipca
— b. w. 19 lipca
— m. 14 stycznia
— p. m. 30 maja
— w. 20 listopada
Ferdynanda III kr. w. 30 m.
Filipa apost. 1 maja
— w. 23 sierpnia
Filipiny m. 20 września
Filomeny p. 5 lipca
Florentyny p. 20 czerwca
Floriana m. 4 maja
Franciszka Sal. b. w. d. K. 29 stycznia
— w. 2 kwietnia
— Hier. w. 11 maja
— Kar. w. 4 czerwca
— Sol. w. 14 lipca
— Ser. w. 4 października
— Borg. w. 10 paźdz.
— Ksaw. 3 grudnia
Franciszki Rzymianki wd. 9 marca

Gabriela archan. 18 marca
Gaspara kr. 6 stycznia
Genowefy p. 3 stycznia
Gerarda b. m. 24 września
— Maj. w. 16 października
Gertrudy p. 15 listopada
Gerwazego m. 19 czerwca
Grzegorza N. w 9 marca
— W. p. w. d. K. 12 marca
— Naz. b. w. d. K. 9 maja
— VI pap. w. 25 maja
— cudotw. 17 listopada

Heleny p. 22 maja
— ces. wd. 18 sierpnia
Heliodora b. w. 3 lipca
Henryka b. m. 19 stycznia
— ces. w. 15 lipca
Hiacynty p. m. 30 stycznia
Hieronima E. w. 20 lipca
— w. d. K. 30 września
Hilarego b. w. d. K 14 st.
Hilarii m. 12 sierpnia
Hipolita w. 2 grudnia
Honorata b. w. 8 lutego
Honoraty p. 11 stycznia
Huberta b. w. 3 listopada
Hugona b. w. 1 kwietnia
— w. 17 listopada
— op. 29 kwietnia

Idziego op. 1 września
Ignacego b. m. 1 lutego
— Loj. w. 31 lipca
Ildefonsa b. w. 23 stycznia
Imienia Marii 12 września
Innocentego I p. w. 28 lipca
Ireneusza b. m. 25 marca
— b. m. 28 czerwca
Ireny p. m. 20 października
— m. 5 kwietnia
Iwona kapł. w. 19 maja
Izydora b. w d. K. 4 kwiet.
— rolnika w. 10 maja
— op. 14 grudnia

Jacka męcz. 10 lutego
— wyzn. 17 sierpnia
Jadwigi księżn. wd. 15 paź.
Jakuba młod. ap. 1 maja
— starsz. ap. 25 lipca
— Strepy b. w. 1 czerwca
Jana Dobr. 10 stycznia
— Chryzostoma 27 stycz.
— Bosko 31 stycznia
— z Maty 8 lutego
— Boż. w. 8 marca
— Dam. w. d. K. 27 marca
— ap. w ol. 6 maja
— milcz. w. 13 maja
— Salle w. 15 maja
— Nep. m. 16 maja
— Reg. w. 16 czerwca
Jana Chrzc. 24 czerwca
— Gwalb. op. 12 lipca
— z Dukli w. 1 paźdz.
— Kant w. 20 paźdz.
— od Krz. w. 24 listopada
— Berch. w. 26 listopada
— ap. i ewang. 27 grudnia
Jerzego męcz. 23 kwietnia
Joachima ojca NMP. 16 sierpnia
Joanny 24 maja
— Fr. d. Ch. wd. 21 sierp.
Józefa Obl. NMP. 19 marca
— Kal. w. 27 sierpnia
— z Kup. w. 18 września
Jozafata bisk. m. 14 listop.
Juliana m. 7 stycznia
— b. w. 28 stycznia
— m. 12 lutego
— m. 9 sierpnia
— m. 2 września
— w. 9 czerwca
— pust. 18 października
Julianny p. m. 16 lutego
— m. 17 sierpnia
— Falk. p. 29 czerwca
— wd. 7 lutego
Julii m. 1 października
— p. m. 22 maja
— p. m. 10 grudnia
Juliusza m. 19 sierpnia
— m. 20 grudnia
Justyny m. 26 września
— p. m. 30 listopada

Kajetana w. 7 sierpnia
Kaliksta p. m. 14 paźdz.
Kamila Lell. w. 18 lipca
Karola Bor. b. w. 4 listop.
Katarzyny R. p. 2 lutego
— Bon. 9 marca
— Szw. 22 marca
— Sen. p. 30 kwietnia
— p. m. 25 listopada
Kazimierza kr. w. 4 marca
Klary p. 12 sierpnia
Klaudii m. 20 marca
Klemensa Dw. w. 15 marca
— p. m. 23 listopada
Konrada w. 19 lutego
— b. w. 26 listopada
Konstancji m. 19 września
Konstantego b. m. 29 st.
Korduli p. m. 22 paźdz.
Kornelii m. 31 marca
Kosmy m. 27 września
Kryspiny m. 5 grudnia
Krystyny p. m. 24 lipca

Krzysztofa m. 20 kwietnia
Kunegundy ces. p. 3 marca
— księżny p. 24 lipca

Leokadii p. m. 9 grudnia
Leona b. w. 20 lutego
— p. w. d K. 11 kwietnia
— p. w. 28 czerwca
Leonarda w. 6 listopada
— w. 26 listopada
Leony m. 15 czerwca
Leopolda w. 15 listopada
Longina żołn. 15 marca
Lucjana m. 7 stycznia
Ludwika kr. w 25 sierpnia
— Bert. w. 9 października
Ludwiki wd. 31 stycznia

Łucji p. m. 25 czerwca
— p. m. 13 grudnia
Łukasza ewang. 18 paźdz.

Macieja apost. 24 lutego
Maksyma b. m. 18 czerwca
— b. w. 8 stycznia
— b. w. 27 grudnia
Maksymiliana b m. 12 paź.
Małgorzaty z Kort. 22 lut.
— król. wd. 10 czerwca
— p. m. 20 lipca
— Alac. p. 17 październ.
Marcela p. m. 16 stycznia
— m. 30 października
— b. w. 1 listopada
Marceli m. 28 czerwca
— wd. 21 stycznia
Marcelina p. m. 26 kwiet.
— kapł. w. 14 lipca
Marcina b. w. 11 listopada
— p. m. 12 listopada
Marka ew. 25 kwietnia
— m. 18 czerwca
— p. w. 7 października
Marty m. 19 stycznia
— p. m. 23 lutego
— p. 29 lipca
Mariana diak. 17 stycz.
— w. 19 sierpnia
Marii NP. Zaśl. 23 stycz.
— Oczyszcz. 2 lutego
— Objaw. w. L. 11 lutego
— Zwiastow. 25 marca
— Dobr. Rady 26 kwietnia
— Król. Kor. Pol. 3 maja
— Wspom. wier. 24 maja
— Pośr. Łask. 31 maja
— N. Pomocy 27 czerwca
— Nawiedz. 2 lipca

Marii Szkapl. 16 lipca
— NP. Anielsk. 2 sierpnia
— Śnieżnej 5 sierpnia
— Wniebowz. 15 sierpnia
— Jasnog. 26 sierpnia
— Narodz. 8 września
— Wykupu 24 września
— Różańcowej 7 paźdz.
— Macierzyństwa 11 paź.
— Opieki 16 listopada
— NMP. Ofiar. 21 list.
— Niep. Pocz. 8 grudnia
— Loretańskiej 10 grudnia
Marii egipc. 2 kwietnia
— Kleof. 9 kwietnia
— Magd. de Pazz. 29 maja
— Magd. 22 lipca
Mariusza męcz. 19 stycznia
Mateusza ap. ew. 21 wrz.
Matyldy król. wd. 14 marca
Maurycego m. 22 września
Medarda b. w. 8 czerwca
Melanii zak. 31 grudnia
Melchiora kr. 6 stycznia
— m. 7 września
Metodego ap. Słow. 6 lipca
Michała arch. 29 września
Mikołaja b. w. 6 grudnia
— z Tol. w. 10 września
Moniki wdowy 4 maja

Nar. św. Jana Ch. 24 czer.
Natalii 1 grudnia
Nawr. św. Pawła ap. 25 st.
— św. Augustyna 5 maja
Norberta b. w. 6 czerwca

Onufrego pust. 12 czerwca
Oskara b. w. 3 lutego
Ottona bamb. b. w. 2 lipca
Otylii p. 13 grudnia

Pafnucego m. 19 kwietnia
Pankracego m. 12 maja
Paschalisa w. 17 maja
Paulina b. m. 31 sierpnia
— b. w. z Noli 22 czerwca
Pauliny m. 6 czerwca
Pawła I pust. 15 stycznia
— apost. 29 czerwca
— od Krzyża w. 28 kwiet.
Pelagii m. 22 marca
— p. m. 4 maja
— pok. 8 października
Piotra ks. ap. 29 czerwca
— w okowach 1 sierpnia
— m. 29 kwietnia
— Nolasko w. 31 stycznia

Piotra Dam. b. w. d. K. 23 lut.
— Klawera w. 9 września
— Alk. w. 19 października
— Złotoust. 4 grudnia
Polikarpa b. m. 26 stycznia
Prokopa m. 8 lipca

Rafała arch. 24 październ.
Rajmunda w. 31 sierpnia
Reginy p. m. 7 września
Roberta w. 17 kwietnia
— Belarm. DK. w. 13 maja
— op. 7 czerwca
Rocha w. 16 sierpnia
Romana m. 9 sierpnia
— b. w. 6 października
— op. 28 lutego
— m. 28 listopada
Romualda op. 7 lutego
Rozalii p. 4 września
Róży lim. p. 30 sierpnia
— witerb. p. 4 września
Ryszarda kr. w. 7 lutego
— b. w. 3 kwietnia

Sabiny męcz. 27 paźdz.
Sadoka m. z tow. 2 czerw.
Salomei książ. p. 17 listop.
Samuela pror. 20 sierpnia
Scholastyki p. 10 lutego
Ścięcie św. Jana Ch.
26 sierpnia
Sebastiana m. 20 stycznia
Serafina w. 12 październ.
Serwacego b. w. 13 maja
Sewera m. 8 listopada
— b. w. 30 kwietnia
Seweryna op. i bisk. 8 st.
— b. w. 23 października
Stanisława b. i m. 8 maja
— Kostki 13 listopada
Stefana kr. w. 2 września
— 1-go m. 26 grudnia
Sylwestra op. 26 listopada
— I p. w. 31 grudnia
Szymona ap. 28 październ.
— Tryd. 24 marca
— z Lipn. w. 18 lipca
— pust. 26 lipca
— Słupn. w. 3 września

Tadeusza ap. 28 paździer.
Tekli p. m. 23 września
— ksieni 15 października
Telesfora b. m. 5 stycznia
Teodora b. m. 26 marca
— m. 7 lutego
— żołnierza 9 listopada

Teodora Stud. w. 12 listop.
Teodory pokut. 11 wrz.
Teodozjusza b. w. 17 lipca
Teofila (Bogumiła) b. m. 7 marca
— m. 22 lipca
— 2 października
— b. w. antioch. 13 paźdz.
— żołn. 20 grudnia
— b. w. 27 kwietnia
Teofili p. m. 28 grudnia
Teotyna (Bogusława) m. 18 grudnia
Teresy od Dziec. J. 3 paź.
Teresy p. 15 października
Tomasza ap. 21 grudnia
Tomasza z Akw. w. d. K. 7 marca
— b. 22 września
— b. m. 29 grudnia
Tymoteusza b. m. 24 stycz.
— m. 24 marca
Tytusa b. w. 6 lutego

Urbana b. 2 kwietnia
— m. 16 kwietnia
— p. m. 25 maja
— p. w. 29 grudnia

Ursyna b. w. 9 listopada
Urszuli p. m. 21 paźdz.

Wacława kr. m. 28 wrz.
Walentego kapł. m. 14 lut.
Walentyny p. m. 25 lipca
Walerego b. w. 28 stycznia
Waleriana m. 14 kwietnia
— b. w. 15 grudnia
Walerii m. 28 kwietnia
— p. m. 9 grudnia
Wawrzyńca m. 10 sierpnia
— b. w. 5 września
— w. 22 lipca
Weroniki p. 13 stycznia
— Jul. ksieni p. 9 lipca
Wiktora m 25 lutego
— w. 26 lutego
— m. 21 lipca
— p. m. 28 lipca
— b. w. 23 sierpnia
— p. m. 23 grudnia
Wiktorii m. 17 listopada
Wilhelma b. w. 10 stycznia
— op. 6 kwietnia
— op. 25 czerwca
— b. w. 29 lipca
Wincentego m. 22 stycznia
— Fer. w. 5 kwietnia
Wincentego à Paulo w. 19 lipca
— Kadł. b. w. 8 marca
Wita m. 15 czerwca
Witalisa m. 9 stycznia
— m. 28 kwietnia
Władysława kr. w. 27 czer.
Włodzimierza w. 15 lub 24 lipca
Wojciecha b. i m. 23 kwiet.

Zachariasza pr. 6 września
— oj. św. Jana 5 listopada
Zenona m. 14 lutego
— żołn. m. 9 lipca
— m. 5 kwietnia
— b. m. 12 kwietnia
— b. w. 8 grudnia
Znal. św. Stefana 1-go m. 3 sierpnia
Zofii p. m. 30 kwietnia
— wd. m. i 3 córek 30 wrz.
— (15 maja)
Zuzanny p. m. 11 sierpnia
Zygmunta kr. 2 maja
Zyty p. 27 kwietnia



HIERACHIA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

na ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej.

Najwyższy Pasterz Kościoła:

Jego Świątobliwość

OJCIEC ŚW. PIUS XI PAPIEŻ

(przedtem kard. Achilles Ratti, były Nuncjusz Ap. w Polsce) ur. 1857, obrany papieżem 6 lutego i ukor. 12 lutego 1922 r.

Nuncjusz Apostolski w Polsce

Mgr. Filip Cortesi, Arcybiskup.

METROPOLIA GNIEŹNIEŃSKO-POZNAŃSKA

Archidiecezja gnieźnieńsko-poznańska.

Arcybiskup-Prymas Polski: J. E. Kard. August Hlond.

Biskup-Sufragan gnieźnieński: Antoni Laubitz.

Biskup-Sufragan poznański: Walenty Dymek.

Diecezja włocławska.

Biskup-Ordynariusz: Karol Radoński.

Biskup-Sufragan: Wojciech Owczarek.

Diecezja chełmińska.

Biskup-Ordynariusz: Stanisław Okoniewski.

Biskup-Sufragan: Konstantyn Dominik.

METROPOLIA WARSZAWSKA

Archidiecezja warszawska.

Arcybiskup-Metropolita: J. E. Kard. Aleks. Kakowski.

Arcybiskup-Sufragan: Stanisław Gall.

Biskup-Sufragan: Antoni Szlagowski

Biskup polowy: Józef Gawlina.

Diecezja płocka.

Arcb.-Ordynariusz: Antoni Julian Nowowiejski.
Biskup-Sufragan: Leon Wetmański.

Diecezja sandomierska.

Biskup-Administrator: Jan Lorek.
Biskup-Sufragan: Paweł Kubicki.

Diecezja lubelska.

Biskup-Ordynariusz: Marian Leon Fulman.
Biskup-Sufragan: Vacat.

Diecezja podlaska.

Biskup-Ordynariusz: Henryk Przeździecki.
Biskup-Sufragan: Czesław Sokołowski.

Diecezja łódzka.

Biskup-Ordynariusz: Włodzimierz Jasiński.
Biskup-Sufragan: Kazimierz Tomczak.

METROPOLIA LWOWSKA.

Archidiecezja lwowska.

Arcybiskup-Metropolita: Bolesław Twardowski.
Biskup-Sufragan: Eugeniusz Baziak.

Diecezja przemyska.

Biskup-Ordynariusz: Franciszek Barda.
Biskup Sufragan: Wojciech Tomaka.

Diecezja łucka.

Biskup-Ordynariusz: Adolf Piotr Szelążek.
Biskup-Sufragan: Stefan Walczykiewicz.

METROPOLIA KRAKOWSKA.

Archidiecezja krakowska.

Książę-Metropolita: Adam Stefan Sapieha.
Biskup-Sufragan: Stanisław Rospond.

Diecezja kielecka.

Biskup-Ordynariusz: Vacat.
Biskup-Sufragan: Franciszek Sonik.

Diecezja tarnowska.

Biskup-Ordynariusz: Franciszek Lisowski.
Biskup-Sufragan: Edward Komar.

Diecezja częstochowska.

Biskup-Ordynariusz: Teodor Kubina.
Biskup-Sufragan: Antoni Zimniak.

Diecezja katowicka.

Biskup-Ordynariusz: Stanisław Adamski
Biskup-Sufragan: Julian Bieniek.

METROPOLIA WILEŃSKA

Archidiecezja wileńska.

Arcybiskup-Metropolita: Romuald Jałbrzykowski.
Biskup-Sufragan: Kazimierz Michałkiewicz.

Diecezja łomżyńska.

Biskup-Ordynariusz: St. Kostka Łukomski.
Biskup-Sufragan: Vacat.

Diecezja pińska.

Biskup-Ordynariusz: Kazimierz Bukraba.
Biskup-Sufragan: Karol Niemira.

WOLNE MIASTO GDAŃSK

Biskup-Ordynariusz: Edward O'Rourke.

Najprz. Ks. Biskupi innych kat. obrz. w Polsce.

Archidiecezja Lwowska obrz. ruskiego.

Arcybiskup-Metropolita: Andrzej Szeptycki.
Biskup-Sufragan: Jan Buczko.

Diecezja przemyska obrz. ruskiego.

Biskup-Ordynariusz: Józef Kocyłowski.
Biskup-Sufragan: Grzegorz Łakota.

Diecezja stanisławowska obrz. ruskiego.

Biskup-Ordynariusz: Grzegorz Chomyszyn.
Biskup-Sufragan: Jan Latyszewski.

Archidiec. lwowska obrz. ormiańskiego.

Arcybiskup: Józef Teodorowicz.

Najprzew. Ks. Biskupi Polacy nie posiadający diecezji:

Metropolita mohylewski: Edward Ropp (mieszka w Warszawie).

Były Biskup łucko-żytomierski: Ignacy Dubowski. (mieszka w Rzymie).

Były biskup-sufragan łucki Michał Godlewski, obecnie prof. Uniw. Jagiel.

Najprzew. Ks. Biskupi obrz. rus., przebyw. w Polsce:

Ks. Biskup: Mikołaj Czarnecki (mieszka w Kowlu)

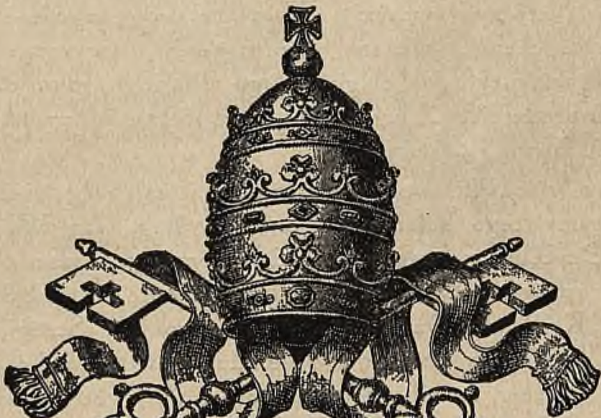
Były Biskup kanadyjski obrz. gr. kat.: Ks. N. Budka (mieszka we Lwowie).

W Ameryce polscy Ks. Biskupi:

W diecezji Green Baynd, Wis: Paweł Rhode.

W diecezji Grand Island Nebr.: Stanisław Bona.

W diecezji Marquette, Mich.: Józef Kazimierz Plangens



Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Przesyłamy wam, Szlachetni Czytelnicy i Przyjaciele a zarazem i Dobrodzieje naszych Zakładów sierocych, ten czternasty rocznik Kalendarza Królowej Korony Polskiej z gorącą prośbą, abyście go przyjęli tak chętnie jak trzynaście roczników poprzednich. Wartości jego literackie, a więc zarówno treść jak i formę osądźcie bardzo pobłażliwie i wybaczcie braki z nieudolności ludzkiej wynikłe. Zechciejcie w tym kalendarzu widzieć posłanie jakoby zbiorowego listu od tysięcznej rzeszy sierót — wychowanków naszych Zakładów, którzy wyrażają Wam tą drogą swoje serdeczne najlepsze życzenia, szczere pozdrowienia i wyrazy wdzięczności za wszystkie w ciągu całego długiego roku otrzymane ofiary, dobrodziejstwa, życzliwość, współczucie — za wszelką pomoc duchową i materialną.

Gdy w chwili wolnej od troski i zajęć będziecie przerzucać karty tego kalendarza, chcielibyśmy, aby Wam, Szlachetni Czytelnicy, stanęły przed oczyma te rzesze Waszych młodych przyjaciół z Miejsca Piastowego, Pawlikowic, ze Lwowa, Krakowa, Dziatkowicz, Berteszowa i Strugi, abyście usłyszeli ich głosy dziecinne i niejedną chwilę duchowo z nami spędzili. Będą to chwile przyjemne, a nawet wesołe. Zobaczycie ich pracę, nauki, zabawy, śpiew i modlitwę, kto wie, może na falach wyobraźni, również czułej jak fale eteru, usłyszycie nie jeden koncert dziecięcych chórów, który was rozmarzy i przypomni młode szczęśliwe lata, a może dźwięk doborowej orkiestry Zakładowej poniesie Wam hejnał znanych melodyj, budząc nastroje, do których chętnie wracacie w samotnej ciszy, którą tak trudno nieraz mieć na zawołanie.

Może los sprawi, że duchowo spędzimy w ten sposób wspólnie uroczystości wigilijne, połamiemy się opłatkiem, życząc sobie wzajemnie szczęścia i radości i ciesząc się pokojem ludzi dobrej woli. Uprzedzamy te życzenia szczerze i ser-

decznie. Niech Wam Dziecię Jezus ześle je hojnie, by starczyło na cały następny rok. Niech Wam osładza smutki i cierpienia i zamieni je wszystkie na wspaniały plon cnót i zosług na szczęśliwą wieczność.

A chociaż tragiczne echo współczesnego życia dręczyć Was będzie obrazami ponurej rzeczywistości, budzącej grozę i obrzydzenie, niechże Was nie opuszcza spokój czystego sumienia, spokój ludzi dobrej woli. Dzieją się bowiem na świecie rzeczy zrozumiałe, logicznie wytłumaczone i przewidziane przez wielu, a między innymi przez Ks. Bronisława Markiewicza. Odstępstwo od Boga, od zasad moralnych, obdzieranie ludzkości ze wszelkich wartości duchowych zmieniło człowieka w bestię, a ludzkość w maszynę, bijącą ślepo i zaciekle bez sensu i bez celu. Ale jedna chwila refleksji może świat opamiętać, dobry przykład może zbłąkanym nieszczęsnym przywrócić rozum utracony.

Ks. Założyciel nasz przepowiedział, że ten dobry przykład wyjdzie od Polski i będzie zbawieniem świata. My w to wierzymy i chcielibyśmy tę wiarę w Was umocnić i utrwalić w pewność zwycięstwa. Zrobi ten cud miłość, która nas złączy w jedną rodzinę i zapoczątkuje braterstwo ludów. Miłość twórcza, która powiada: »Sprzedaj co masz, a daj ubogim«. Trudna to cnota, ale też wiele trudnych rzeczy dokonał Bóg przez świętych swoich, a wszakże powiedział Chrystus: »Ufajcie, jam zwyciężył świat«.



Bronisława Rychter-Janowska

Stanisław Miłaszewski.

Wilia

Prastarym obyczajem w Polsce podczas Wilii
Jest miejsce dla zamorskich i zagórskich gości,
Dla tych, co na wieczerzę bratnią nie przybyli,
Wstrzymani przez gór zwały, lub mórz nawałności.

Gdy z nieba płatki śniegu lecą, jak opłatki,
Gdy mróz na oknach białe zasadza choiny,
Niechaj każdy dom polski wspomni sercem matki
Nieobecne, spóźnione, zabłąkane syny.

Gdy w snopku wigilijnym kłos o kłos zadzwoni,
Ilekroć pod obrusem zaszeleści siano,
Baczmy na puste miejsce, gdzie mieli siąść — *oni*,
Baczmy, by *nieobecnych* nie zaniedbywano.

Obejdzie się to miejsce bez potraw dwunastu,
Nie zmieniajmy półmisków przed nim, ni talerzy,
Obejdzie się bez szumnych win i bez toastów,
Tylko przed pustym miejscem — niech opłatek leży.

Czuwajmy, bo nie wiemy dnia, ani godziny,
Gdy zza mórz, co nas dzielą, z błędnego bezdroża,
Niewidzialnie zawita do nas w odwiedziny
Ktoś z braci, których ku nam prowadzi Moc Boża.

Niech nikt z nas nie zagląda w duszę gościom — duchom:
Snadź są zgłodniali, skoro zasiedli do stołu...
Ugośćmy ich opłatków białych wiązką suchą,
Bo głód dusz ludzkich syci — tylko chleb Aniołów.



Pod sztandarem Niepokalanej.

Poprzez zmaterializowany świat, przesycony atmosferą zmysłowych uciech i upojeń, których czara kryje na dnie swym tyle goryczy i rozczarowania, idzie tęsknota za radością czystą, prawdziwą, za anielską jasnością ducha, za światłem rozkoszy, co duszę w zachwyt wprawia i tchnie nieśmiertelnością. Kościół, nie potępiając bynajmniej legalnej rozkoszy zmysłowej i ucząc, że ona tylko wtedy może być promykiem szczęścia, kiedy jest zgodną z prawem moralnym, podkreśla stale, że ziemia nigdy nie da pełnego szczęścia i że ponad światem zmysłów roztacza się cudny świat ducha i że rozkosze duchowe już tu na ziemi tworzą jak gdyby przedsmak nieskończonej radości, dla której serce ludzkie stworzone.

Stąd też gdy niedola i hańba ludzka dochodziła wprost do zenitu, Miłość Boża zarysowuje przed światem kontury przecudnej Dziewicy, każe śpiewać Jej urok na lutniach natchnionych proroków, przygotowuje żywy przybytek, gdzie Słowo ma się stać ciałem i gdzie mają się odbyć zaślubiny niewysławione natury boskiej z naturą ludzką. I oto przed zdumionym światem ukazuje się Niepokalana, przed którą jak wody morza czerwonego przed ludem wybranym, rozdzielają się mętne fale grzechu, a w Niej pełność łaski Bożej, chroniącej Matkę Boga przed przekleństwem pierworodnego grzechu i jakichkolwiek wykroczeń i ułomności.



W tym arcydziele stworzenia nie ma ani cienia choćby najlżejszej winy osobistej jeno piękno bez miary, co taki urok wokół siebie niesie, że stanie się marzeniem poetów, natchnieniem artystów, zachwytem świętych, ideałem i wzorem doskonałości. W niej wszystko to, czego pożąda serce ludzkie nie tylko usymbolizowane, ale i w najwyższej ludzkiej mierze ucieleśnione, w Niej prawda, piękno i dobro znajdują swój ostateczny wyraz stworzony. Bo jeśli pokora — jak mówi św. Bernard — jest niczym innym jeno prawdą, to gdzież więcej było jej, jeśli nie w życiu i działaniu Niepokalanej, która jako Matka Słowa Przedwiecznego zowie się służebnicą Pańską. Nic tedy dziwnego, że przez wieki całe pociągała za sobą wszystkich spragnionych czystej rozkoszy łaski, że w Jej szkole kształcili się najprzedniejsi bohaterowie świętości, że pod Jej egidą wzrastali rycerze wiary i krzewiciele Królestwa Bożego na ziemi.

W bieżącym właśnie roku w grudniu mija 350 lat od chwili, gdy papież Grzegorz XIII bullą „Omnipotentis Dei" z dnia 5 grudnia 1584 r. zatwierdził tzw. Kongregację Mariańską, jedno z największych i najwięcej owocnych dzieł, któremu patronowała Niepokalana.

Myśl założenia tej Kongregacji powstała w umyśle młodocianego członka zakonu OO. Jezuitów, flamandczyka Jana Leunisa, który wcielił ją w czyn naprzód wśród uczniów kolegium rzymskiego, by wkrótce zainteresować nią wszystką uczącą się młodzież w Rzymie. Sodalicja Mariańska, obejmująca z początku samych tylko uczniów, rozszerza się za zgodą papieży na ogół wiernych, otwierając swe podwoje dla każdego stanu. Najwyższym celem i zadaniem sodalicji jest wyrabianie w swych członkach doskonałości życiowej, właściwej każdemu stanowi a tym samym reforma poszczególnych stanów, a więc świata. Drugim charakterystycznym rysem idei, którą chce urzeczywistnić, to ogień apostolski, z jakim Sodalicja ma pracować dla udoskonalenia swych braci, tak włączonych do Sodalicji jak i poza nią stojących. Dzieła, zmierzające w tym kierunku, zostały obdarzone szczególnymi odpustami i stały się integralną częścią pracy sodalisów. Celem bliższym Sodalicji jest cześć dla Najświętszej Panny i z tej czci właśnie i na jej podłożu rodzi się doskonałość, bo nie można być czcicielem Marii bez

czystości życia i dążenia do doskonałości. A doświadczenie historyczne wymownie głosi, że dusze, w których prawda i łaska Chrystusowa najwierniejszy znalazły obraz, należały do największych i najczynniejszych chwalców Niepokalanej.

Szlachetna tedy garstka młodzieży w r. 1563, w której żyłach żołnierska płynęła krew, podjęła sztandar Niepokalanej, powiewający od wieków nad armią Kościoła; ci młodzi rycerze Niepokalanej niby żołnierze przysięgę składają i, cudowną mocą swej Dostojnej Protektorki wspomagani, rozrastają się w wielką milicję mariańską, która liczy dziś 50 tysięcy ognisk, skupiających miliony ludzi, a pośród nich robotnik obok głowy koronowanej, młodzieniec obok starca, uczony obok prostaczka — wszyscy zespoleni jednym celem: przez Marię oświecić siebie i światu do zbawienia dopomóc.

U nas w Polsce tytuł sodalisa był zaszczytnym mianem; nosili go królowie: Zygmunt III, Władysław IV, który był też założycielom Sodalicji Mariańskiej w Warszawie i równocześnie na zmianę ze swym bratem jej prefaktem. Tradycyjne przywiązanie do Bogarodzicy znalazło swój wyraz w szybkim rozwoju i wielkiej popularności tak stowarzyszeń jak i nabożeństw ku czci Niepokalanej Dziewicy. Dziś armia sodalisów objęła gęstą siecią całą Polskę: dość wspomnieć, że na zeszłorocznym zjeździe w Katowicach, sama diecezja katowicka przedstawiła zastęp członków Sodalicji w liczbie siedemnastu tysięcy.

Gdy mowa o kulcie Niepokalanej w Polsce, nie podobna pominąć milczeniem dzieła ostatnich lat, które swe powstanie zawdzięcza świątobliwemu franciszkaninowi ojcu Wenantemu, a którego rozwój tłumaczyć można jedynie przemożną opieką Niepokalanej. Mam na myśli znane w całej Polsce wydawnictwo p. t. „Rycerz Niepokalanej“, rozchodzące się w setkach tysięcy egzemplarzy w całej Polsce, a od kilku lat i w Japonii, w językn tubylczym. „Rycerz Niepokalanej“ prosty, serdeczny i bezpretensjonalny jak duch franciszkański, z którego powstał, dociera wszędzie i każdemu ma coś do powiedzenia; jest to jak gdyby ubogi Franciszkanin, który niestrudzenie kwestuje po domach, zagrodach i pałacach, jedną tylko mając bezinteresowną prośbę i jeden cel, by wszystkich pozyskać dla kultu Niepokalanej i przez to szczególne nabożeństwo odrodzić ducha religijnego w społeczeństwie polskim.

Dzieje Polski dziwnie się zrosły z kultem Niepokalanej; w ciągłych walkach o całość granic imię Marii było hasłem rycerstwa, w czasach spokojnych kult ten był źródłem chwalebnych obyczajów rodzinnych, społecznych i publicznych. Odrodzenie tego kultu żywo dziś postępuje, młode pokolenie zaciąga się coraz liczniej pod sztandar Marii, by w Jej szkole uczyć się czystości ducha i obyczajów, ofiarności dla bliźnich, męstwa, wytrwałości w pracy i obowiązku. W imię tedy szlachetnej tradycji polskiej, w imię zdrowia narodu, w imię dobrze zrozumianej miłości Ojczyzny ruchu tego tamować nie wolno, bo ryngraf Niepokalanej zdobił nie tylko piersi świętych, ale i mundur najwierniejszych i najdzielniejszych rycerzy i obrońców Ojczyzny.

Ks. dr Zygmunt Kozubski
profesor Uniwersytetu Warszawskiego

Dr M. Skrudlik.

Wit Stwosz jako artysta mariański.

Wit Stwosz uchodzi powszechnie za artystę wybitnie mariańskiego. W bogatej literaturze, dotyczącej tego artysty, definicja ta nie wychodzi jednak poza ramy ogólników.

Mariański charakter twórczości Wita Stwosza nie jest bynajmniej następstwem tematów, stanowiących treść głównych dzieł artysty, ale konsekwencja jego specyficznego ustosunkowania się do tych zagadnień.

Twórca wielkiego ołtarza z kościoła Panny Maril w Krakowie korzystał ze źródeł literackich, które od wieków służyły jako przewodnik i podręcznik dla wszystkich malarzy i rzeźbiarzy. W czasach Stwosza, ewangelie apokryficzne i kompilacje tych źródeł, opowiadające o życiu, zaśnięciu, Wniebowzięciu i Koronacji Najśw. Panny były codzienną powszechną strawą duchową mas najszerszych.

Ale ani ewangelie apokryficzne, ani „spekula“ — ani wreszcie „Legenda Złota“ Jakuba z Voragine nie zawierają wskazań, pokrywających się z najistotniejszą koncepcją Stwosza. Artysta nasz czerpać więc musiał także ze źródeł innych, nowszych.



Dla Stwosza jako artysty mariańskiego, najbardziej charakterystyczna jest scena główna z wielkiego ołtarza mariackiego, mianowicie Zaśnięcie Najśw. Marii Panny.

W r. 1570 ukazała się w druku praca wybitnego teologa i teoretyka sztuki kościelnej, profesora uniwersytetu w Lowanium, Jana Molanusa (1533—1585), wydana pod tytułem „De picturis et imaginibus sacris".

Molanus zmierzał do całkowitego oderwania przedstawień z życia Marii od wszelkiego realistycznego i rodzajowego podłoża. Mówiąc o Zaśnięciu Najśw. Marii Panny, wystąpił Molanus przeciwko tym „pozbawionym rozumu artystom", którzy odważyli się przedstawiać Matkę Bożą leżącą na łożu, jakby umierała Ona — jak zwykła śmiertelniczka, na skutek wyniszczenia organizmu przez starość i choroby. Nie tak zasypiała Matka Jezusa Chrystusa. Klęcząc z skrzyżowanymi na piersiach rękami, zatopiona w modlitwie, oczekiwała przyjścia Boskiego Syna.

Podniosła koncepcja znakomitego teoretyka sztuki kościelnej nie była jego własnością. Sztuka środkowo-europejska XV wieku wyprzedziła Molanusa i na sto lat przed wydaniem jego pracy stworzyła nowy typ zasypiającej Matki Bożej, typ całkowicie uzgodniony z słowami pisarza.

W ogromnej większości dzieł artystów włoskich, zwłaszcza szkół północnych (Padwa, Werona, Ferrara), zasypiająca Matka Boża jest kobietą w podeszłym wieku lub nawet zgrzybiałą staruszką. Tego rodzaju realizm w odniesieniu do przedstawień z życia Marii, grzeszył płytkością, był sprzeczny z wykładem Kościoła o Matce Bożej, niezgodną z tą rzeczywistością, której na imię było Maria.

Dla włoskich twórców scen ze schyłku życia Bogarodzicy, punkt wyjścia stwarzały dane z pism apokryficznych, mówiących o wieku Marii. Według jednych, Maria żyła na tym świecie 59 lat, według innych 63, a są nawet i tacy, którzy twierdzą, że lat 72 lub nawet dłużej. Realizm malarzy włoskich znajdował podstawę w tych danych, w tym wypadku bardzo zawodnych.

W istocie bowiem rzeczy, kwestia lat w życiu i ustroju Marii nie odgrywała takiej roli jak w życiu innych śmiertelników. Starość i związane z nią przemiany w organizmie jako będące następstwem skażenia natury ludzkiej grzechem pierworodnym, nie mogły zaciążyć na życiu Tej, która przyszła na świat wyjęta spod powszechnego jarzma grzechu pierworodnego.

„Według powszechnego przekonania, Maria nie zaznała tej zgrzybiałości, jaką przynosi za sobą starość, nie miała też cho-

roba przystępu do doskonałego ustroju dziewiczego Jej ciała. Umarła wtenczas, gdy Bogu spodobało się Ją powołać: Miłość bowiem Marii była tak olbrzymia, że zdolna była przyprawić Ją o śmierć. Miłość zerwała bez żadnego wysiłku, bez boleści



i konania, ostatni węzeł między ciałem a duszą; było to istotnie „zaśnięcie“, „przejście z ziemi do wieczności”*).

„Najśw. Panna żadnej i nigdy nie podlegała chorobie. Posiadając po Przenajświętszym ciele Pana Jezusa najdosko-

*) O. R. M. de la Breisse: Najśw. Panna.

nalsze, jakim tylko mogło być ciało ludzkie, jak przez całe życie tak i przy śmierci żadnych zgoła nie doznawała cierpień z chorobliwych przemian w ciele ludzkim czuć się dających. Maria nie umarła ani z choroby, ani ze starości"*).

„Choroba, córka grzechu, nie mogła mieć przystępu do tej istoty, więcej dalekiej od złego, niż niebo od piekła. Jezus także, choć „we wszystkim nalezion jest jako człowiek" (Filip 2, 7), tej nędzy i ułomności ludzkiej nie znał. Co do starości zaś, jakkolwiek w przyrodzonym porządku rzeczy, czas sam podkopuje każdą istotę na tej ziemi żyjącą i stopniowo sprawuje w niej zmiany i zniszczenia, Maria temu powszechnemu prawu nie podlegała. O Mojżeszu mówi księga święta, że było mu „sto lat i dwadzieścia lat, gdy umarł, a nie zaćmiło się oko jego" (Deuteron. 34, 7). Maria Panna, dzięki samemuż fizycznemu składowi swemu, więcej miała w sobie życia i siły, niż Mojżesz. Miała jej więcej, niż starzy patriarchowie, którzy po osiem i dziewięć wieków po tej ziemi pielgrzymowali" (Ks. Biskup Gay).

„Sławna jasnowidząca, Maria z Agredy**) — twierdzi, — i czemu nie mielibyśmy temu dać wiary, dodaje autor Tajemnic Różańca" ks. biskup Karol Ludwik Gay, — „że Najśw. Panna od trzydziestego roku życia, który był dla Niej jakby pełnością wieku, żadnego na ciele swoim zaniku, ani umniejszenia nie doznawała". „Na każdy dzień odnawiała się jako orłowa młodość jej (Ps. 102, 5) i już za życia sprawdzało się na Niej to proroctwo, które na wzór Jezusa, do którego naprzód się odnosiło, tak wspaniale spełnić się miało w śmierci i w niebowzięciu Jej, na błogosławionej Matce Jego: „Nie dasz świętemu oglądać skażenia" (Ps. 15, 10). „Umarła więc Maria bez cierpienia, umarła bez mdlenia, bez konania zwłaszcza. W obecnym porządku, jak nas uczy objawienie, śmierć jest karą, idącą w ślad za grzechem pierworodnym. Ponieważ Maria nie zaciągnęła winy grzechu pierworodnego, nie zaciągnęła też, jak my, kary śmierci. Jednakowoż, ponieważ sam Jezus, choć nie wziął na siebie grzechu, wziął jednak wszystkie jego następstwa, a zwłaszcza śmierć, więc i Maria musiała być Mu w tym podobna. A więc choć była niewinna, przecierpiała podobnie, jak

---

*) **Ks. L. Gay: Tajemnice Różańca Świętego.**

) **Miasto duchowe, cz. 3 ks. 8 r. 19.

Jej Syn niewinny, wszystkie bóle życia. A więc, jak On musiała również i Ona umrzeć, by również podobnie jak On, pocieszać, zachęcać i wzmacniać naszą słabość, przechodząc naprzód przed nami tę drogę, która nas tak przeraża"*).

Sprzeczny z założeniami mariologii pseudorealizm mistrzów włoskich, wywołał u schyłku średniowiecza w końcu XIV i w XV stuleciu, głęboką reakcję w sztuce Europy środkowej. W licznych „Zaśnięciach Matki Bożej" malarzy i snycerzy czeskich, austriackich i polskich, umierająca Maria promienieje dziewiczą urodą i dziewczęcą wiotkością.

W „Zaśnięciu" Wita Stwosza z kościoła Mariackiego w Krakowie, na tle potężnych, brodatych i kościstych postaci apostołów, dziewicza i dziewczęco wiotka postać zasypiającej Marii, o długich, jasnych włosach i delikatnych, bezwładnie już opadających rękach, wzrusza do głębi smutnym wdziękiem podciętego i zamierającego kwiatu. Maria i podtrzymujący Ją apostoł o długiej i ciemnej brodzie, tworzą centrum kompozycji, wokoło którego zgrupował Stwosz innych apostołów. Jedni z nich modlą się, inni jak św. Jan, pogrążeni w smutku, ocierają łzy, inni wreszcie podnoszą oczy ku górze, gdzie w promiennym blasku unosi się Chrystus ze swą wniebowziętą Oblubienicą.

Na planie drugim wprowadził Stwosz apostoła, gaszącego świecę, symbol życia. Stwosz oderwał definitywnie kompozycję Zaśnięcia od realistycznego tła, od określonego środowiska. Nie widać tu ani łoża, ani szczegółów urządzenia, ani architektury wnętrza. Scena rozgrywa się na abstrakcyjnym tle ciemnoniebieskim, na którym tajemniczo połyskują złote gwiazdy.

Żadne zbędne szczegóły nie niepokoją uwagi widza, nie rozpraszają i nie obniżają podniosłości nastroju.

W ołtarzu Wita Stwosza z kościoła Mariackiego w Krakowie, sceną główną jest Zaśnięcie Najśw. Panny. Zasadniczy ten temat uzupełniają sceny Wniebowzięcia i Koronacji Matki Bożej. Bezpośrednio nad sceną Zaśnięcia, promienistej glorii, pojawiają się postacie Chrystusa i wspierającej się na ramieniu Syna — Marii.

W ten sposób ujęta scena cielesnego Wniebowzięcia Matki Bożej stała się plastyczną interpretacją słów „Pieśni nad pieśniami",

*) O. K. de la Broisse.

odnoszących się do Wniebowziętej: „Któraż to jest, która wstępuje z puszczy (ziemskiej), opływająca rozkoszami, wsparta na umiłowanym swoim" (8, 5).

Wznoszący się wokoło Chrystusa i Marii aniołowie, uplastyczniają słowa antyfony: „Wzięta jest Maria do nieba, weselą się aniołowie, wychwalając błogosławią Panu".

Pod wływem Wita Stwosza powstał na ziemiach polskich i w ich bezpośrednim sąsiedztwie, szereg obrazów i rzeźb, opar-



tych całkowicie o dzieło wielkiego artysty. Śmiało rzec można, że koncepcja Stwosza stała się wzorem kanonicznym, obowiązującym dla artystów polskich.

Wielki ołtarz z kościoła Mariackiego w Krakowie ukończył Stwosz w r. 1489. Data ta jest doskonałym wskaźnikiem orientacyjnym: Ołtarz Wita Stwosza powstał w atmosferze żywiołowo potężniejącego kultu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marii Panny.

W r. 1476 ustanowiła Stolica Apostolska na dzień 8 grudnia officium o Niepokalanym Poczęciu Najśw. Marii Panny a w r. 1483 poświęcono w Rzymie słynną kaplicę sykstyńską —

Niepokalanej. Ruch ten, któremu przewodziły zakony franciszkańskie, był powszechny. W tych to także latach, to jest w ostatnim dwudziestopięcioleciu XV wieku narodziły się w plastyce nowe, całkowicie skrystalizowane formy ikonograficzne i kompozycyjne, zespolone z kultem Immaculaty.

Wyrazem tej wiary i przykładem nowych koncepcyj ikonograficznych na ziemiach polskich — są z końca V w. pochodzące figury Immaculaty z pałacu biskupiego w Pelplinie i z kościoła św. Marcina w Warszawie (ostatnio wymienioną rzeźbę przerobiono i uzupełniono w XVIII wieku w sposób niewłaściwy). Pomiędzy przedstawieniami Immaculaty z końca XV stulecia a dziełem Wita Stwosza z kościoła Panny Marii — zachodzi związek bezpośredni. Rzeźbiąc postać gasnącej Matki Bożej, realista z krwi i kości, Stwosz, zerwał całkowicie z realizmem historycznym, któremu ulegała nawet mistyczna szkoła sieneńska.

Łuszczkiewicz w pracy swojej o treści rzeźb ołtarza wielkiego z kościoła Panny Marii w Krakowie (Kraków, 1863) — twierdzi, że dzieło Stwosza powstało w atmosferze legend średniowiecznych. Tego rodzaju ujęcie zagadnienia równa się zupełnemu niezrozumieniu koncepcji Stwosza. Legendy bowiem, o których mówi Łuszczkiewicz, były anachronizmem w stosunku do pojęć religijnych i wyobrażeń artystycznych wielkiego rzeźbiarza.

Wyrosła na podłożu mariologii owych czasów, — myśl — pozostawiła już daleko za sobą świat naiwnych legend.

Koncepcję Stwosza cechuje aktualność i nowoczesność ujęcia, pełne uzgodnienie z prądami, nurtującymi w nowoczesnej mariologii. Odrywając się w ujęciu postaci Marii od realizmu historycznego, Stwosz konsekwentnie przeprowadził i ukształtował całość kompozycji, to znaczy przeszedł również do porządku dziennego nad rodzajowymi zamiłowaniami i dążeniami dawniejszych mistrzów. Pod wpływem nawoływań i propagandy pisarzy kościelnych XV wieku, których poglądy Molanus w pełni aprobował, nie tylko w scenie Zaśnięcia ale i w scenach Bożego Narodzenia zanikała szybko rodzajowość w traktowaniu tematu. Anegdotycznie i historycznie ujęte sceny Bożego Narodzenia ustąpiły miejsca Adoracji Dzieciątka Jezus — a więc koncepcjom liturgicznym. W kompozycjach tych Maria nie

nachyla się nad Dzieciątkiem, ale złożywszy ręce do modlitwy lub skrzyżowawszy ramiona na piersiach — „wielbi tego, którego porodziła".

„Boże Narodzenie" na skrzydłach wielkiego ołtarza mariackiego jest adoracją narodzonego Zbawiciela.

Wysunięcie postaci Marii jako figury koncentrycznej w „Wniebowstąpieniu Pańskim" i w „Zesłaniu Ducha Św." — z wielkiego ołtarza mariackiego — było również wyrazem głębokiego wniknięcia w ducha mariologii.

Mówiąc o plastycznych przedstawieniach Wniebostąpienia Chrystusa, zaznaczył jeden z wybitnych historyków doby ostatniej: „Cud ten stał się na górze Oliwnej, a ponieważ istniał tam kościół pod wezwaniem Najśw. Panny, odbiło się to na kompozycjach w ten sposób, że Matka Boska stała się świadkiem tego zdarzenia."

Trudno istotnie — o bardziej płytkie ujęcie rzeczy. Nie przypadkowe istnenie na górze Oliwnej kościoła pod wezwaniem Matki Bożej, ale Jej najistotniejsza rola w dziejach Odkupienia zadecydowała o obecności Marii w scenach Wniebowstąpienia Pańskiego i Zesłania Ducha Św.

Dla apostołów i wiernych, Matka Boża o odejściu Chrystusa przedstawiała Jego obecność. Była Ona centrum, około którego gromadził się najpierwotniejszy Kościół. Rola Jej polegała nie na rządzeniu, ale na niesieniu światła. Dla apostołów i pierwszych wyznawców, Maria była przede wszystkim świadkiem. Któż większą od Niej posiadał znajomość ducha i myśli Jezusa. „Wszystkie tajemnice, które wymagały uzupełnień, potwierdzenia czy świadectwa" — mówi św. Anzelm, — „zostały apostołom wyjaśnione, rozwinięte i potwierdzone przez Twoje święte usta, jako przez wiernego Tłumacza".

Odzwierciadleniem tej kierowniczej i oświecającej roli Marii u zarania Kościoła są plastyczne przedstawienia Wniebowstąpienia Chrystusa i Zesłania Ducha Św. z koncentryczną postacią Bogarodzicy.

Aktualizm Stwosza w dziedzinie przedstawień mariańskich uzewnętrznił się jeszcze w jednym jego dziele, mianowicie w „Pozdrowieniu Anielskim" (z lat 1517—1518) z kościoła św. Wawrzyńca w Norymberdze. Dopełnienie sceny głównej, tj. „Zwiastowania N. M. P." — tworzą tutaj medaliony w liczbie

siedmiu, zespolone wieńcem z róż. W medalionach tych przedstawił Stwosz sceny radosne z życia Marii. W języku Pisma św. — liczba siedem posiadała znaczenie mistyczne i oznaczała wartości nieskończone.

W plastyce przedstawienia „Siedmiu boleści“ i „Siedmiu radości“ Marii pojawiać się poczęły około połowy XV wieku. Początek kompozycjom tej treści dała Flandria.

„Pozdrowienie Anielskie“ Stwosza jest żywym przykładem czujności i wrażliwości artysty na wszelkie przejawy w życiu artystycznym związane z kultem mariańskim.

Do gruntu mariański charakter twórczości Stwosza był rezultatem współżycia i współdziałania artysty z ówczesnym kierunkiem myśli mariologicznej.

Jako artysta mariański był Stwosz twórcą na wskroś nowożytnym, aktualizującym w swych dziełach problemy, wysuwające się wówczas na czoło życia duchowego i manifestujące się w kulcie Najśw. Marii Panny.

W Zakresie formy — był Stwosz artystą średniowiecznym, — w zakresie koncepcyj mariańskich osiągnął te wyżyny, na które wzniosła się sztuka hiszpańska XVII stulecia, wykwitła w atmosferze kultu Immaculaty.

Ks. Jan Górecki

Ks. Bronisław Markiewicz jako wieszcz.

Żyjemy w okresie gwałtownych przemian dziejowych, w oczekiwaniu wielkich rozstrzygnięć. Od roku 1933, od rozpoczęcia drugiej piatiletki bolszewickiej i objęcia władzy przez Hitlera chmury wojenne nieustannie grożą skołatanej ludzkości. Wojna miniona nie pogodziła sprzeczności, głęboko sięgających w narodowe organizmy, raczej przeciwnie wywołała i rozpaliła do stanu ustawicznego wrzenia nowe problemy i nowe stworzyła powikłania międzynarodowe i społeczne. Szalone zbrojenie, stan ustawicznej gotowości bojowej, technika broni najnowszej, w groźnym świetle przedstawiają najbliższą przyszłość. Czy unikniemy wojny i grożącego po niej rozprężenia — oto pytanie, które ciśnie się na usta wszystkim. Odpowiedź na nie jest przygniatająca i nie pozostawia ani śladu pociechy. Są bowiem potężne siły podziemne rewolu-

cyjne, którym zależy na pogrążeniu świata w krwawą burzę wojenną, by na gruzach dotychczasowej kultury zbudować inny ład, przewidziany przez Mędrców Syjonu.

Świat żyje w największym zdenerwowaniu, które niestety odbiera nam siłę moralną i ufność w zwycięstwo a powiększa siłę wrogów. Wielu pisarzy publicystów popada w ostateczne zwątpienia, widząc w zbliżających się wypadkach zapowiedź rzeczy ostatecznych, według przepowiedni Pana Jezusa.

Uleganie takiej psychozie jest rzeczą bezwarunkowo szkodliwą, świadczy bowiem o rezygnacji duchowej wobec grożących następstw.

Właśnie teraz potrzeba odwagi i wiary w siły dobra, którego i dziś mimo wszystkich okropności, jest na świecie więcej niż zła. Zło jest tylko głośniejsze i nie przebiera w środkach. W tym cała tajemnica jego pozornych sukcesów. Okres szału, w jakim żyjemy minie, a po nim nastąpi tryumf Kościoła, tryumf sprawiedliwości. Sprawiedliwość dopiero zrodzi pokój trwały.

Ks. Bronisław Markiewicz, który ze świętością życia łączył i dar proroczych przepowiedni, przewidywał wyraźnie obecne wypadki i nie taił swoich przewidywań przed społeczeństwem polskim. Oto jeszcze w r. 1899 w lipcu pisał w Powściągliwości i Pracy:

„Sprawiedliwość i pokój oto przyczyna i skutek wzajemnie podążające za sobą. Olbrzymie niepokoje i wojny są skutkiem potwornych niesprawiedliwości pojedynczych i zbiorowych... Wskutek podeptania sprawiedliwości przyjdzie na narody klęska, takich rozmiarów, jakiej historia jeszcze nie wykazała. Oto bankructwo powszechne, wojna wszechświatowa nadzwyczaj mordercza, która zwycięzców i zwyciężonych doszczętnie zrujnuje... Wiem, że mój głos wołającego na puszczy przebrzmi narazie bez skutku, lecz go podnoszę z obowiązku, aby przynajmniej potomność wiedziała, na jakich podstawach urządzić stosunki społeczne".

A w ostatnich chwilach życia swego w r. 1911 pisał: „Wojna załamie handel, przemysł i rolnictwo. Głód i stosy trupów spowodują zarazy, króre pożrą więcej ludzi niż żelazo i pociski pękające. Na dobitek tłumy pozostałe rzucą się na możnych tego świata i zbroczą dłonie swoje krwią bratnią... Ale po kilku latach szału dzikiego, reszta pozostałych oglądnie się wokoło

i ujrzy ze zdumieniem naród polski żyjący twardo, a w zgodzie bratniej i w przyjaźni Bożej i zaczną nam zazdrościć stanu naszego.

Rzeką: Wszak to naród, co przez długie wieki był przedmurzem naszym przed hordami barbarzyństwa z północy. To przedmurze upadło, nas zalało barbarzyństwo. Postawmy je znowu, w tym nasz obowiązek i interes.

Wyciągną ku nam ręce i zawołają: Dajcie nam mistrzów, a nauczcie nas żyć szczęśliwie na ziemi, podobnie wam".

Niejednokrotnie w rozmowach ze swymi bliskimi Ks. Bronisław Markiewicz mówił o tych wypadkach, ale zawsze w słowach pełnych otuchy i zapału, a opowiadając, szerzył ufność a nigdy przygnębienie i trwogę. Przewidywane nieszczęścia dziejowe były dla niego naturalnym skutkiem odstępstwa od wiary i podeptania zasad Chrystusowych w życiu. A że naród Polski wyłączał od bliższego udziału w straszliwej karze, która na świat przyjść musi, działał pod natchnieniem nadzwyczajnej łaski Bożej i objawienia, którego mu Bóg udzielił jeszcze w r. 1863.

Dziwne to było zdarzenie a cud oczywisty. Oto pewnego dnia w maju 1863 r. Ks. Bronisław Markiewicz jeszcze jako młodzieniec 21 letni w gronie rówieśników swoich, między innymi niejakiego J. Dąbrowskiego, ujrzał w dzień jasny pacholę kilkunastoletnie nadziemskiej piękności i postaci i usłyszał z ust tego pacholęcia rzeczy naprawdę zdumiewające. Było to prawdziwe proroctwo o przyszłych losach Polski i Europy, a zarazem, zesłane przez Ks. Markiewicza i współuczestników tego widzenia, orędzie Boże do narodu Polskiego. Nigdy nie podawaliśmy w wątpliwości prawdziwości tego zdarzenia, raczej przeciwnie, wobec wielokrotnych opowiadań o tym przez samego Ks. Markiewicza, całe to zdarzenie i autentyczny tekst przepowiedni Bożej były dla nas czymś tak zwyczajnym jak sam fakt, że żyjemy w domowym gronie naszego świątobliwego Założyciela.

Przez długie lata byliśmy przekonani, że sami jedni jesteśmy posiadaczami tych przepowiedni. Zupełnie niespodzianie w sierpniu r. 1930 otrzymałem od Przełożonej Sióstr Niepokalanek z Jazłowca list nadzwyczajnej doniosłości.

Oto pisze w tym liście, że w posiadaniu Sióstr Niepokalanek znajduje się opis cudownego widzenia, które miał niejaki Józef Dąbrowski w maju 1863 r. W opisie wyraźnie zaznaczono,

że jednym ze świadków tego widzenia był młodzieniec nazwiskiem Bronisław Markiewicz.

Otóż zapytuje w tym liście, czy nie jest to przypadkiem nasz Założyciel Ks. Bronisław Markiewicz, i czy my co o tym widzeniu wiemy.

Dzięki wielkiej ciekawości Sióstr Niepokalanek otrzymaliśmy odpis owego cennego dokumentu. Zestawienie obu tekstów wykazuje ich zupełną autentyczność. Drobne różnice należy wytłumaczyć tym, że ani Ks. Markiewicz ani Dąbrowski nie otrzymali przepowiedni na piśmie, a tekst odtwarzali z pamięci.

Oto autentyczny tekst według widzenia Ks. Bronisława Markiewicza:

„Pokój wam, Słudzy i Służebnice Pańscy! Ponieważ Pan Najwyższy was więcej umiłował, aniżeli inne narody, dopuścił na was ten ucisk, abyście oczyściwszy się z grzechów waszych, stali się wzorem dla innych narodów i ludów, które niebawem odbiorą karę sroższą od waszej „*w zupełności grzechów swoich*". Oto już stoją zbrojne miliony wojsk z bronią w ręku straszliwie morderczą. Wojna będzie powszechna na całej kuli ziemskiej i tak krwawa, iż naród położony na południu Polski wyginie wśród niej zupełnie. Groza jej będzie tak wielka, iż wielu ze strachu rozum postrada. Za nią przyjdą następstwa jej: głód, mór na bydło i dwie zarazy na ludzi, które więcej ludzi pochłoną, aniżeli wojna sama. Ujrzycie zgliszcza, gruzy naokół i tysiące dzieci opuszczonych, wołających chleba.

Tekst zachowany przez J. Dąbrowskiego a przysłany nam ż Jazłowca:

„Ponieważ Pan Najwyższy was więcej umiłował, niż inne narody, dopuścił na was ten ucisk, abyście oczyściwszy się z grzechów waszych, stali się wzorem dla innych narodów i ludów, które niebawem odbiorą karę zasłużoną, sroższą od waszej w uzupełnieniu grzechów swoich. Oto już stoją zbrojne miliony wojsk z bronią w ręku, straszliwie morderczą. Wojna będzie powszechna na całej kuli ziemskiej... groza jej będzie tak wielka, iż wielu ze strachu rozum postrada. Za nią przyjdą następstwa jej: ujrzycie zgliszcza i gruzy naokół i tysiące dzieci opuszczonych, wołających chleba.

W końcu wojna stanie się religijną. Walczyć będą dwa

W końcu wojna stanie się religijną: walczyć będą dwa przeciwne obozy: obóz ludzi wierzących w Boga i obóz niewierzących w Niego. Nastąpi wreszcie bankructwo powszechne i nędza, jakiej świat nigdy nie widział, do tego stopnia, iż wojna sama ustanie z braku środków i sił. Zwycięzcy i zwyciężeni znajdą się w równej niedoli i wtedy niewierni uznają, iż Bóg rządzi światem i nawrócą się, a między nimi wielu żydów. Wojnę powszechną poprzedzą wynalazki zdumiewające i straszliwe zbrodnie popełniane na całym świecie. Wy Polacy przez ucisk niniejszy oczyszczeni i miłością wspólną silni, nie tylko będziecie się wzajem wspomagali, nadto poniesiecie ratunek innym narodom i ludom nawet wam niegdyś wrogim. I tym sposobem wprowadzicie dotąd niewidziane *braterstwo ludów*, Bóg wyleje na was wielkie łaski i dary, wzbudzi między wami ludzi świętych i mądrych i wielkich mistrzów, którzy zajmą poczytne stanowiska na kuli ziemskiej, języka waszego będą się uczyć w uczelniach na całym świecie. Szczególniej przez Polaków Austria podniesie się i stanie się fede-

obozy: obóz ludzi wierzących w Boga i obóz niewierzących w Niego.

Nastąpi wszędzie] bankructwo powszechne i nędza... Zwycięzcy i zwyciężeni znajdą się w równej niedoli... Wojnę powszechną poprzedzą wynalazki zdumiewające i straszliwe zbrodnie popełniane na całym świecie. Wy Polacy, przez ucisk niniejszy oczyszczeni i miłością wspólną silni, nie tylko będziecie się wzajem wspomagali, nadto poniesiecie ratunek innym narodom i ludom nawet wam niegdyś wrogim. I tym sposobem wprowadzicie dotąd niewidziane braterstwo ludów. Bóg wyleje na was wielkie łaski i dary, wzbudzi między wami ludzi świętych i mądrych i wielkich mistrzów, którzy zajmą poczesne stanowiska na kuli ziemskiej. Języka waszego będą się uczyć w uczelniach na całym świecie... Cześć Marii i Najświętszego Sakramentu zakwitnie w całym narodzie polskim... Najwięcej zaś Pan Bóg was

racją ludów. A potem na wzór Austrii ukształtują się inne państwa. Najwyżej zaś Pan Bóg was wyniesie, kiedy dacie światu wielkiego papieża. Ufajcie przeto w Panu, bo dobry, miłosierny i nieskończenie sprawiedliwy jest. On pokornych podwyższa i im łaskę dawa, a pysznych poniża i odrzuca na wieki. Szukajcie przede wszystkim Królestwa niebieskiego, dóbr duchownych, które trwają na wieki, bo co nie trwa na wieki, nie jest dobrem prawdziwym. Tym sposobem zapełnicie niebo, a na tej ziemi znajdziecie szczęście, jakiego świat dać nie może. Polacy, Bóg żąda od was nie walki, jaką staczali najlepsi przodkowie wasi na polach bitw w chwilach stanowczych, ale bojowania cichego, pokornego a znojnego na każdy dzień, szczególniej przeciw nieprzyjaciołom dusz waszych, żąda od was walki w duchu Chrystusowym i w duchu Świętych Jego. On chce od was, abyście każdy na swoim stanowisku wiedli przede wszystkim na każdy dzień *bój bezkrwawy*. Tylko pod tym warunkiem dostaniecie się do nieba, a w dodatku zajmiecie już na tej ziemi świetne stanowisko pomiędzy narodami. Pokój wam!”

wyniesie, kiedy dacie światu wielkiego Papieża.

Ufajcie przeto w Panu, bo dobry jest i miłosierny i nieskończenie sprawiedliwy. On pokornych podwyższa i łaskę im dawa, a pysznych poniża... Szukajcie przede wszystkim królestwa niebieskiego, dóbr duchownych, które trwają na wieki — bo co nie trwa na wieki, nie jest prawdziwe. Polacy! Bóg żąda od was... bojowania cichego, pokornego, znojnego na każdy dzień, szczególnie przeciw nieprzyjaciołom dusz waszych. Żąda od was walki w duchu Chrystusowym... On chce od was, abyście każdy na swym stanowisku wiedli przede wszystkim na każdy dzień bój bezkrwawy. Tylko pod tym warunkiem dostaniecie się do nieba! A w dodatku zajmiecie już na tej ziemi świetne stanowisko pomiędzy narodami.

„Pokój wam“.

Tak autentycznie stwierdzona przepowiednia i słowa Ks. Markiewicza, są dla nas wszystkich wystarczającą nadzieją

i otuchą. Bez trwogi patrzymy w przyszłość ufając, że cokolwiek się zdarzy, Bóg będzie naszą obroną. Czy wojna rozgorzeje nad naszą wschodnią czy zachodnią granicą, czy bolszewizm zechce przerwać słupy graniczne, czy żagiew rewolucji zechce rzucić pośród nas, nie boimy się następstw. Złączymy się zgodą i miłością bratnią — zachowamy wiarę i uczciwość a wroga zewnętrznego bez względu na jego ilość i jakość broni i techniki wojennej przepędzimy siłą zbrojną, którą Bóg będzie wspierał, a potem pomożemy odbudować świat z gruzów. Dodać potrzeba, że Austria już u siebie realizuje konkretny program społeczny oparty na Ewangelii Chrystusowej, a świadomość misji dziejowej jest tam bardzo silna i powszechna.

Ks. Henryk Weryński.

Potężne ramię.

To, co przeżywa ludzkość współczesna, *jest* dla niej i dla tzw. cywilizacji, którą się chlubi, nad wyraz *bolesnym doświadczeniem.*

Mimo wybitnego postępu technicznego i mimo bezsprzecznie nadzwyczajnych zdobyczy w tej dziedzinie, *człowiekowi jest ciężko i źle. Wewnątrz*: załamanie gospodarcze, kryzysy wrzynające się głęboko w organizmy społeczne i państwowe, wstrząsające egzystencją jednostek, rodzin i całych warstw... *Zewnątrz*: stałe pogotowie wojenne, podrzymywane przez ustawiczne zbrojenia, coraz intensywniejsze i coraz bardziej przerażające tych, co umieją patrzeć w przyszłość i zdać sobie sprawę z tego, co przyniesie jutro — na wypadek wojny. Ligi narodów, traktaty, pakty itp. stają się coraz bardziej pojęciami nietrwałymi i dotykającymi rzeczywistości w bardzo małej mierze.

Tak często nadużywa się porównania o „siedzeniu na wulkanie"... Ale — czy obecne położenie nie usprawiedliwia poważnego stwierdzenia, że tak jak jest dziś, to wulkan grozi wybuchem z wewnątrz i z zewnątrz.

Są *wysiłki* w tym kierunku, *by zażegnać niebezpieczeństwo.* Mnożą się całe stosy recept na uzdrowienie stosunków w świecie — na wielkiej i małej arenie życia. Mnożą się stosy książek, rozpraw, broszur, czasopism, pełnych najrozmait-

szych pomysłów, środków zaradczych, lekarstw. Mnożą się konferencje, zjazdy, referaty, dyskusje. Stoimy przed formalnym potopem planów uzdrowienia stosunków.

I... nie widzimy, by było choć trochę lżej i lepiej — naprawdę.

Dlaczego?

Czyżby brakło mądrych polityków, mężów stanu, ekonomistów, fachowców i znawców zagrożonych dziedzin życia?

Nie, — mamy ich (owszem!) pod dostatkiem.

Ale wszyscy oni *nie sięgają do jądra tajemnicy obecnych bied, załamań.*

*

Jest w spuściźnie Stanisława *Wyspiańskiego* mało znane, a przepiękne w swej prostocie miejsce (w czwartej scenie „Legionu"), zaczynające się od słów:

„*nie pomogą świata znachory,* —
serce w tobie boleje rozpaczą,
nie pomogą, serc nie przeinaczą!"

Te słowa zawsze przypominają mi się i stają żywo przed oczyma mej duszy, ilekroć wmyślam się w obecne położenie świata.

„*Nie pomogą świata znachory...*
Serc nie przeinaczą!"

Trzeba zatem *znaleźć drogę do serc.*

I — trzeba te *serca przeinaczyć*!

Trzeba potężnym ramieniem sięgnąć w samą głąb ludzkich serc...

Kto to potrafi?

Kto podoła temu zadaniu?

Nikt pośród „świata znachorów" — *tylko jedyny Zbawca i Lekarz ludzkości, Chrystus,* o którym przedwcześnie zgasły poeta napisał:

„... *On* — błogosławi wszystkiemu dookoła!
Kobiety idą za nim, idą dzieci —
i stada biegną za nim białorune,
a On je wiedzie z sobą w złotą łunę,
co tam — jak uśmiech — na błękitach świeci...
I tak ma serca w ręku, jakby strunę,
z której, gdy zechce, budzi pieśń, co leci..."

(Jerzy Żuławski „Eros i Psyche" — Zmierzch bogów — Zakończenie).

Dlaczego ma on *„serca w ręku — jakby strunę?"* Sam poeta daje odpowiedź, gdy mówi o Chrystusie:

„miłość On niesie na światy — jak zorzę..."

Z tej miłości Chrystusowej zapaliło się olbrzymie ognisko, któremu najczcigodniejsza tradycja, sięgająca daleko w przeszłość, nadała krótką nazwę: CARITAS.

CARITAS znaczy *miłość*, ale w innym ujęciu niż to wszystko, co zwykł świat nazywać miłością, nadużywając tego cudnego słowa: miłość — na określenie zmysłowego uniesienia lub zwierzęcej chuci, przedstawianej w różnych (mniej lub więcej przejrzystych) obsłonkach na deskach teatralnych, na białej ścianie kinowej, w płytkiej powieści, lekkiej piosence itd.

CARITAS — to *miłość z Boga poczęta*, idąca ku bliźniemu, oglądanemu w świetle Bożym, które ukazuje nam w każdym człowieku „obraz i podobieństwo" Stwórcy i brata czy siostrę każdego z nas...

CARITAS — to *miłość poświęcająca się dla drugich*, w oddaniu bezprzykładnym, nieznanym pogaństwu, bo zrodziła się ona na Golgocie u przybitych nóg Zbawiciela świata, Jego najświętszą Krwią uświęcona i z tej Krwi — w sakramentach świętych po dzień dzisiejszy — czerpiąca moc bohaterskiego oddania dla wszystkich, nawet tych „najmniejszych", tych „robaczków ziemskich" (Ks. Piotr Skarga).

Nie ma ani słowa przesady w tym, że CARITAS, czynna miłość bliźniego, zrodziła się ze Serca Pana Jezusa...

Pan Jezus przyniósł tę miłość na świat, przeciwstawiając ją samolubstwu i wygórowanej miłości własnej oraz chęci zysku, które były sprężynami pogańskiego świata Jego epoki. Głosząc przykazanie nowe *o miłości bliźniego — jak siebie samego*, dając na Sobie przykład wymowny *miłości drugich ponad siebie samego*, dał Pan Jezus światu *najmędrszą naukę społeczną.* W tej nauce Chrystusowej o miłości bliźniego mieści się więcej mądrości społecznej niż we wszystkich programach socjologów wszystkich czasów. I gdzie ta nauka panuje i kieruje stosunkami społecznymi, tam łatwo o odpowiedź na wszystkie kwestie społeczne, które pojawiają się ciągle w związku ze zmianami, towarzyszącymi rozwojowi człowieka i ludzkości...

(Porównaj: Bartmann „Jesus Christus, unser Heiland und König").

Apostołowie przyjęli tę naukę miłości chrześcijańskiej *z ust i ze serca Chrystusa Pana.* Kładli tę naukę miłości *jako podwalinę powoływanych przez siebie do życia pierwszych gmin chrześcijańskich*, pierwszych parafii, powstających zrazu w ziemi żydowskiej, a potem po różnych stronach wielkiego imperium rzymskiego.

To, co było treścią życia wyznawców Chrystusa Pana, żyjących bezpośrednią i świeżą tradycją, czerpaną wprost ze „zdrojów Zbawicielowych", streszcza się w jednym słowie: CARITAS... Oto — jak przepięknie objaśniają to słowo Dzieje Apostolskie, przedstawiając wierny obraz nastrojów i zasad życiowych pierwszych chrześcijan: „wszyscy też wierzący trzymali się razem i mieli wszystko wspólne. Sprzedawali majętności i dobytek i obdzielali tych wszystkich, jak każdemu było potrzeba. A mnóstwa wierzących było serce jedno i dusza jedna i nikt z nich tego, co miał, swoim nie nazywał, ale było im wszystko wspólne. Nie było między nimi nikogo w niedostatku, gdyż wszyscy, co mieli role albo domy, sprzedawali je i przynosząc zapłatę za rzeczy sprzedane, składali ją u stóp Apostołów i rozdawano każdemu: ile komu było potrzeba..."

W następnych wiekach dbał również zawsze Kościół święty, by miłość czynna, CARITAS, kwitła zawsze pomiędzy wiernymi. Wszędzie spotykamy się z przepięknymi przykładami poświęcenia dla bliźnich. Wszędzie dźwięczy to samo nawoływanie do miłości, ktore rozległo się — przed wiekami — z ust najświętszych Zbawiciela: „po tym poznają, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jedni do drugich"...

Miłość czynna dla bliźnich była zawsze tą jedyną legitymacją, którą mieli się wykazać prawdziwi uczniowie Chrystusowi. Kościół nie odstąpił ani na jotę od tej zasady. Nie odstąpił po dzień dzisiejszy. CARITAS bowiem należy *do istotnej treści spuścizny Chrystusa Pana* — po wszystkie wieki!

*

Z katolickiej CARITAS wyrosły te przewspaniałe i błogosławione *dzieła, które są żywą apologią katolicyzmu*, apologią tak silną, że jej argumentacji nikt się nie oprze.

Można dysputować z tym czy innym filozofem czy teologiem katolickim, ale trzeba pochylić czoło i ugiąć kolano, gdy stają przed nami ze swym bohaterstwem miłości: Św. Jan Boży, Św. Hieronim Aemiliani, Św. Wincenty á Paulo, Św. Jan Bosco, Brat Albert, Ks. Bronisław Bonawentura Markiewicz...

Gdy oni defilują przed sądem historii, idąc za Chrystusem i św. Biedaczyną z Assyżu, musi przed nimi stanąć na baczność cały świat cywilizowany!

Oni bowiem wskazują ludzkości to *potężne ramię, które może podnieść i wyrwać z toni i zwycięstwo zapewnić,* — miłość czynną bliźniego, CARITAS, *najcenniejszy klejnot z Chrystusowego skarbca...*

Wielkie dziś przed nami zadanie i olbrzymie trudności! Mamy przecież apostołować dziś — idąc za rozkazem Namiestnika Chrystusowego — w zwartych szeregach „Akcji Katolickiej"... A tu — wśród nas tyle słabości, a przeciw nam zmobilizowany obóz bezbożniczy i nowopogański. Naprawdę położenie przerażające... Ale pamiętajmy: *Niczym nie będziemy tak przekonywać wrogów i niczym tak nie będziemy zjednywać pod sztandar Chrystusowy oziębłych — jak czynną miłością bliźniego, dobrze zmontowaną organizacyjnie i przy Sercu Jezusowym ogrzaną CARITAS.*

CARITAS jest tym generałem, który *zwycięży w obecnym splocie trudności gospodarczych, społecznych i wszystkich innych,* które przerażającą lawiną zalały świat współczesny, przeżarty egoizmem i zmaterializowany, *chory... na serce.*

CARITAS dobrze pojęta i po Bożemu wprowadzona w życie rodzinne i państwowe, będzie tym *potężnym ramieniem, które zatknie zwycięski sztandar na gruzach samolubstwa, prywaty, wyzysku i krzywdy tych „braci naszych najmniejszych"...*

*

Jakąż żywą radością napełniają się nasze serca, gdy w pierwszych szeregach przedstawicieli dobrze wyczutej i zgodnie z Sercem Bożym zorganizowanej CARITAS widzimy założyciela „Towarzystwa Świętego Michała Archanioła" i fundatora Miejsca Piastowego, Czcigodnego *Księdza Bronisława Bonawenturę Markiewicza...*

Obdarzony darem proroczym i uderzającym wyczuciem potrzeb społeczeństwa organizuje *ważny odcinek CARITAS,*

zdając sobie sprawę, że *młodzież opuszczona* — to jedna z najważniejszych pozycji w bilansie miłości czynnej. Bo młodzież — to żywa przyszłość narodu!

Wiedział też doskonale, że *do młodzieży tylko miłością można trafić najpewniej,* że młodzież doskonale wyczuwa miłość wychowawcy. Stąd też całe Jego odnoszenie się do przygarniętych piskląt i cały Jego system wychowawczy, przekazany w spuściźnie synom duchownym, przepojone miłością i na miłości budowane.

* * *

Myśli, tu rzucone, przeznaczone są do przetrawienia i do przedyskutowania wśród tych, którzy dotykają się dzisiejszej rzeczywistości i mają możność zajrzeć w głąb bolączek społecznych. Zwłaszcza wśród przyjaciół dzieła i idei Ks. B. B. Markiewicza...

Niech tym myślom pobłogosławi P. Bóg — na drogę do serc!

Niech myśli tu poruszone choć w drobnej mierze przyczynią się do otwarcia na oścież serc ludzkich!

Jeśli *jutro* ma zatriumfować *sprawiedliwość* w świecie, *dziś* musi utorować jej drogę... *miłość.*



O „Gwiazdo“ moja! Świeć mi na niebie
I przez te burze, rozdroża
Wiedź mnie do Boga, wiedź mnie do Siebie,
Przecudna Ty — „Gwiazdo morza“!...

Ks. Władysław Czencz.



Ks. Jan Górecki.

Stan i potrzeby Zakładu w Miejscu Piastowym.

Zakład Wychowawczy dla sierót w Miejscu Piastowym założony przez Ks. Bronisława Markiewicza, a prowadzony przez Tow. Św. Michała Archanioła przeznaczony jest dla dzieci biednych i opuszczonych. Wychowanków przyjmuje i utrzymuje zupełnie bezpłatnie, chyba że jakieś dziecko jest pozbawione opieki rodzicielskiej, ale ma jakiś majątek. Wówczas od opiekunów opłaty się domaga, gdyż byłoby niesłusznym, aby ci dorabiali się majątkiem a dziecko pozostawiali na łasce Zakładu.

Ale to są wyjątki tak nieliczne, że powyższe zastrzeżenie pozostaje właściwie tylko teorią. Czasem się zdarzy, że dziecku przyślą ubranie czy obuwie. Bo i tego majątku, jaki tam komu pozostał po rodzicach, nie można najczęściej brać poważnie, gdy całej schedy jest wszystkiego 1 mórg na siedmioro dzieci.



Orkiestra Zakładowa.

Ale też nigdy kwestia opłaty nie była i nie jest, a zapewne nie będzie warunkiem przyjęcia sieroty do naszego Zakładu.

Są zakłady inne, które przyjmują wychowanków za opłatą — u nas przyjmuje się tylko takich, którzy nic nie mają, za których nikt nie płaci.

Teoretycznie biorąc, takich w Polsce być nie powinno, ponieważ rozporządzenia Ministerstwa Opieki regulują tę rzecz w ten sposób, że opieka nad sierotami należy do gmin. Gminy o ile nie mają zakładu dla sierót we własnym zarządzie, winny znaleźć w swoim budżecie fundusz na opłatę, jeśli jakiś inny zakład takie dziecko na wychowanie przyjmie. W praktyce obowiązek ten spełniają tylko miasta odpowiednio duże. Małe

miasteczka i wsie z reguły tego nie przestrzegają, czemu zbytnio nie należy się dziwić, wobec ogólnego zubożenia kraju.

Początkowo zdawało się, że ten projekt ma warunki realizacji, zwłaszcza, że do czuwania nad tym były powołane Wydziały Powiatowe, ale tak się nie stało. W każdym razie na nalegania życzliwych nam przyjaciół, którzy widzieli stały niedostatek Zakładu, czyniliśmy próby, aby od gmin coś uzyskać na utrzymanie chłopaków, podległych ich rejonom. Skutek był taki, jakiego zapewne sam ustawodawca nie przewidywał. Oto jeden i drugi p. wójt przysłał policjanta wiejskiego z poleceniem, aby chłopaka odebrał i przyprowadził do gminy, rozumując, że skoro gmina ma za niego płacić, to niech przynajmniej krowy pasie. A czy się czego nauczy, czy całe życie będzie krowy pasł, to nie jest najważniejsze.

Wobec takiego stanu rzeczy, chłopców nie wydaliśmy, a zrzekliśmy się zapłaty. Tak pozostało po dzień dzisiejszy i tak pono pozostanie na daleką przyszłość.

Mógłby ktoś sądzić, że Zakład w Miejscu Piastowym jest zamożny, jeśli może tak filantropijnie spełniać swoje zadanie.

Otóż nie jesteśmy zamożni i majątek Zakładu przedstawia się następująco:

Własnego pola hektarów 10. Plebańskiego, ponieważ probostwo jest powierzone opiece naszego Zgromadzenia, użytkujemy 25 hektarów — razem 35 hektarów, około 70 morgów ziemi, z której wiele odchodzi na place zabawowe i pod budynki. Wychowanków natomiast wraz z personelem wychowawczym mamy 280.

W jaki sposób takiej masie możemy dać pełne utrzymanie i naukę? Najpierw wyjaśnić potrzeba, że utrzymanie dajemy bardzo skromne, zgodnie z naszą regułą, która przepisując nam sposób życia i odżywiania się, pisze wyraźnie, że mamy żyć na wzór okolicznych włościan. Wszyscy wychowawcy, księża i bracia wraz z najwyższym przełożonym żyją na wspólnym wikcie ze wszystkimi wychowankami i, rzecz jasna pracują bez żadnej zapłaty, jak ubóstwo zakonne nakazuje. Ale pominąwszy to wszystko, i tak utrzymanie takiej masy jest bardzo kosztowne. Wliczając żywność, odzież, szkołę, światło, opał, leczenie itp. budżet nasz sięga do 100.000 rocznie. Żywność z własnej gospodarki przedstawia równowartość najwyżej 5—6000 zł, zatem niedobór sięga do 95000 zł.

Część z tego daje nam praca warsztatowa wychowawców i wychowanków.



Modlitwa.

Mamy bowiem własne dobrze rozwinięte warsztaty następujących rzemiosł: ślusarski, stolarski, introligatorski, galanteryjno-skórniczy, drukarski, szewski, krawiecki oraz młyński. W tych warsztatach chłopcy nasi uczą się rzemiosł a zarazem pracują na

utrzymanie. Instruktorami są nasi członkowie-bracia, a nawet księża, a w niektórych działach mamy instruktorów płatnych.

Warsztaty tak są rozwinięte, że mogą nawet dość dużo zarobić, ale warunkiem jest, aby były stale zatrudnione, względnie aby społeczeństwo kupowało wyroby naszych warsztatów i naszych wychowanków. Od tego zależy, czy nam się nieco lepiej powodzi, czy też żyjemy w nędzy, daleko poniżej normy okolicznego włościanina.

Zmuszeni jesteśmy również stale liczyć na ofiarność społeczną, zwłaszcza że chodzi tutaj nie tylko o równowagę budżetową, ale o jak najszersze rozwinięcie swojej działalności — bo wszakże nie ma roku jednego, aby nie było przeszło 1000 prośb i podań o przyjęcie sierót pozostających nieraz w strasznych warunkach a których my możemy przyjąć najwyżej 50, bo tyle mniej więcej wynosi liczba wychodzących z Zakładu.

Z tego powodu nie możemy ograniczyć liczby wychowanków do pewnej z góry określonej liczby, nie można bowiem nigdy przewidzieć w jakim położeniu znajdzie się sierota, która o przyjęcie prosi. Jak dotychczas wychowanków mamy stale coraz więcej i ten rok z cyfrą 280 jest rekordem w swoim rodzaju.

Że Zakład z małych początków rozwinął się do tego, czym dzisiaj jest, umożliwiła to tylko nie własna praca i zarobek, bo ta wystarczyłaby tylko na utrzymanie nie wielkiej liczby wychowanków — może 80—100, ale to sprawiła wyłącznie ofiarność Dobrodziejów. Dlatego my tak ciągle o tę ofiarność apelujemy. Nie chodzi nam o siebie ani o tych, którzy są w Zakładzie, ale o tych głównie, których łzawym z serca płynącym prośbom o przyjęcie zmuszeni jesteśmy odmawiać i czynić pomiędzy nimi tak tragiczne selekcje. Serce się ściska i przygnębieniem przejmuje myśl, gdy na kilkadziesiąt próśb o przyjęcie — z wielkim trudem da się zrobić miejsce dla dwóch i przyjdzie tych dwu wybrać, a resztę polecić łasce losu. Kto się zetknął bliżej z sieroctwem i z nędzą dzieci, ten tego nie rozumie, ale to jest nad wyraz przykre.

W listach i prośbach o przyjęcie przejawia się w jaskrawy sposób ponura tragedia życia współczesnego ze wszystkimi jego chorobami. Tutaj zupełne sieroctwo i dziecko na bruku, tam ojciec w więzieniu i gromadka drobnych dzieci wydanych na pastwę losu i na nielitościwą dolę tych, które się wytyka palcami, obciążonych niezasłużoną hańbą za grzechy ojców. Gdzie indziej

choroba nieuleczalna jedynej matki żywicielki — ojciec umysłowo chory a dzieci dziewięcioro. Był i taki list, gdzie proszono o przyjęcie chłopca dwunastoletniego, którego jedynym marzeniem jest pójść z pałką do lasu i zostać bandytą, jak jego bracia a może i rodzice.



Sieroca dola.

Odmówić takim prośbom, to jest zadawać sobie straszny gwałt i dręczyć serce własne beznadziejnym żalem i zgryzotą, bo to się powtarza codzień, a nawet wiele razy dziennie. Bywają wypadki, że 10 próśb dziennie przychodzi i potrzeba czytać dziesięć tragedii dziecięcych i łamać serce z rozpaczy i zmagać się z bólem i liczyć i kombinować i ważyć te brzemienne niedolą ludzką listy, kogo z nich wybrać, gdy z największym trudem na tych dziesięć biedaków stworzy się możliwość przyjęcia jednego.

Aby wszystkim potrzebom zaradzić, potrzeba przynajmniej w każdym województwie po jednym zakładzie na paręset chłopaków.

Potrzeby wsi pod tym względem są ogromne. Już dawno

skończyły się te czasy, gdy wieś polska mogła wyżywić wszystkie swoje dzieci, dla każdego znalazła zajęcie i możność skromnej egzystencji, choćby w dożywotniej służbie, ale w sposób uczciwy i zapewniający przyszłość.

Dzisiaj wieś niewiele się różni od miast. Ma swój proletariat, swoje śmietnistka i rynsztoki, swoje kadry wykolejeńców,



Zdrowaś Mario...

potencjał nieobliczalnych możliwości a nie ma środków i urządzeń ochronnych, aby ten stan rzeczy łagodzić, a przynajmniej baczną otoczyć kontrolą. Jeśli tak dalej będzie i nie zwróci się ną to należytej uwagi, radykalizm społeczny, wywrotowy z miast będzie się przesuwał w stronę wsi.

Zgromadzenie św. Michała Archanioła z trudem największym wśród ustawicznych kłopotów i ciągłych gróźb egzekucji i likwidacji poszczególnych Zakładów, może w siedmiu swoich domach utrzymać około 1000 wychowanków. Jest to może jedna setna istotnych, najbardziej palących potrzeb.

Są ludzie, którzy absolutnie nie chcą wierzyć, by Zakłady

nasze w rzecy samej walczyły z takimi kłopotami pieniężnymi, o jakich nieraz mówią i piszą. Niektórym się wydaje horendalnym i niemożliwym, że częstym u nich gościem jest komornik i jeśli nie przeprowadza ostatecznych czynności egzekucyjnych, bo zawsze jakoś możemy wyprosić zwłokę — to przynajmniej mnoży bez końca koszty sądowe. A jednak to jest prawdą. Niedobór budżetowy jest u nas zjawiskiem stałym i na to nie ma rady.

Cóż więc czynić? Ograniczyć ilość wychowanków? A więc



Grosz wdowi.

wydalić tych którzy są? Na bruk bez miłosierdzia? A może nie przyjmować nowych, być głuchym na wszelkie prośby? To są rzeczy niemożliwe i nad nimi zastanawiać się nie będziemy. Owszem będziemy przyjmować sieroty i dzieci opuszczone na każde cudem przemyślności X. Dyrektora zdobyte wolne miejsce, bo tego od nas żąda Bóg i testament naszego wielkiego Założyciela. Zresztą my wszyscy uczniowie i jego wychowankowie tu przyjęci przez niego samego w takich samych a może i gorszych warunkach, tutaj wzrośli i tu wyszkoleni inaczej czynić nie potrafimy. A więc tak musi być, że w przyjęciu sierót nigdy nie będziemy się kierować budżetem ani żadnym preliminarzem i zawsze będziemy mierzyć Zakłady nasze na tysiące sierót polskich, a nie ilość przyjętych sierót na szczupłe pojemności naszych domów.

Ale w myśl życzeń i testamentu Ks. Bronisława Markiewicza Zakłady jego reguły i przeznaczenia, mają być nie tylko schronieniem garści wybranych losem czy szczęściem, ale mają być skutecznym środkiem do rozwiązania kwestii społecznej, mają na właściwych zasadach oprzeć opiekę społeczną, mają być funkcją odrodzonego państwa polskiego, źródłem jego siły wewnętrznej, ładu, zgody, szczęścia i dobrobytu, mają pobudzić nowy czynnik rozumnie zorganizowanej miłości społecznej, bez którego nie ostoi się żadne państwo przyszłości. Tę miłość musi się przeciwstawić wszelkim klasowym nienawiściom wyrosłym na gruncie doktryny marksistowskiej wszystkim totalizmom opartym na przymusie, które kiedyś pęknąć muszą. — Miłość tylko czerpana z wzorów ewangelicznych nie zginie nigdy, nigdy nie znuży, nie zniechęci, utrzyma swój entuzjazm, ponieważ błogosławieństwo dobrego uczynku na tym polega, że do dobrego ustawicznie zachęca i rodzi dobre owoce.

A więc jeśli my prosimy o ofiary na sieroty na nasze Zakłady, nie powodujemy się tylko myślą wyrównania niedoborów, ale mamy cel większy, chcemy obudzić w społeczeństwie w ogóle cnotę ofiarności na cel tak konieczny, obudzić cnotę, bez której nie podobna wyobrazić sobie państwa, które chce uniknąć anarchii. Ofiary żadne naszej stopy życiowej nie podniosą, bo gdy będziemy mogli znaleźć pokrycie budżetowe na swoich 280 wychowanków, to wówczas w Zakładzie naszym będzie z pewnością 500, albo i więcej sierót, ale chcemy ustawicznie rozbudowywać nasze domy, wykończyć odpowiednio Zakład w Miejscu Piastowym, aby dwa domy połączyć w jedną całość, wykończyć i uzupełnić maszynami Zakład w Pawlikowicach, wystawić dom w Berteszowie, we Lwowie, gdzie w kilku ciasnych pokoikach dusi się z trudem 32 wychowanków — chcemy w każdym domu mieć przynajmniej po 200 i potem dalej budować i rozbudowywać i wciąż budować — aż dopóki wszystkich sierót nie pomieścimy u siebie, aż zginie w Polsce nędza i opuszczenie małych czy wielkich. A wtedy my, jako Zgromadzenie należycie wyszkolone i zorganizowane, będziemy czuwać, aby stan ten się utrzymał na wieki wieków. W międzyczasie poniesiemy ideę swoją na wschód — na gruzach komunizmu budować nowe życie. Jesteśmy do tego przeznaczeni i do tego celu gotujemy się.

Wielkie są nasze plany i da Bóg podołamy ich spełnieniu.

Środki znaleźć się powinny nawet bez wielkiego trudu. Niech 4.000.000 rodzin polskich, żyjących nawet na stopniu graniczącym z biedą i nędzą na ten cel dobry ofiaruje 1 złotego rocznie — będzie 4.000.000 złotych — za 5 lat wszystkie sieroty w Polsce mają schronienie, naukę i wychowanie i budują Polskę na szczęśliwą przyszłość.

Nie są to rzeczy niemożliwe. Zamożniejsi mogą dać i więcej, mogą być fundatorami całych urządzeń i Zakładów. Będzie to tylko pożyczka udzielona Panu Bogu na dobry procent i najpiękniejsza służba Ojczyźnie.

Feliks Koneczny.

Kupiec a sprawa polska.

— Czy znacie bajeczkę o słoniu, a sprawie polskiej?

— Znamy! znamy!

— Znacie? Więc posłuchajcie! Pewna akademia umiejętności rozpisała konkurs międzynarodowy na monografię o słoniu, iżby każdy z autorów opracował pewną specjalną stronę tego przedmiotu. Wpłynęło rozpraw niemało w rozmaitych językach. Anglik przysłał rozprawę o słoniu, jako zwierzęciu jucznym do transportów; Francuz o wartościach handlowych hodowli słoniów; Włoch dał przegląd historyczny sztuki snycerskiej w kości słoniowej; Szwed wywodził, jak użyć siły słonia za motor w fabrykach zapałek; Niemiec wystąpił z czterotomowym dziełem pt. „Strategiczne dzieje słonia w starożytności i spodziewane odrodzenie jego użytku wojennego, jako żywego sprzętu artyleryjskiego, tudzież o doniosłym zastosowaniu go w służbie łącznikowej“ — i tak opisywali rozmaite specjalności, według tego, co kogo najbardziej zajmowało; Polak zaś zgłosił na ten konkus pracę pt. „Słoń a sprawa polska“.

Było to jeszcze za czasów zaborczych. Polak patriota miał wciąż na myśli sprawę polską i przypominał ją światu ciągle, przy każdej sposobności. Z tego powstała ta bajeczka, w której, jak w każdej bajce, było coś prawdy.

Odzyskaliśmy niepodległość polityczną, więc podobno sprawa polska jest załatwiona? Wielu tak sądzi, lecz ja byłbym

innego zdania. Nie łatwo było państwo polskie odbudować, ale czeka jeszcze coś trudniejszego: żeby je utrzymać. I trzeba sobie powiedzieć, że to zaledwie początek, że się ma polskie urzędy cłowe i paszportowe, własne marki pocztowe, polski



Handel polski.

stempel na pieniądzu itp. to dopiero zewnętrzna szata. Chodzi o to, żeby ona odziewała... zdrowe ciało. Wiadomo, że nawet próchno da się przystroić wspaniale; a zatem z szaty zewnętrznej niczego jeszcze nie można wnosić. Nawet chochoł da się odziać.

Musimy tedy uznać, że ustanowienie granić państwa polskiego i ustanowienie w nim państwowości polskiej, tj. polskich urządzeń państwowych — to dla ludzi myślących w sam raz początek nowoczesnej sprawy polskiej.

Sama bowiem niepodległość polityczna nie tylko nie może wystarczać, ale jest to absurdem, żeby ona sama dała się utrzymać, jeźli nie towarzyszą jej wszystkie inne rodzaje niepodle-



W miasteczku.

głości, jako jej orszak opiekuńczy. Polityczna niepodległość na ten czas tylko może być trwałą, jeżeli znajduje się pod opieką niepodległości umysłowej i ekonomicznej. Nie potrafiłby utrzymać państwa niepodległego taki naród, który by nie miał własnej oświaty narodowej, w którym panowałaby ciemnota, ani też taki, który by nie posiadał własnego majątku, dość znacznego, żeby z niego można było żyć przyzwoicie i wygodnie, tudzież

żeby z niego dało się bez wysiłku ponosić koszta utrzymania państwa.

Niepodległości nie można mieć za darmo! To wiemy wszyscy i nikt przeciwko temu nie szemrze; ale ogarnia nas przestrach na myśl, czy przy największej nawet ofiarności, nawet przy zupełnym zaparciu się czy potrafimy wykrzesać z naszej biedoty tyle, ile państwu będzie potrzeba. Ambitni jesteśmy, ale też ubodzy, aż przykro myśleć o tym przeraźliwym ubóstwie polskim. Pod względem majątkowym znajdujemy się na samym końcu narodów europejskich.

Polska musi się zbogacić, bo inaczej może być źle z nami! Takiej nędzy, w jakiej obecnie jesteśmy pogrążeni, żadne państwo na długo nie wytrzyma!

Którędy droga do dobrobytu polskiego?

Wszystkie narody bogate są kupieckie, handlowe i przemysłowe.

W każdym też państwie przewodzą kupcy. Np. w Polsce przewodzą Żydzi dlatego, że warstwa kupiecka jest żydowska. Gdyby Polacy byli kupcami — w dostatecznej ilości oczywiście — nie byłoby obawy o rozwój narodu i państwa, bo mając niepodległość ekonomiczną, zyskalibyśmy podstawę do wszelkich tych marzeń politycznych i kulturalnych, jakie podsuwa Polakowi wrodzona ambicja.

Dlaczego handel jest ciągle w ręku żydowskim? Kiedy im zarzuca się, że nam handel zagarnęli, odpowiadają, że to nieprawda, że oni nie wypierają Polaków z żadnych stanowisk, lecz zajęli te, które były wolne, przez nas nie zajęte, bo ich zajmować nie chcemy. Kraj nie może być powiadają — bez handlu, a skoro Polacy handlem zajmować się nie chcą — więc Żydzi nas wyręczają.

Tak się wymawiają, a nie można powiedzieć, żeby w tym nie było sporo prawdy.

Przejdźmy nasze szkoły; czy dużo młodzieży pragnie zostać kupcami? Nasi młodzieńcy, nie mający co włożyć do ust, czekają o głodzie i chłodzie, aż się nadarzy szczęśliwa sposobność, żeby pozyskać protekcję, dzięki której mogliby wśliznąć się do jakiego urzędu na najlichszą posadę. Wszyscy wiedzą, że urzędnik, to bieda dożywotnia, a w handlu można się dorobić; ale ani rusz zrobić kupca z takiego gryzipiórka! To jest prawda,

że u nas jest wstręt jakiś do handlu, że trwa dotychczas pomiatanie „łokciem i kwartą”. A gdy chłopak zdecyduje się już pójść do szkoły handlowej, marzy o tym, żeby dostać potem w handlu jaką „posadę“. Wyjątkowo który chce zostać kupcem samo-



W dzień targowy.

dzielnym, z własną odpowiedzialnością i na własny rachunek. A przecież posady może dostarczyć drugiemu tylko taki kupiec lub przemysłowiec! Jeżeli więc brakuje ich, skądże się mają brać posady? Toteż wśród tych kandydatów na posady jest bezrobotnych 90 na 100.

Uniwersytety roją się od tysięcy młodzieży, żyjącej nie w biedzie, ale w skrajnej nędzy. Proponować im, żeby się jęli

handlu? Ależ obrażą się! Ich dążeniem jest, by zostać po kilkunastu latach głodu jakim pomocnikiem wicesekretarza w magistracie jakiej mieściny. Na tej posadzie będą zaspokajać ledwie tzw. „pierwszy głód", lecz nigdy nie będą się mogli należycie odżywić; ale za to, co za honor, bo będzie „urzędnikiem". On wolałby być pomocnikiem zastępcy woźnego, niż „stać za ladą" i „obsługiwać".

Stare fanaberie szlacheckie, niemądre a społecznie ogromnie szkodliwe! Polska upadła nie dlatego, że miała szlachtę, lecz dlatego, że nie miała kupców, przemysłowców. Najbardziej jednak chodziło i chodzi o kupców.

Często wymawiają się kandydaci na gryzipiórków, mających przez całe życie przelewać po kancelariach „z pustego w próżne", że nie mogą się zabrać do handlu, bo nie mają kapitału. Jakież to śmieszne i jak świadczy tylko o zupełnej nieznajomości sprawy! Od tego handel, żeby się kapitału dorobił! Ale ten kancelistowki narybek raczyłby zniżyć się do stanu kupieckiego, gdyby każdemu z nich podarowano na początek gotowy sklep, duży i piękny i z obszernym magazynem. W urzędzie będzie całe życie nędznym i śmiesznym popychadłem od szarego końca i będzie zadowolony — ale w handlu musi być od razu wielkim kupcem, inaczej na nic!

Więcej rozumu okazali wieśniacy, mający za sobą tylko prostą szkołę powszechną. Nie stać ich na początek na sklepy z pięknymi wystawami, więc zabrali się do straganów. A błogosławiona ta chwila, kiedy bezrolny chłop pomyślał o straganie! Dorobi się kapitaliku, potem kapitału; syn jego będzie kupcem co się zowie, a wnuk eksporterem.

Wiwat polski stragan! przez niego zapowiada się odrodzenie i ozdrowienie społeczeństwa polskiego. My chorzy jesteśmy na społeczną jednostajność: rolników mamy przeszło 70%, kancelistów (państwowych, samorządowych i prywatnych) 15%, a reszta około 12% wypada na księży, adwokatów, lekarzy, kupców, przemysłowców i samodzielnych rzemieślników. Panuje między Polakami jednostajność nadmiaru rolników. Wystarczyłoby mieć ich mniej o połowę! O mało co nie jesteśmy wszyscy rolnikami! Jedna noga u nas przerasta, pęcznieje, a druga maleńka i słabiuchna, a więc kulejemy i dobrze chodzić nie możemy. Niedaleko też zajdziemy; blisko, bliziutko, do... żydowskiego sklepiku, do żydowskiej niewoli.

Jeżeli społeczeństwo ma być zdrowe, musi mieścić w sobie wszystkie a wszystkie możliwe zawody w odpowiedniej proporcji, ażeby było należycie zróżniczkowane. Inaczej nie ma postępu, lecz cofanie się i z pokolenia w pokolenie coraz większa bieda.

Gdybyśmy wszyscy byli jednego zawodu, nie byłoby żadnego zarobku, bo jeden drugiemu nie dałby nic zarobić. Jakżeż ma zarobić kowal u kowala, zdun u zduna, szewc u szewca?! Gdyby w jakim kraju wszyscy byli szewcami, nie sprzedałoby się tam ani jednej pary butów i wszyscy ci szewcy poginęliby z głodu. Otóż podobnie ma się rzecz z polskim rolnictwem, już się zbliżającym do tego stanu.

Zginąć nam przyjjdzie marnie, jeżeli dużo, bardzo dużo młodzieży nie rzuci się do handlu. Więc na razie choćby straganv, byle tysiącami po całej Polsce! Sprawa polska wymaga, żeby wołać! Wiwat polski stragan!

Na nowy okres dziejów polskich, jaki zaczęliśmy, trzeba nowego patriotyzmu. Teraz ci będą najlepszymi patriotami, którzy zdobędą dla Polski handel polski.

Veljko Petrowić.
przełożył
St. Gozdawa Papierkowski.

Ziemia.

Roku 1918 na wiosnę, z Francji, przez Włochy na Korfu. To jest: za czterdzieści godzin, z paryskiej wiosny w rzymskie lato i na Kalabryjskie upały. Te nasze dziwne podróże! Nikt już nie potrafi ich opisać. Kłamliwe i skąpe są nawet dzienniki tych nielicznych próżnych Serbów. Kto się bowiem nie wstydził zapisywać z pełnią wagi drobnych, osobistych przeżyć, wówczas, kiedy całe narody były tylko małymi klinami jednej olbrzymiej, zdyszanej, demonicznej maszyny! Ale i tych kilku, — kiedy się trudzili, by z rycerską szczerością notować wszystko, niewielu odibegło od pustego wyliczania stacyj, od nic nie znaczących osobistych, codziennych lub ogólnych wydarzeń i kłopotów politycznych. A to, co wrzało, co się przytajone kotłowało w naszych duszach, to, cośmy głuszyli swoimi zewnętrznymi zamiarami, zadaniami i widocznymi bólami, to, co sprawiało, żeśmy

szczególną uwagę zwracali na obce ziemie, obcych ludzi, których dzisiaj jużbyśmy wogóle nie poznali, to się wymykało, gdziekolwiekbyśmy tylko przybyli, do swoich tymczasowych przegródek. Toteż nasi ludzie unikali się nawzajem w czasie tych wojennych, uciekinierskich poruszeń, jakkolwiek Serbowie odczują się w największym tłoku na placu Milańskiej katedry. Albo też, zbliżywszy się jeden do drugiego, chętniej rozmawiali o plotkach uciekinierskich, niźli o tym tragicznie ponurym nastroju, który tkwił w nich jak osad z ołowiu.

Po kwiecistej i pełnej owoców Lombardii, która swymi pełnymi winogron girlandami, od drzewa do drzewa, wiecznie sławi swoje wesele Dionizyjskie, i słonecznej „kampani", gdzie nawet pokorny Nazarejczyk otrzymał swoją togę Apollina i diadem cesarski zamiast zardzewiałego od krwi wieńca cierniowego, weszliśmy na oślepiająco białe, lśniące się blaskiem słonecznym, zapalone Południe. Nawet tych kilka skurczonych fig, cytryn i palm pokrytych było mączką tego wszechpotężnego, rozpieczonego białego kamienia. Zbiedniały konik na szosie ginie w białym obłoku, a czarna rewerenda księdza na dwukołowym wózku podobna jest do białego burnusa szeika marokańskiego. Afryka, islamska i nestoriańska. Jeśli w tych świątyniach panuje renesansowy Chrystus, będzie to jeden z wielu paradoksów historycznych. To jest ojczyzna Grekowej historii albo ortodoksyjnego, nachmurzonego Pantokratora.

W pociągu oddycha się ciężko, pot zlewa ciało, ludzie wycierają się i rozbierają do koszuli. Tylko dwie zakonnice w ciężkich błękitnych habitach, przepasane żelazem, w sandałach podkutych, czytają nieruchomo z modlitewników. Nawet dłonią nie sięgną do czoła. Z nosa im kapie, a one cierpią, tylko usta ich, chociaż cicho, coraz prędzej pracują. Czy one pokutują teraz i za nasze grzeszne, serbskie myśli?

W lecie wszyscy pędzą na piwo, wino i pomarańcze. Tylko one zostają. W tym zgiełku przywidują się jakieś szerokie plecy. Szczególnie ściągnięte, szczególnie zwinięta szyja, szczególny nacisk na bok, prawym, wyższym ramieniem. I kapelusz spuszczony szczególnie na tył głowy. Minęliśmy się szczęśliwie.

Ale w Galipolu, na okrzyk: — Serbowie tutaj! — pobiegło nas trzech, wprost na starego portiera z beogradzkiej „Moskwy". Oficerska czapka, z oznakami urzędnika, uśmiecha się po bra-

tersku i wita. Między nami jest i ten plecaty, i jeden poseł na sejm, którego „delegat“ oczekuje specjalnie w swoim domu, podczas gdy nas odprowadzi portier do jakiegoś mieszkania. Nawet nas nie pyta, czy chcemy mieszkać razem. A, Bóg wie, na jak długo został nam przeznaczony wspólny nocleg, ponieważ okręt, to wiem, nie przychodzi regularnie.

Pan poseł, znalazłszy się wśród trzech Serbów, począł się całkiem widocznie wyprostowywać. Nie przedstawiając się, kroczył majestatycznie i, ustawiając się w środku, rozpytywał łaskawie: cośmy za jedni i dlaczego jedziemy na Korfu? My byliśmy tutaj jak jego lud, kulami. Ten trzeci szedł trochę z dala, jakieś pół kroku za nami, jakoś cicho i niewidocznie. Nie wiem, czy na słowa posła w ogóle odpowiedział, a myśmy usłyszeli tylko jego pytanie:

— A, proszę panów, czy przynajmniej jutro będzie okręt w stronę Korfu?

Zaskoczył mię śremski akcent. Popatrz, rodzime, fruszkogórskie dźwięki! W czasie, kiedy portier wyjaśniał, że tego nie można nigdy z góry wiedzieć i że niekiedy musi się tutaj czekać po piętnaście dni, obserwowałem rodaka. Gdyśmy się zatrzymali, zdjął kapelusz stojący mu na wierzchu głowy i, niedbale wycierając go wewnątrz i dookoła chusteczką, słuchał tak pilnie, że jego małe, wpadnięte czarne oczy wyszły mu prawie z powiek. Był to człowiek średniego, przysadkowatego wzrostu, robiący wrażenie kompresu ciała na nierównomiernie cienkich nogach; głowę miał bardzo wielką, zupełnie okrągłą, mięsistą i całą obrośniętą obfitymi, ostro, wszędzie jednakowo podciętymi włosami. Lecz najbardziej wpadała w oczy biel cieniutkiej skóry na twarzy, która nawet tutaj nie mogłaby się opalić; małe, jakby woskowe, wąsy, takież cienkie i regularne brwi, miękki nos jakby wgięty w pełnię policzków i okrągła broda wciśnięta w podbródek. I chwiejąca się niezgrabna krawatka pod blaszaną spinką wskazywała na chłopa wychowanego w bogatej „sermii“, który nawet na wygnaniu utrzymał swoje sadło, godspodarując bodaj w myślach na swoich niwach i winnicach.

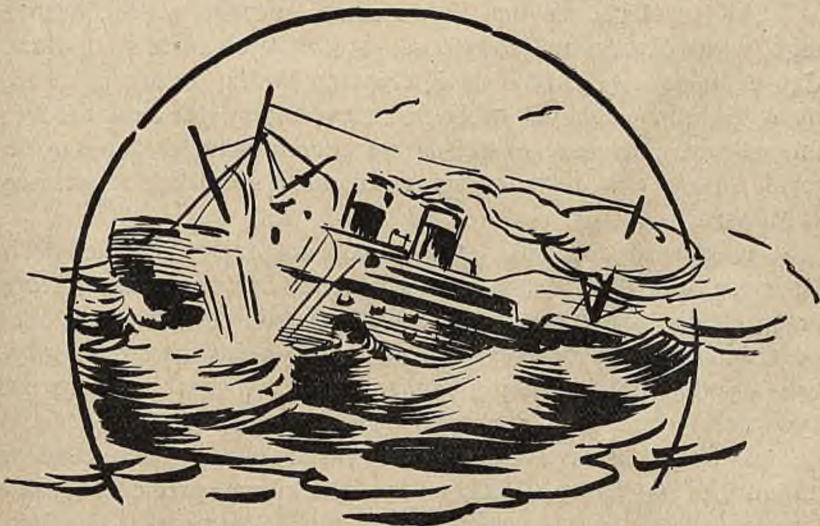
— ...Kiedy się znowu zjawili, jak to wiecie...

— Toż ja o to pytam! — przerwał śremczyk niecierpliwie i podszedł bliżej, badając nas wszystkich trzech oczyma — przed czterema dniami, we środę w nocy, prawda? storpedowali

jeden okręt, na którym byli nasi jednoroczniacy... Wiecie i mój syn, nie daj Boże, był z nimi, więc czy wiecie coś o nich, czy ocalili się i kto z nich... wybaczcie, ale wiecie...

Zamroczyło nas wszystkich trzech naraz, tylko portier, bąkając coś, podjął szybko:

— Tak, tak, niestety, mamy wiadomości, ale nie wiemy jeszcze czy się wszyscy ocalili... Możliwe, że już gdzieś wylą-



dowali, mają łódki i tratwy, ale nie ma jeszcze wiadomości. Zaraz zapytamy pana delegata.

Śremczyk objaśnił nam w drodze, że jego syn wstąpił do ochotników ubiegłego roku, ponieważ oni obydwaj uciekli z naszym wojskiem, kiedy ono cofnęło się z Dobanowców (a więc on jest z równego Śremu, a nie Fruszkogórzec). Obecnie zwolnili go z wojska i wysłali do Francji na studia. Tak mu pisał: że oczekuje go w Marsylii w tych dniach, a kiedy przedwczoraj w Nicei przeczytał telegram o storpedowaniu naszego Korfujskiego okrętu ze studentami, przeraził się zaraz najgorszego. Depeszował na Korfu, ale nie mogąc doczekać się odpowiedzi, wyruszył, by osobiście zobaczyć, co się dzieje z jego synem. Daj Boże, żeby się tylko minęli, gdyż nie ma nic łatwiejszego jak wrócić! Ale, jakże czarne jest jego szczęście od początku tej wojny!

Przerażony ojciec opowiadał wszystko to powoli i półgłosem tak, że tylko od czasu do czasu mógł w środku słowa odetchnąć, jak gdyby dławił westchnienie czy też jęk. Zapytaliśmy go zaraz o nazwisko. Jak gdyby nam to mogło pomóc w szukaniu. Sawa Nedeljkowić, rzekł rolnik osiadły, a syn jego nazywa się, lub się też, nie daj Boże, nazywał, Milosz, abiturient gimnazjum w Karlovcu.

Ale i delegat nie umiał powiedzieć niczego więcej, oprócz tego, że na okręcie znajdowało się istotnie czternastu studentów. Czy znajdują się jeszcze na Korfu tacy, którzy oczekują na to, by wyjechać następnym okrętem i tacy, którzy już są w drodze, on nie wie. Ale jeszcze dzisiaj wieczorem wyszle depeszę do rządu i poprosi o dokładne sprawozdanie, a specjalnie zapyta się o Milosza.

Kiedyśmy zobaczyli swój pokój znajdujący się niedaleko od mieszkania delegata, w jakiejś bocznej ciasnej uliczce, którą przewiewało powietrze morskie i z którego widać było w bezpośrednim pobliżu bezbrzeżną linię modro-zielonej toni, jak gdybyś z jakiejś zbudowanej z kamienia wieży patrzał na wiecznie żywy las i chmury — Śremczyk pożegnał się ze mną.

— Proszę iść tylko, panie, do miasta. Ja nie jestem jakoś ni do ludzi, ni do kolacji. Pójdę trochę nad morze, przejdę się, i położę się spać, a pan niech idzie; nic nie szkodzi jeśli mię pan zastanie śpiącego, twardy mam sen.

Po kolacji zeszliśmy się, grupkami, na wybrzeżu. W czasie kiedy niektórzy zeszli na dół, by chłodzić nogi w morzu, wydało mi się, że zobaczyłem Nedeljkowicia siedzącego na kamiennym łamaczu fal i patrzącego w wodę, w której migotał cicho księżyc. Potem wstąpiliśmy na jedną jeszcze kawę „espresso" i na miejscowe, domowe rozmówki, po czym, każdy z nas, macając przed sobą w ciemności, ruszył do swego mieszkania.

Zapaliwszy świecę, zauważyłem, że Nedeljkowić leży odwrócony twarzą do ściany, ale że jeszcze nie śpi. Udaje, że śpi, biedny człowiek; toteż i ja postanowiłem się cicho rozebrać. Naraz on głęboko i boleśnie westchnął. Drgnąłem, odwróciłem się w jego stronę. A on usiadł i popatrzył na mnie swoimi całkiem wyraźnie zapłakanymi, krwawymi oczyma.

— Straciłem go, zobaczy pan!... A gdzie, gdzie?... Widział pan jaka to potęga, nigdzie nie ma jej końca ni dna...

Niech pan nie rozpacza już teraz, panie Nedeljkowić! Kto wie? Proszę poczekać, proszę wierzyć w Boga, w szczęśliwy przypadek. Nie pierwszym byłby z tych, co ocaleli. Ja sam widziałem niedawno w Rzymie pewnego naszego majora, którego po trzykroć storpedowano, i to dwa razy w drodze z Biserty, a jednak za każdym razem ocalił się szczęśliwie na tratwie.

— Daj Boże, panie!... Ale wie pan, tu czuję próżnię — i uderzył się w piersi — myślę ciągle o czymś najgorszym, że już nigdy nawet nie usłyszę o nim. Kiedy morze połknie, ono wszystko pożre. I ciało i kości człowieka, a pewnie i duszę człowieka zatrzyma w sobie do dnia sądu ostatecznego. O, straszne moje nieszczęście! Cóż powiem jego matce, jeśli żyć będzie, co jej grobowi jeśli umrze!...

...Proszę wybaczyć, panie, pan pewnie zmęczony, a ja panu nie daję spać... przepraszam, bardzo przepraszam, ale proszę mnie posłuchać, jako uczony Serb, mnie nieszczęsnego ojca i rolnika, prostego chłopa... Straszna to jest kara od Boga, kiedy duszę ochrzczoną tak oto, na falach morskich zaskoczy śmierć, bez śladu i głosu, bez krzyża i ludzkiego grobu!.. Jeśli mu już, dziecku mojemu dobremu, taki los był przeznaczony, by go morze pochłonęło, to niechby bodaj trupa wróciło matce ziemi, niechby go wyrzuciło gdzieś, jak to bywa, na suche miejsce... Znajdą chyba jego kości jacyś ochrzczeni ludzie i pogrzebią go... żeby mi się we śnie ukazał i pocieszył swego ojca w jego strasznym smutku... Ale tak, żeby nas tak Bóg ukarał, by go pochłonęła ta otchłań, by go ryby i morskie rozniosły zwierzęta...

— Proszę się nie męczyć, panie Nedeljkowić, takimi jeszcze nonsensami!... Proszę prosić Boga, by go panu wrócił żywego i zdrowego... a, a, kiedy się już umrze, to wszystko jedno, można powiedzieć, gdzie i co się stanie z naszymi ciałami...

— Niech pan tak nie mówi, panie! — zerwał się Nedeljkowić z łóżka i, chwyciwszy mię za rękę, dziękując, mówił dalej — pan jest młody... proszę poczekać, kiedy pan będzie starszy, kiedy pan będzie miał dzieci i sprawiał pogrzeby!... kiedy pan wróci do swego narodu i z narodem jakiś czas pożyje... pan się trochę oddalił od narodu i od ziemi; kiedy pan wróci i zobaczy jak to wszystko, co się rodzi na ziemi, do ziemi się musi także wrócić. I rosa, i siemię i bydło, i człowiek. To jest prawo Boże. Nie ma życia na ziemi bez umarłych w ziemi. Dusza nie znajdzie

ni miejsca, ni spokoju w niebie, póki ciało nie wróci do tego, do kogo należało. Jam prosty człowiek, ale na ziemi żyję, więc wiem. To prawo Boże. Wszyscy winni jesteśmy ziemi nasze ciała, toteż musimy je zwrócić, gdy je dusza opuści... Gdybyśmy się nie trzymali tego prawa, gdzież byłyby zbiory, gdzie cały postęp, cała męka ludzka i cała rozkosz... To nie może być wolą Boską, żeby mój syn zginął w tej otchłani, tylko to Bóg



ustąpił woli diabła; a któż to z nas zawinił, by moje dziecko było nagrodą dla przewrotności, i ileż trzeba będzie jeszcze, by się nasza krew lała, by to odpokutować, by jego dusza znalazła spokój?... przepraszam, panie... nie będę już pana niepokoił.

Byłem całkiem bezsilny i, czując cały nonsens swoich słów, powtarzałem tylko, że powinien mieć nadzieję i że spókój duszy nie zależy od tego, czy człowieka pochowano w ziemi, czy spuszczono w morze, jak to się zresztą robi z marynarzami i na tylu małych wysepkach. Wiedziałem, że on mnie nie zrozumie.

Długo nie zasnąłem, a Nedeljkowić, z natury rzeczy, w ogóle nie

zmrużył oczu. Blady i wychudły poszedł wczesnym rankiem do naszej delegacji, chcąc się dowiedzieć czy przyszło jakie zawiadomienie.

Zaledwie usiadłem do śniadania, przybiegł „portier“ i wezwał mię do delegacji. Na rynku spotkał mię delegat w towarzystwie posła. Obydwaj byli bardzo zmieszani i powiedzieli, że trzeba pospieszyć do prefektury, zanim nadejdzie Nedeljkowić, ponieważ musimy się wcześniej porozumieć, jak mu mamy zakomunikować następującą wiadomość:

Właśnie w tej chwili przyszła do prefektury wiadomość, że rybacy galipolscy natknęli się dziś wczesnym rankiem na jakąś tratwę z czterema naszymi żołnierzami. Jak tylko słońce wyskoczyło z wody, ujrzeli ich niedaleko swojej barki i doskonale widzieli jak czterech ludzi trzyma się kurczowo tratwy, stojąc po piersi w wodzie. Zdziwili się, kiedy na ich okrzyki tamci nie odpowiadali i nie dawali żadnych znaków. Zbliżywszy się do nich, dopiero wówczas spostrzegli, że wszyscy czterej są sztywni, martwi. Musieli poobcinać liny, których się martwi kurczowo trzymali, żeby ich odłączyć od tratwy i złożyć na swojej barce. Zlodowacieli, z otwartymi ustami i oczyma jak gdyby błyszczącymi śmiechem, całkiem młodzi żołnierze. Leżą właśnie tam, w prefekturze; prefekt prosił delegata o wybaczenie tego, że rybacy przetrzęśli ich kieszenie. Znaleziono ich legitymacje, a prefektowi udało się odczytać. Między nimi znajduje się również Milosz Nedeljkowić. Delegat i poseł zapytuje mię nerwowo: czy podejmę się sprowadzenia tutaj do prefektury Nedeljkowicia. On będzie na wybrzeżu, w pobliżu kwatery, jeśli mu dotychczas nikt nie doniósł o dzisiejszym porannym wypadku.

Funkcja nie była miła, ale musiałem się jej podjąć. Wzmocniła mię rozmowa z nim dzisiejszej nocy, to muszę przyznać.

Poznał po mnie, że mu przynoszę coś ciężkiego:

— Co się stało, panie: — a lewe jego oko drży od strachu.

Tak i tak, wzywają go do prefektury, i, pędząc ku słońcu, powiedziałem mu całą prawdę. Nie mówiąc nic, potykając się, biegł i oddychał jak astmatyk.

Na progu, przed drzwiami jednej sali, znaleźliśmy wszystkich, około pięć—sześć osób, włoskich urzędników wraz z dwoma naszymi. Nedeljkowić miał na tyle siły, że przywitał się i uścisnął rękę prefekta.

Na dwu stołach, jeden przy drugim, leżeli nasi nieszczęśni,

piękni młodzieńcy, trochę rozkraczeni, z rękoma zgiętymi ponad głową, z bolesnym uśmiechem na posiniałych twarzach. Z płaszczy kapały jeszcze od czasu do czasu krople wody. Nedeljkowić zbliżył się od razu i złamany stanął na moment, po czym głucho, cicho jęknął i objął rękoma jedną głowę, całując ją w czoło.



— Dziecko moje... synu... Tak to miał cię znaleźć twój ojciec! — mówił cicho i przytomnie, raz jeszcze przeżegnał się, i, trzęsąc się widocznie, cofnął się poza innych:

— Proszę, panowie!

Po ukończeniu formalności, Nedeljkowić poprosił, by jemu powierzono wszystkie czynności związane z urządzeniem i czuwaniem w kaplicy cmentarnej, aż do pogrzebu. Ponieważ nie było księdza prawosławnego, obrzędu pogrzebowego dokonał ksiądz katolicki, a obecni Serbowie odśpiewali tylko „Swjati Bože“. Nedeljkowić trzymał się mocno, i dopiero kiedy spuszczono ich do grobu, wykutego w wapiennej skale, załkał a

wszyscy obecni odczuli, że to jest błogosławieństwo Boże i ulga dla niego.

— Synu mój, skoro już Bóg nie dał, bym cię uściskał żywego, dzięki mu i za to, że cię twój ojciec znalazł martwego...

W drodze powrotnej wszyscy Serbowie odnosili się do niego tak, jakby on był ojcem wszystkich czterech topielców. Ale jego nie potrzeba już było ani podpierać, ani pocieszać. Jakkolwiek co chwilę ocierał jakąś samotną, dużą łzę, mówił zupełnie przytomnie i spokojnie do nas wszystkich:

— Czy ci ludzie tutejsi nie mają tu nigdzie kawałka żółtej ziemi, lub bodaj trochę piasku, dla swoich umarłych? Trzymają ich w kamiennych skrzyniach nad ziemią, żeby się prażyli na tych upałach, Boże, przebacz! Toteż i czuć ten ich cmentarz, czuliście, panowie? Grzech nawet powiedzieć, ale śmierdzi ze wszystkich stron!... E, synu mój słodki, niech się tylko twój ojciec wróci żywy, nawet brud spod paznokci wyda, byleby tylko ciebie zabrał do twojej pięknej ziemi, do naszych kwiatów i zieleni...



Ks Jan Górecki.

Przed laty czterdziestu.

Przed laty czterdziestu, w maju 1898 roku rozpoczęto budowę głównego domu Zakładu Wychowawczego dla sierót i dzieci opuszczonych w Miejscu Piastowym.

Nie małą to było sensacją dla mieszkańców wsi i całej okolicy, gdy Ks. Bronisław Markiewicz, ówczesny proboszcz tutejszej parafii i opiekun bezdomnych sierót, wyprowadził swoich wychowanków na upatrzony wprzód wzgórek i począł kopać fundamenty pod przyszły Zakład.

Wprawdzie od wczesnej wiosny gwarzono już tu i ówdzie, że Ks. Markiewicz coś zamyśla stawiać, ale pewnego nikt tam nic nie wiedział.

Bo i skądże? Wszakże na rozum rzecz biorąc można było w głowę zachodzić i dziwować się niemało, jakim cudem sporą gromadę stu z górą chłopaków dotychczas utrzymał i wyżywił. Raczej można się było spodziewać, że kiedyś pod wiosnę zgromadzi ich wszystkich koło siebie i rzecze: No, chłopaki, co mogłem, to zrobiłem. Chciałem dla was jak najlepiej, ale już dalej nie podołam. A więc skądeście przyszli, idźcie w Imię Boże, i niech was Pan Jezus miłosierny poratuje.

Niejednemu się zdawało, że inaczej być nie może i rzecz cała tym sposobem zakończyć się musi.

Tym większe było zdziwienie, gdy w on poranek majowy zaroiło się wzgórze chłopcami, zabłysły w słońcu łopaty i rydle i czworobok łanu zaczernił się świeżo okopaną ziemią. Bezmała na czterdzieści metrów wzdłuż, a 18 metrów wszerz, wytyczono rozmiary nowego gmachu.

Robota szła sprawnie i planowo, ściśle według ostemplowanych arkuszy, które pan Macudziński mistrz i sprawca budowy trzymał w ręku jak mapy sztabowe. Trzymał te arkusze poważnie i poważnym tonem wydawał stosowne dyspozycje, ale jeżeli nie parsknął przy tym śmiechem pustym, to tylko ze względu na osobę Księdza Markiewicza, który stał obok i patrzył na żwawą robotę wesoło i bez troski.

Dziwna to będzie budowa — rozważał w duszy p. architekt — dom ogromny, jak koszary, wysoki na dwa piętra, — mury redutowej grubości, korytarze sklepione, sto ogromnych

okien, dwa fronty okazałe, do tego mansardziki i balkoniki, kafelki i mebelki, samych pieców czterdzieści — kosztorys 200.000 koron to pewne, jak amen w pacierzu, a tu Ksiądz Proboszcz



Dzieci u żłóbka. Władimil Hoffman

z miną dumną i arcyważną prezentuje, jako koszta budowy 60 koron w banknotach waluty austriackiej. W sam raz starczy na nowe rydle, gdy te się poszczerbią na łupkowatym gruncie. A reszta? Resztę ma wypłacić ze swej osobistej kasy Pan Bóg, bo chyba na to tylko Ks. Markiewicz liczy.

No, ale nie mój interes — gwarzył sobie w duszy p. budowniczy — nie wiedząc, czy brać całą imprezę poważnie, czy na wesoło.

Minął roboty dzień jeden i drugi — przyszły potem siły fachowe, wytrawni murarze i wprawni pomocnicy — zjawiły się fury ze sprzętem, zapotrzebowanie materiałów rosło jak lawina — rosła też i budowa, ale najbardziej rosły wydatki.

Już przy pierwszych rachunkach za sprzęt i materiał można było się spodziewać, że Ks. Markiewicz otrzeźwieje ze swoich marzeń i zrozumie, że wiek cudów minął, i ze sześćdziesięciu koronami może od biedy wykopać doły na fundament, ale nie zapełni ich wapnem, cegłą i kamieniami.

Przy każdym transporcie materiałów, przy każdym rachunku za dostawę, a zwłaszcza przy każdej sobotniej wypłacie robotników p. architekt dostawał lekkiej drżączki, garbił się i mrużył oczy jakby z obawy przed spodziewanym ciosem i czekał w zdenerwowaniu, kiedy ta cała zabawa się skończy i w ogóle kto to wszystko będzie płacił. Ale Ks. Markiewicz zawsze jednakowo spokojny, promiennie i życzliwie uśmiechał się do każdego, kto do niego przystąpił, choćby to był faktor i posłaniec z groźnym rachunkiem w ręku. Ks. Markiewicz uśmiechnął się i płacił, a p. budowniczy otwierał szeroko oczy, kręcił głową ze zdumienia, a całą swoją myśl nastawiał na wielki znak zapytania.

Przestał się już denerwować, a popadł w zrezygnowaną apatię i ponurą świadomość, że wobec tego, co tutaj się dzieje, on jest przysłowiowym skończonym grekiem. Na Księdza Markiewicza patrzył z podejrzliwą obawą, wierząc, że tu się dzieją rzeczy niezwyczajne. — Sześćdziesiąt koron w banknotach waluty austriackiej rosło w rękach Księdza Markiewicza do nieskończonej wielokrotności, a wydane raz drugi i dziesiąty mnożyły się ciągle i powstawały jak Feniks z popiołów.

Można było przysiąc, że za każdym razem, choć Ks. Markiewicz wydał nieraz wszystko, co miał w swoim portfelu — kiedykolwiek wyjmie go z kieszeni i otworzy, znajdzie tam swoich sześćdziesiąt koron. Ile razy otworzy szufladę biurka, przewróci kartkę brewiarza, znajdzie i tam swoich sześćdziesiąt koron. — W każdej przesyłce pocztowej, w każdej kopercie na swoje imię adresowanej znajdzie swoje sześćdziesiąt koron i tak musi być do samego końca budowy, bo wszakże za te sześć-

dziesiąt koron musi wykończyć dom, który każdego innego musiałby kosztować 200.000 jak amen w pacierzu.



Anioł stróż.

Nie długo trzeba było czekać na ten koniec, bo późną jesienią dom był już gotów.

Piękny to był dzień, jasny grudniowy, brylancikami śniegu błyszczący, gdy chłopcy triumfalnym marszem wkroczyli w podwoje nowego gmachu, jak wojsko do zdobytej fortecy.

Szli po sklepionych korytarzach, a zdawało się, że to idzie burza. Dom huczał i trząsł się od fundamentów aż do szczytu, coś w nim dudniało głuchym nieprzerwanym łoskotem, a szyby dźwięczały w oknach jak w bombardowanym forcie. Zdawało się, że wszystko runie w gruzy, a zagmatwany gwar i wrzask stłumionych głosów lada chwila spotężnieje w ton strasznej katastrofy. Tak wkraczali żydzi do Jerycha. Na korytarzach szły hufce ciężkie wybijając wściekle tempo paradnego marsza, a wrzask niesamowitego entuzjazmu za każdym zajętym piętrem wzmagał się z mocą szalejącego żywiołu.



— Raz dwa! Raz dwa! Wal podkówką aż iskra pójdzie z kamiennej posadzki! Defilada! Milionkroć stotysięcy! Raz dwa! Raz dwa! A teraz biegiem marsz! Hurra! A to co? schody? Wal biegiem do góry! Równy krok! Równy krok! Raz dwa! Raz dwa!

Huk rósł i potężniał — tu i ówdzie z piorunową mocą trzasnęły drzwi wyrwane z ręki jak huk pękniętego pocisku. Dwadzieścia drzwi to dwadzieścia gromów, dwadzieścia strzałów ciężkiej artylerii — ponury rytm strasznego marszu.

Raz dwa! Raz dwa! Co? znów piętro? Biegiem! Ha! — Koniec schodów! A więc z góry na dół i znowu do góry! Tam i nazad! Ty do mnie, ja do ciebie! Mazurowym krokiem! Od pokoju do pokoju! hop dziś! dziś! Rznij! Jeszcze raz na odwyrtkę! Ławą, mości panowie, ławą na całą szerokość — od ściany do ściany. Mazurek, mazureczek! hop, dziś, dziś Ha! ha! ha! jak nam wesoło!

I nagle — stój! Sza! Baczność! Ani mru, mru! Nóżkę podniesioną doszlusować lekko jak na kołderce, buziaki otwarte przymknąć cichutko bez szmeru, jakby nasmarowane oliwą w zawiasach, bo oto w otwartych drzwiach zajaśniało słońce — stanął promiennie uśmiechnięty Ks. Markiewicz.

Odruch... jakoby — chowaj się gdzie kto może — ale nie, nic z tego. Sekunda drgnienia... i nagle całe rozdygotane bractwo w masowym ruchu wstrzymane, jako fala za podmuchem wiatru runęło do Księdza Założyciela, całować go a dziękować za ten cud stężały w bryły potężnych murów i kamiennych sklepień, który poczęty z wiary i miłości — od dziś stanie się dla nich szkołą życia i bastionem wielkiej idei.

Z miłością i z pobłażliwym uśmiechem ściskał ich wszystkich Ks. Założyciel, wiedząc że oni wszyscy tak huczne święcący triumfy, wiele, bardzo wiele pomogli przy budowie. Tysiące cegieł i setki kubłów wapna i piasku dźwigali na swoich szczupłych barkach po stromych rusztowaniach.

Ks. Założyciel wypłacił majstrów i robotników, wydał bez reszty ostatnią karnację swoich sześćdziesięciu koron — obejrzał raz jeszcze dom cały zewnątrz i wewnątrz i zamknął się w pokoju, by w rozmyślaniu i skupieniu rozważyć, co mu dalej czynić należy, by zadośćuczynić głosowi powołania, który w duszy jego drgał dźwiękiem anielskich dzwonów.

A dom dalej huczał i rozbrzmiewał zgiełkiem chłopięcych głosów, dudniały sklepienia, dźwięczały szyby w oknach, jęczały krokwie i wiązania dachu.

Piękny to był dzień błyszczący śniegiem i blaskiem rozradowanych oczu dziecięcych, dzień głośnej wrzaskliwej radości, dzień historyczny, w którym na szlaku wichrów przełęczy karpackich, w poprzek szalejącym huraganom i śnieżnym zamieciom stanął nasz pierwszy macierzysty dom.



Dr Czapliński Jan St. (Kraków).

Początki kościoła Bożego Ciała na Kazimierzu w Krakowie.

Każdego, zwiedzającego Kazimierz w Krakowie musi uderzyć piękny kościół, wznoszący się tuż przy rynku. Wysoka wieżyca strzela dumnie w niebo tuż obok pięknego frontonu, podzielonego na osiem pól smukłymi filarkami. W polach tych umieszczono postać Chrystusa, symbol Bożego Ciała, otoczoną dwoma płaskorzeźbami, zapewne N. P. Marii Magdaleny. Na tarczach herbowych widnieje pogoń Kazimierza Jagiellończyka, oraz wstęga Habsburgów jego żony Elżbiety, a pomiędzy tym orzeł biały, herb Korony. Wnętrze kościoła, przerobione w XVII wieku w duchu modnego wówczas baroka, przedstawia dla oka pyszne bogactwo tego stylu. Sam kościół gotycki rozmiarami swoimi uderza w oczy. Każdy zauważa jego niezmierną smukłość, jakiej nie spotykamy w żadnej ze świątyń krakowskich. Cyfrowo w prezbiterium wyraża się ona liczbą 24,4 : 9,94 mtr, a w bocznych nawach nawet 4,5 : 13, jako stosunek szerokości do wysokości. Kiedy i dlaczego wzniesiono ten kościół dowiedzieć się można na miejscu, można też przeczytać w każdym przewodniku po Krakowie.

W oktawę Bożego Ciała 1347 roku — czytamy — jacyś nieznani sprawcy zakradli się do kościoła św. Wawrzyńca na Kazimierzu i skradli tu puszkę z najświętszą hostią w nadziei, że jest ona ze srebra. Puszka jednak była ze zwykłej blachy. Zawiedzeni świętokradcy wrzucili ją do pobliskiego bagna. Przechodnie zauważyli ku swojemu zdziwieniu unoszący się blask nad puszką na bagnie. Dano znać duchowieństwu. Ówczesny biskup, Jan Szrot, na czele procesji wiernych Kazimierza i Krakowa przybył na miejsce wypadku, wydobył puszkę i uroczyście odniósł ją do kościoła św. Wawrzyńca. Na pamiątkę tego zdarzenia Kazimierz Wielki polecił w miejscu znalezienia wznieść kościół pod wezwaniem Bożego Ciała. Taki przekaz pozostawił nam Miechowita w swej kronice, wydanej w 1519. Bliższe zbadanie tej legendy wykazuje, że on sam był jej autorem, nie umiał bowiem wytłumaczyć istnienia w Krakowie i na Kazimierzu kościołów pod jednym wezwaniem. Ówczesna

odrębność administracyjna obu tych miast w zupełności jest uzasadniona, przekaz Miechowity jest zatem wątpliwej wartości. Bliższy wypadkom Długosz, tak dokładnie obznajomiony ze stosunkami kościelnymi w tych czasach, zupełnie nie zna tej legendy. Z tej przyczyny początków kościoła Bożego Ciała na Kazimierzu musimy szukać gdzie indziej, odrzucając całą tę legendę, jako fantastyczną.

Dokładne zbadanie materiałów źródłowych, a głównie najstarszych rękopisów kanoników regularnych, jak ich księgi zmarłych, znajdującej się w archiwum miasta Krakowa (rkp. 904), znajomość napisanej przez nich historii tego kościoła (dziś w rękopisie w Jagiell. Nr 3742) i rachunków radzieckich miasta Kazimierza (wyd. Chmiel A.) rzuca zupełnie inne światło na powstanie tej pięknej świątyni.

Inicjatywę wzniesienia kościoła należy przypisać radzie miasta Kazimierza, starającej się rozbudować miasto na wzór Krakowa. Szybki rozwój miasta, połączony z poważnym narastaniem tu ludności, skłonił radę do powzięcia uchwały budowy kościoła, gdyż stary kościół św. Wawrzyńca nie zaspakajał potrzeb religijnych ludności. Ponieważ naśladowano Kraków, starano się kościół wznieść dokładnie w tym samym miejscu przy rynku, jak wybudowano kościół mariacki w Krakowie. Właśnie wypadało to na bagnistych terenach łąk, zwanych „Bawole“, na których ongiś stała wioska, obecnie zaś nie pozostało z niej śladu. Ludność przesunęła bowiem siedziby skupiając się bardziej przy Skałce i „wielkim promie“ na Wiśle u podnóża Wawelu. Same łąki należały do króla. Kazimierz nie odmówił prośbie swoich mieszczan, nie tylko pozwolił wznieść kościół na pożądanym miejscu, ale zaopatrzył go w szaty i sprzęt liturgiczny, osadzając w nim Franciszkanów z Krakowa. Było to w 1347 r.

Pobudkę do tego kroku rady miasta Kazimierza podał zapewne ówczesny proboszcz z Kazimierza Jarosław, który też przy nowym kościele założył w 1348 r. bractwo „5 ran Chrystusowych“, czyli Bożego Ciała. Jest najstarsze bractwo w Krakowie. Do pracy nad budową nowej świątyni przystąpiono natychmiast, ale roboty nie dały pozytywnego rezultatu. Wznoszone mury osiadały na bagnie, nie można było dalej roboty prowadzić tak, że w miejsce budowli murowanej

wzniesiono kościół drewniany. Rada była niepocieszona. Drewniany kościół parafialny ogromnie szpecił miasto. Właśnie król Kazimierz Wielki wystawił tu prześliczny murowany kościół św. Katarzyny, wkrótce też najstarszy w Europie wschodniej most, łączący Kazimierz z wylotem ulicy Grodzkiej, (zniszczony przez powódź około 1475 r.), a w końcu stanął uniwersytet. W tych warunkach punktem honoru rady było podjęcie powtórne budowy kościoła parafialnego, będącego przecież wyrazem zamożności miasta. Prace rozpoczęto w 1369 r.

Tym razem przystąpiono do nich z całą świadomością trudności, nastręczanych przez teren. Przede wszystkim podjęto prace melioracyjne, **pierwsze tego rodzaju w Polsce**, prowadząc podkopy wzdłuż muru cmentarnego, otaczającego kościół. Tym sposobem uzyskano znaczny teren odwodniony, który wzmocniono przez nawiezienie tu dużej ilości ziemi. Zwożono ją w ciągu trzech lat, jeszcze w 1372 r. zapłacono za jej przywóz 1 grzywnę. Od samego też początku zwożono kamień na budowę. Zrazu zużyto go do postawienia muru, następnie zaś do stawiania presbiterium. Kamień zwoził niejaki Rosenberg, dostarczając go raz na kwartał. Dopiero w 1372 r. nakazano mu dostawę przed Bożym Narodzeniem, co wskazuje, że w tym roku mur był już ukończony, a zabierano się do stawiania presbiterium. Drzewny materiał budowlany dostarczali w tym czasie Czynner (Zinner) i Tilman. Były to roboty wstępne. Zakończono je w 1372 r.

Na początku następnego roku rada miasta uchwala stałą daninę na rzecz budowy kościoła tym bardziej, że nie można się było doczekać realizacji testamentu ostatniego Piasta. Kazimierz umierając, polecił wzniesienie murowanego kościoła w faworyzowanym przez siebie mieście. Zostawił też na to znaczny zapis, popierając podjęte przez miasto w 1369 r. prace. Ponieważ franciszkanie nie skorzystali z pierwszego nadania króla, ostatni Piast polecił osadzić tu kanoników regularnych reguły św. Augusta, z którymi zetknął się w Pradze czeskiej. Ludwik węgierski jednak nie wypełnił ostatniej woli zmarłego wielkiego króla. Toteż rada miasta chwyciła się innych środków, celem wzniesienia kościoła. Nie tylko nałożono daninę na mieszkańców miasta, ale miejski sąd ławniczy w rozmaitych procesach wymierzał kary, z poleceniem płacenia ich na rzecz bu-

dującego się kościoła. Obok tego napływały wcale liczne dobrowolne składki samych mieszczan. Teraz można było przystąpić do właściwej budowy.

Powierzono ją w 1373 r. Janowi Czypserowi, budowniczemu, który wznosi zrazu presbiterium, a prawdopodobnie i zakrystię. On też buduje tzw. mały chór z kamienia. Samą zakrystię wykańcza w 1376 r. Ilsung, za co otrzymuje 1 grzywnę. W tym też czasie wstawiono ławki w kościole za cenę 3 fertonów. Najintensywniejsze roboty nad presbiterium przypadają na rok 1378. Szkielet jego stanowi 4 filary kamienne



Pokłon Trzech Króli.

które zobowiązał się wystawić Czypser za cenę 9 grzywien i 1 konia. Wysokość ich miała wynosić 12 łokci. Czypser nie wzniósł sam tych filarów; jeden z nich wykończył Armknecht, kamieniarz. Sam Czypser bowiem zajęty był wyciąganiem murów, oraz kuciem rozet do okien, za co wraz z synem otrzymał osobno 5 groszy, a więc tyle samo, ile płacono za jednorazową dostawę piasku na budowę. Cegłę płacono od pieca, tj. od wypalonej jednorazowo w piecu cegły. Jeden piec kosztował 8 grzywien, bardzo wysoką sumę, co wskazuje, że

ilościowo było jej bardzo dużo, przynajmniej parę tysięcy sztuk. Z dostawców cegły znamy z nazwiska tylko wdowę po ceglarzu, niejaką Cigelstryechirinę, która też figuruje na liście dobrodziejów kościoła. W rachunkach spotykamy pozycje również na łaźnię dla murarzy, co wówczas było powszechnie praktykowane.

Wszystkie te roboty ciągnięto nieprzerwanie aż do 1405 r. Ogółem prowadzono je bezplanowo tuż przy wzniesionym drewnianym kościele za pierwszego proboszcza. Całość prac spoczywała na barku rady miasta. Wielką pomocą dla niej były darowizny mieszczan na kościół. Mieszczka Jaśkowa rezygnowała z domu swego, zastrzegając sobie dożywocie i prawo sprzedaży domu, a wówczas przekazanie połowy ceny kupna na rzecz kościoła. Osanna dała kościołowi jatkę, zwaną „Werk", Jan Schönlicht 10 grzywien, Anna Plesnerowa darowała część swoją w słynnej kamienicy na Kazimierzu, do czego dołączył też część swoją Piotr Grabisz. Obok tego wpływało szereg drobnych darów, dalej opłaty sądowe nawet za krzywoprzysięstwo i te sumy, których ofiarodawcy nie spodziewali się odzyskać. Można więc było prowadzić budowę, chociaż postępowała ona żółwim krokiem. Miasto dbało o wygląd kościoła. Piotr murarz wstawił tu wewnątrz schody kamienne na chór, zwane „Wendilstyen" czyli kręte za 18 grzywien, które następnie zostały rozebrane. Cała ta praca spoczywała na barkach rady miasta. Administrowała ona wszelkimi funduszami kościoła, pokrywając nie tylko wydatki budowlane, ale opłacając plebana, wikarego, trębacza, grającego zapewne hejnał, a ponadto zaspakajała wszelkie potrzeby kościoła, zaczynając od światła, a kończąc na pergaminie do pisania. Rada zabiega gorączkowo o fundusze, sprzedaje darowane nieruchomości kościoła, by tylko wykończyć jego budowę. Jednakże nie powiodło się jej wywiązać ze swego zadania. Prace rady miejskiej przerwało sprowadzenie kanoników regularnych w myśl testamentu Kazimierza Wielkiego.

Dokumentem z 15 maja 1405 r. oddawał im biskup Piotr Wysz rząd świecki dobrem kościoła, oraz troskę i pieczę nad potrzebami religijnymi parafii, zrzekając się nawet swojej jurysdykcji nad klasztorem. Czynił to w porozumieniu się z królem Władysławem Jagiełłą. Z polecenia monarchy udaje się

Jan Ligęza, wojewoda łęczycki, do Kładzka na Śląsk, skąd sprowadza prepozyta Konrada „Niemca“ wraz z 6 kanonikami. Byli to, podobnie jak Konrad, Niemcy. Pierwsze miejsce wśród nich zajmował dr Jan z Austrii, przeor, dalej Paweł Tylid, kaznodzieja niemiecki, Piotr Klareta, który następnie spisał regułę kanoników, Szymon, drugi z kolei przeor, który prowadził śpiew kościelny i sam pisał nuty. Umarł on 27. XI. 1422 r. i został pochowany przed wielkim ołtarzem. Do przybyłych z Konradem należy zaliczyć jeszcze Mikołaja, pierwszego prokuratora klasztoru, oraz wcześnie zmarłego Hermosława.

Prepozyt Konrad przede wszystkim zburzył kościół drewniany i wyznaczył miejsce na nawy główne i boczne. Wobec rozwijającego się wówczas kultu Matki Boskiej i wprowadzenia litanii do Niej, Konrad widząc, że nie wykończy budowli tak ogromnej, wzniósł kaplicę N. P. Marii i kaplicę Trzech Królów. Budowle te stanęły w 1410. Tu zapewne powracający Jagiełło wywiesił po raz pierwszy sztandary krzyżackie spod Gruwaldu, zanim przeniesiono je uroczyście na Wawel. W kaplicy tej stanął też obraz Matki Boskiej, słynącej cudami, uprzednio przechowywany zapewne u św. Wawrzyńca. Przy obrazie tym i ołtarzu zawiązało się bractwo Wniebowzięcia N. P. Marii. Drugi cudowny obraz Matki Boskiej, przywieziony przez kanoników, zbiegłych przed husytami z konwentu w Rudawie na Morawach, malowany według tradycji przez św. Łukasza na desce, otrzymał swój ołtarz dopiero za trzeciego prepozyta, Jakuba. W głównym ołtarzu był krzyż Chrystusa, pod którym stał Adam z wyciągniętymi rękoma, symbol przejęcia krwi Zbawiciela na siebie. Jest to wysokiej wartości rzeźba z Francji z XII w. nieznanego artysty z Limoges. Zrazu kanonicy starali się o zdobycie funduszów, a następnie własnym wysiłkiem wznosili kościół, klasztor i szkołę przy nich. Toteż budowa się przewlekała. Prowadzili ją kolejno prepozyci Konrad, dr Jan, Grzegorz i Kasper. Ostatni ukończł ją w 1442 r. Wówczas stanął kościół w całej swojej okazałości tak, jak go dzisiaj widzimy.

Po ukończeniu budowy posypały się datki mieszczan. Erygowano cały szereg ołtarzy, zapełniając wnętrze świątyni. Największą chlubą mieszczan i kościoła było cyborium, wzniesione w drugiej połowie XV wieku, jakim nie mógł się posz-

czycić nawet kościół mariacki w Krakowie, gdzie wymurował je dopiero w XVI wieku Jan Maria Padowano. Cyborium w kościele Bożego Ciała na Kazimierzu wzniesione zostało za prepozyta Andrzeja (1477—1505). Osobliwością jego była rzeźbiona postać mężczyzny, trzymającego cymbały, a połączonego mechanizmem z zegarem, umieszczonym na zewnątrz ołtarza. Kiedy dzwonnik kościelny wydzwaniał godziny dla miasta, figura ta automatycznie uderzała w cymbały, ogłaszając godziny wiernym w kościele. Dzwonnik, opiekujący się tą figurą i zegarem, otrzymywał osobne wynagrodzenie od rady miasta. W tym czasie wnętrze kościoła przyozdobił malowidłami konwersyt Jan z Nissy, niestety malowidła te nie zachowały się. Wówczas również nabyto dla kościoła figurę św. Barbary, znajdującą się dziś w Muzeum Narodowym. Ze zwyczajów, jakie panowały przy kościele Bożego Ciała, wypada podkreślić jeden bardzo charakterystyczny. Kiedy w 1492 r. spłonął w Krakowie kościół św. Anny, kolegium majus i szereg przyległych ulic z powodu zapuszczenia ognia przez żydów, wypędzono ich na Kazimierz, wyznaczając tereny dawnej wsi Bawoł na zamieszkanie. Prepozyt czuł się tym poszkodowany i zażądał stałego trybutu od żydów za „wdarcie się do jego parafii". Sąd uznał słuszność tego zarzutu, lecz żydzi nie opłacali się regularnie. Za karę nakazano im nosić graduały i psałterze z zakrystii do kościoła, ile razy kanonicy będą tego potrzebowali. Dekret ten jednak pozwalał się im wykupić i od tego czasu opłacali oni za tę czynność kantorów Bożego Ciała.

Reasumując powyższe, widzimy, że kościół Bożego Ciała na Kazimierzu w Krakowie stanął wysiłkiem przede wszystkim mieszczan tamtejszych, oraz wydatną pracą kanoników regularnych. Ostatni dokończyli rozpoczętą pracę pierwszych, dzięki temu, że dochody swoje oparli głównie na młynach, a to na słynnym młynie Gerlacha, oraz młynie przy bramie św. Mikołaja w Krakowie, które nabyto już za pierwszego prepozyta. Wspólny ten wysiłek złożył się na wzniesienie jednego z najpiękniejszych zabytków sztuki średniowiecznej w podwawelskim grodzie.

Bronisława Rychter Janowska

W gościnie u Turków



Wjeżdżamy do Bosforu.

Wille, pałace, ogrody, porciki, ruiny starych zamczysk przesuwają się przed oczyma jak cudowna wizja.

Morze w cieśninie spokojne, woda jak lustro. Dojeżdżamy do Stambułu, i dla braku miejsca w porcie zatrzymujemy się jeszcze jakiś czas na pełnym morzu.

O godzinie 3 z południa stajemy w Galacie przed molo, lecz o lądowaniu nie ma mowy. Hieny portowe, przybiciem do brzegu opanowały cały okręt z podjeżdżających łodzi. Są to dźwigarze i hotelarze. Wydzierają sobie podróżnych, łapią ich walizki, robi się okropny chaos, zgiełk, krzyki, wołania, przekleństwa, jednym słowem piekło, w którym nikt nikogo nie słyszy, i nikogo nie rozumie. Policji nie ma zupełnie, podróżni zdani na łaskę i niełaskę losu, biada im, jeśli energicznie nie zaprotestują przeciw tej inwazji, najdzikszej pod słońcem armii portowej, jakiej pewnie nie posiada żaden inny port na kuli ziemskiej.

Wydobycie się z okrętu na ląd równa się walce na śmierć i życie i jeśli się z niej wychodzi cało, należy do wyjątków.

Masa ludzka wali nam na karki i pcha w przyspieszonym tempie do hali celnej. Tu walka o rzeczy. Jacyś okropni czarni ludzie łapią za nasze walizki, na szczęście znajdujące opiekunów w służbie hotelowej, która czekając na nas, załatwia się z nimi energicznie.

Rewizja ostra, lecz władze celne z uwagą na moją legitymację korespondentki i na bardzo skromne wyposażenie podróżne

nie rewidują, i nareszcie wydostajemy się na ulicę do czekającego nas auta.

Zatrzymujemy się w Grand hotel Imperial, gdzie panują już stosunki Europejskie.

Po odświeżeniu, udajemy się od razu na zwiedzanie miasta w autach. Mamy doskonałego przewodnika Turka. Przejeżdżamy mostem z Galaty do Stambułu. Miasto wre życiem wschodnim. Europa i Azja podały tu sobie ręce. Wąskie łamane ulice zalegają różnobarwne tłumy, gotuje się tu jak w kotle, słyszy się wszelkie języki i widzi najrozmaitsze typy. Przesuwamy się koło meczetów. Są to imponujące wielkością architektoniczne zabytki z igłami minaretów, z których muesini pięciotkrotnie wzywają wiernych do modlitwy.

Muzułmanie są pobożni, kochają swego proroka i Ałłachowi oddają co mu się należy.

Bramy meczetów są zawsze otwarte, można tam wejść każdej chwili, lecz broń Boże w trzewikach. Stróż koranu i czystości stoi jak cerber w przedsionku i sam pilnuje, by obuta stopa nie stanęła na świętym dywanie. Zwiedzający muszą wdziać podawane pantofle, lub w pończochach przestąpić próg moszey.

Przed meczetami publiczne umywalnie, w których każdy Turek musi odbyć swe rytualne ablucje przed wejściem do świątyni.

Zamiast ołtarza wgłębienie półkoliste zwrócone w stronę Mekki, wyłożone majoliką, na której wypisane zdanie z Koranu. Cała posadzka wyłożona wielkimi, nieraz bardzo cennymi dywanami. Olbrzymie przestrzenie tych świątyń świecą pustkami, gdzieniegdzie jakiś Turek w pobożnej ekstazie, z głową pochyloną, z zamkniętymi oczyma siedzący na własnych stopach modli się żarliwie przesuwając ziarnka różańca. Różańce te bywają często ze szlachetnych kamieni, najczęściej z koralu z ambry, lub z drzewa sandałowego.

Muzułmanki mają swoje zagrodzenia w moszey i tam „kucając“ modlą się, zwarte w masę, wyglądają jak żywe tobołki.

Do osobliwości Stambułu należy Bazar, w którym koncentruje się świat handlowy miasta. Jest to labirynt złożony ze setek małych krętych i wąskich uliczek wypełnionych sklepami. Zabłądzić tam bardzo łatwo, zważywszy, że z każdej ulicy większej idą promienie ulic mniejszych w sobie złączonych, lecz kto

nie zgłębi tajemnicy orientowania się w nich, bez przewodnika może godzinami błądzić, zanim się stamtąd wydostanie.

W bazarze tym można się zaopatrzyć we wszystko, co stworzył przemysł ludzki w ogóle, od najlichszych do najwspanialszych przedmiotów, srebrnych i złotych, tkanin, drogich kamieni, klejnotów, bezcennych dywanów. Roi się tam od ludzi, słyszy się niemal wszystkie języki wschodnie i europejskie, przeważa turecki i grecki.



Szukam oryginalnych wyrobów tureckich lecz poza dywanami i kimonami haftowanymi srebrem i złotem, trudno o zdobycie innych rzeczy w tym rodzaju.

Zaproszeni na wieczór przez wysoką osobistość dyplomatyczną dla spraw zagranicznych, spędzamy go w czysto tureckim towarzystwie i spożywamy tureckie specyfiki. Ryby, jarzyny u nas nieznane, sałaty, wszystko przeoliwione, gorące lub zimne, potem chłodniki, za napój woda sodowa z lodu ze sokiem, żadnych rozpalających trunków. Rozmowa toczy się w języku francuskim, częścią włoskim, bo nikt z nas po turecku nie umie.

Adnan Bey z żoną i synem są przemili i ogromnie gościnni.

Wracając do hotelu napotykamy moszeę, przy której leży mały cmentarz, jak zresztą zwyczajem tureckim przy każdej,

gdzie chowają tylko swych ubóstwianych proroków i świętych. Okna moszey otwarte i można weń zajrzeć. Modlą się tam w ciszy bosi muzułmanie, mimo że jest to godzina 10 w nocy. Obie dłonie przytknięte do twarzy od ucha ku brodzie, kładą je potem na kolana klęcząc lub stojąc i biją po trzykroć pokłony w stronę Mekki. Jest tam ogromnie cicho, nie słychać stąpań tylko pobożne szepty i wstchnienia.

Świątynie muzułmańskie odwiedzane są już od 4 rano, gdy muezzin z minaretu zwołuje wiernych do modlitwy. Głos jego jest gardłowy, sztucznie stłumiony, monotonny, a jednak przeciągły i donośny.

Idę spać, zmęczona nad wszelkie pojęcie mając już tak wiele wrażeń poza sobą.

Dnia następnego wsiadamy do auta i w dalszym ciągu zwiedzamy miasto, przesuwając się węzłami najrozmaitszych ulic, zwiedzamy muzeum, w nim wykopaliska i sztuka grecka, majoliki. Sztuka malarska jest u Turków w absolutnym zaniedbaniu.

Auta nasze mkną w stronę Seraju.

Seraj! Słowo zbyt magiczne by nie zrobiło wrażenia. Nasz przewodnik Turek z wysokiego towarzystwa zaznajamia nas ze wszelkimi tajemnicami Seraju. Słuchamy go z zapartym oddechem.

Do Seraju dostajemy się przez bramę obronnych murów, których sam widok przeraża beznajdziejnością. W podwórzach aleje z najstarszych drzew, gęste żywopłoty cięte kunsztownie, kwietniki, orgie barw.

Słowa zastygają na ustach, niezdolnych opisać tych cudów, jakie się przed widzem otwierają.

W najpiękniejszej części miasta, na wzgórzu łagodnie spływającym ku morzu, z najpiękniejszym widokiem na Bosfor i morze Marmara, wznosi się baśń wyśniona w najzawrotniejszej fantazji ludzkiej. Wszystko przemawia, że panowała tu najczystsza poezja Piękna, królewsko złączonego z naturą. Wyobraźnia przesuwa obrazy tchnące najżywszym uczuciem miłości i grozy, zdaje się, że te mury, liczne krużganki, wirydarze, rozkoszne zakątki pełne jeszcze zmysłowej atmosfery, wyrzucają ze siebie całą falą gromadzone w nich i utajone szmery przeszłości.

Przejmuje mnie jakieś niesamowite wrażenie, przesuwając się w skupieniu po tym labiryncie sal, salek, altan, cienistych korytarzy, maleńkich jakby gniazda pokoików wyścielonych mięk-

kimi, puszystymi dywanami, na których legion złocistych poduszek zda się nosił jeszcze ślady wklęsłości ciał ludzkich.

Przepych tkanin, lśniących aksamitnych kobierców jedwabnych, delikatniejsze od mgieł zasłony w oknach, jakby z tęczy utkane amfory z górnego kryształu, brązy, malachitowe wazy. Ściany wyłożone najbarwniejszą majoliką lub złotogłowiem, wszystko, na czym oczy spoczęły, było stworzone dla miłości.

Tu myślano jedynie o radości życia kosztem poddanych, wszystko składało się tu na zmysłową, wyrafinowanie przemyślaną rozkosz.



Natura sprzyjała, królewsko spełniając swoje zadanie. Słońce, szafir morza, aksamitny błękit nieba, wysrebrzone blaskiem księżyca noce, drgające gwiazdy i unosząca się nad głębiami cisza, były tu upojeniem, podniecały wyobraźnię, w której szalały rozpętane zmysły.

Wirydarze Seraju osłonięte były delikatnymi jak koronki kratami, poprzez które stęsknione za wolnością branki spozierały na świat, zawsze przed nimi zamknięty.

W pół sennej kontemplacji przebyłam tam godzin parę, strojąc obrazy mej wyobraźni w ramy najbujniejszej fantazji, upajałam się zawrotną wonią róż kwitnących na przebogatych

królewskim kwiatem klombach, jakaś upojna słodycz kołysała miękko zmysły moje.

Sułtan żywił i utrzymywał 20.000 ludzi, w tym 500 żon, 100 białych i czarnych eunuchów, służbę i wojsko, był władcą życia i śmierci.

Seraj był niebem dla wybranych, piekłem dla niewolników. Ci ostatni żyli pod znakiem tyraństwa i okrucieństwa.

Widziałam kaźnie eunuchów, ich mieszkania w których wiedli najokropniejszy żywot niewolników, widziałam miejsca stracenia tych, którzy z łaski sułtańskiej wypadli i tych, których dla zabezpieczenia sobie tronu Sułtan skracał o głowę.

Dziś po 150 latach gdy opuszczono Seraj i przeniesiono się do nowożytnego pałacu tuż nad morzem na złocistym brzegu Bosforu, tchnie tu jeszcze duch minionych czasów. Wszystko pozostało w dawnej postaci nietknięte. Dywany najkosztowniejsze, łoża, poduszki złotem tkane, cały przepych, w jakim żyli ówcześni władcy państwa księżyca.

Przy bramie wyjściowej pełni służbę stróża Seraju eunuch ostatniego Sułtana. Groteskowa ta postać, pozbawiona form i cech normalnego człowieka, do nieprawdopodobnych rozmiarów rozrośnięta w biodrach z małą głową, o posiekanej zmarszczkami twarzy jest przerażajacą spuścizną absolutnych rządów ówczesnych.

Muzeum w Seraju, może najbogatsze muzeum na świecie dla swych w zawrotnych cyfrach skarbów, posiada nieprzebraną, nieprzeliczoną wprost moc najkosztowniejszych przedmiotów.

Nie godzin parę, ale miesięcy można by tu spędzić na drobiazgowym i dokładnym oglądaniu rzeczy, o których nie można mieć należytego wyobrażenia, jeśli się ich na własne oczy nie ogląda.

W oczach się mieni od blasku i lśnień brylantów i drogich kamieni.

Są sale, w których na ścianach i w gablotkach znajduje się 40 tysięcy sztuk najkosztowniejszych majolik, jakich używano w czasie przyjęć panujących w Seraju. Jest to dopiero jakaś cząstka zaledwie z tych, jakie złożone są w składach podziemnych.

Są serwisy wysadzane w arabeski najdroższymi kamieniami wielkości ziarn grochu. Przeważają rubiny, szafiry, turkusy, szmaragdy i diamenty. Jest parę tysięcy tych sztuk a każda posiada po kilkadziesiąt kosztownych ozdób.

Są przedmioty z górnego kryształu o ciepłym, szlachetnym tonie, w postaci olbrzymich, wysokości człowieka amfor, mieniących się najdelikatniejszą tęczą.

Sala broni i rynsztunków, gdzie wszystkie rękojeście i pochwy szabel skrzą się od diamentów i wszelkich drogich kamieni. Przedmiotów tych jest parę tysięcy.

Trony władców zajmują dwie olbrzymie sale. Wszystkie te okazy to wysiłek sztuki jubilerskiej, posiadają one nieprawdopodobną ilość pereł i kamieni.



Do jednego z nich użyto 60.000 pereł i tyleż rubinów, szmaragdów i szafirów. Wartość tego tronu obliczona na 72 miliony funtów angielskich.

Stroje Sułtanów przechowywane z wielkim pietyzmem kapią od złota i skrzą się milionem blasków.

W salach przedziwnych przedmiotów fantastycznych w formie do celów ozdobniczych w pałacach sułtańskich, ujrzałam w szklanym pudle oprawioną częściowo prawą rękę i głowę św. Jana Chrzciciela, którą Turcy zrabowali chrześcijanom, odmawiając tym świętym relikwiom właściwego im miejsca. Ogarnęło mnie święte wzruszenie i długi czas nie mogłam się oderwać, a gdy sala opustoszała przyłożyłam usta do szkła całując je z największą czcią.

Przy końcu zwiedziłam starożytny wodociąg w podziemiach Seraju i obok Seraju. 340 kolumn granitowych z kapitelami stylu tureckiego odbijają się w lustrze wody na metr głębokiej i czystej jak łza. Biją tam ciągle jeszcze źródła mające swój odpływ. Zbudowane za czasów Konstantyna nie zmieniły swej siły i formy. Woda w nich mroźna i orzeźwiająca, dziś jednak nie spełniają one swego zadania.

Seraj opuszczałam jak człowiek z przeładowanym żołądkiem. Stanowczo za wiele na jeden raz, ale czas ucieka, więc spieszyć się musimy i przełknąć wszystko co tylko godnego jest widzenia.

Wyszłam stamtąd oszołomiona, w głowie mi się kręciło, byłam upojona wrażeniami do utraty przytomności.

O jakie parę minut od Seraju wznosi się meczet z czasów Konstantyna. Jeden z najpiękniejszych i największych meczetów Konstantynopola, stał się grabieżą Turków. W r. 1453 Mohamed II opanował łacińskie imperium i osiem kościołów, w tym bazylikę św. Zofii przemienił na meczety, wypierając wszelkie ślady łacińskiego panowania.

Ściany bazyliki zdobne scenami z życia Chrystusa oraz wszystkie krzyże na łukach zostały usunięte przy pomocy grubej warstwy złota, lecz godło Męki Pańskiej, po setkach lat zaczęło się wyłaniać i mimo usiłowań tureckich duchownych, widać go wszędzie, a także i niektóre obrazy jak pokłon trzech króli i ucieczka do Egiptu najwyraźniej rysują się spod złota.

Olbrzymia ta świątynia, która może pomieścić kilkadziesiąt tysięcy wiernych, wyłożona najcenniejszymi dywanami o jednolitym motywie świeci pustkami.

Przy wejściu w zaciemnionych niszach zauważyłam dwóch śpiących młodocianych żebraków, którzy steroryzowani słońcem schronili się niespostrzeżenie i chrapali w najlepsze. Zbudzeni i skarceni znikli, lecz znowu napotkaliśmy ich w innym miejscu, tym razem czochrających się do obrzydliwości. Młodszy mógł mieć lat 12, starszy 20 Młodszy przytulał się do starszego jakby do opiekuna, który z całą pierwotną swobodą oczyszczał się z plugawego robactwa. Stróż porządku skarcił ich znowu, więc zbliżyli się do zbiornika wodnego w kształcie olbrzymiej kuli kamiennej i poczęli robić ablucje pod kurkami.

Zbiorniki te mieszczą się po obu stronach przy wejściu do meczetu. Na podwórcu meczetu fontanna stylowa, publiczna umywalnia, Turek bowiem nigdy nie wejdzie do świątyni nieumyty.

Nie straciłam w Stambule ani jednej godziny, wynosząc z niego po czterech dniach pobytu olbrzymią moc wrażeń.

Dnia następnego o 8 rano wyruszyliśmy z przystani w Galacie statkiem do Haida Pascha w azjatyckiej części Stambułu w Skutari.



Jest tam taki zwyczaj, że dźwigarze opiekują się walizami aż do samego pociągu, wsiadając na statek przewożący z Galaty. Zwyczaj chwalebny i praktyczny ze względu na olbrzymi ruch, w którym trudno uchronić się od grabieżców portowych.

W dwadzieścia minut przepłynęliśmy cieśninę na zetknięciu się z Bosforu morzem Marmara i znaleźliśmy się na drugiej stronie świata Azji, skąd pociągiem pospiesznym wyruszyliśmy do Uszaku.

Droga wiedzie parę godzin nad morzem Marmara i pozwala nam ujrzeć szereg wysp rozsianych i zamieszkanych. Cały świat wibruje od palących promieni i zwolna z szafirów i błękitów przechodzi w jakąś drgającą popielatą masę, zwłaszcza z chwilą gdy pociąg odsunął się od morza w głąb kraju.

Jedziemy 1 kl. celem zajęcia tylko czterech miejsc w przedziale, ze względu na tropikalne gorąco. W innych klasach ludzie stłoczeni, gniotą się w straszliwej męce upału. Zaczyna być coraz goręcej, ściany pociągu, poduszki, wszelakie inne przedmioty mają już swoją temperaturę 40 st., jakkolwiek to dopiero godzina 11. Okna pootwierane nie dają żadnego przewiewu, jesteśmy jak w parowej łaźni.

Jadąc napotykamy olbrzymie jezioro, koło którego pociąg przesuwa się blisko 2 godziny. Temperatura się obniża, odświeżone wilgocią powietrze ochładza, zaczyna być znośniej.

Rozpoczynają się wzgórza, pejzaż zmienia się szybko, zbliżamy się do łańcucha olbrzymich gór, zrazu porośniętych, potem zupełnie nagich, dzikich, niedostępnych, formacji stożkowatej z prostopadłymi, niebotycznymi ścianami do dołu. Skały te groźne i niesamowite, przerażająco najeżone, robią wrażenie zwietrzałych, mogących lada moment runąć.

Szczeliny jak otchłanne czeluście, niedostępne groty, ani śladu życia. Czasem dołem sączy się strumień, skały wtedy ożywia zieleń pnączy delikatnych jak puch.

Przełęczami tych skał przemyka się pociąg tak wąsko, że można z wagonu, wyciągnąwszy rękę, dotknąć granitu. Ponuro tu i ciemno, gdyż jedzie się dołem prostopadłych ścian jak otwartym głębokim korytarzem. Przejazd przez te granitowe olbrzymy trwa godziny, po czym góry zaczynają się przerzedzać, tu i ówdzie ukazują się wypalone słońcem doliny i dolinki, coraz to zieleńsze, na których pasą się stada owiec. Pasterze ubrani są w wojłokowe płaszcze z jednego kawałka, dziwnej formy. Jest to na 2 cm gruba warstwa wełniana, która chroni od zimna, bowiem noce w tej części kraju są ogromnie zimne.

Zmiana temperatury następuje bezpośrednio po zachodzie słońca i ze 60 st. spada nieraz do zera. Przejścia z upału do zimna prawie nie ma żadnego. Jest od razu dotkliwy chłód, łąki pokrywają się mgłą, rośliny rosą, wszystko kryje się w cieplejsze miejsca.

W czasie jazdy konduktor zażądał od każdego pasażera dopłaty po 100 piastrów na podstawie rozporządzenia minist. kol. z powodu w dniu tym święta narodowego. Nieprzygotowani na to podróżni mieli niemiłą niespodziankę.

Do każdej stacji w czasie przejazdu pociągów ściągają z okolic bezdomne, luzem żyjące psy, w nadziei, że ktoś litościwy rzuci im kęs chleba i błagalnym spojrzeniem proszą o niego. Rujnowałam się na te biedaki. Wzruszającym był widok suki, która przywiodła ze sobą cztery dorastające szczeniaki i każdy schwycony, czy wydarty innym psom kawałek oddawała zgłodniałym, skuczącym dzieciom. Zauważyłam, że podróżni karmią je chętnie.



Noc zapadła, zapadła prawie że nagle. W pustej niebieskiej przestrzeni poczęły mrugać gwiazdy, wszystko życie zamierało na nocny sen.

Znużeni i okropnie wyczerpani upałem jadąc już 14 godzin bez przerwy, zajęliśmy nasze leżaki i oddali się zasłużonemu odpoczynkowi. Zaczęło nam dokuczać dotkliwe zimno, nakryliśmy się pledami. Sen krótki ale pokrzepiający wzmocnił mnie, zbudziłam się o świcie i rozejrzałam się po okolicy.

Na śpiącą jeszcze ziemię padał perłowy brzask. Lampy wszechświata poczęły blednąć, horyzont jaśniał, wytężyłam wzrok i ujrzałam bezmierną, beznadziejną dal, łączącą się z nieba skłonem, występującą coraz wyraźniej.

Pustynia i taka azjatycka pustynia, w której jedynym znakiem życia, pędzący błyskawicznie pociąg.

Jak okiem sięgnąć niczym nie zamącona pustka, z której poczęło zwolna wynurzać się krwawe słońce, barwiąc horyzont fioletami i czerwienią.

Dla malarza cud nad cudami.

Ale chwila ta trwa krótko, robi się jasno, złotawo w powietrzu i równocześnie, gdzieś daleko we mgłach, ukazuje się sinawy pasek wzgórz, step się ożywia, zaczynają wyłaniać się jakieś punkciki ruchome, coraz wyraźniej, to karawana. Zbliża się, raczej my się do niej zbliżamy, widać już wyraźnie objuczone wielbłądy, idące jeszcze w chłodzie poranku przez pustynne okolice, zdążające do miejsc pozbawionych innej komunikacji. Przesuwają się bardzo liczebnie, łańcuchem, jeden za drugim, jest ich kilkadziesiąt. Król stepów ożywił je.

Zbliżamy się do wzgórz, zaróżowionych słońcem, zaczyna ukazywać się roślinność zrazu sucha, a w miarę posuwania się pociągu zieleńsza, bogatsza, widać już krzewy karłowate, czasem jakieś drzewo ubogie w kształty, aż nagle wpadamy w najbujniejszą wegetację, w których osady ludzkie tętnią życiem.

Słońce zaczyna dokuczać, pali, ale myśl, że za parę godzin staniemy u celu, pozwala nam znosić cierpliwie mękę podróży, która ostatecznnie po 24 godzinach jazdy kończy się.

Jesteśmy nareszcie u celu, w Uszaku. Pan T. oczekuje nas przy pociągu, wychodzimy z niego jak zmiętoszone tobołki, wyprostowujemy nogi i nareszcie możemy chodzić, poruszać się. Co za rozkosz!

W domu przygotowana kąpiel odświeża, zastawione śniadanie krzepi, ogarnia mnie radość, że nareszcie odpoczniemy tu parę tygodni.

Gospodarstwo są przemili, dom kulturalny, Europa w centrum Azji i nie czujemy się bynajmniej obco, mimo że dzielą nas tysiące kilometrów od domu.

Podróż nasza z Krakowa do Uszaku trwała zatem około 10 dni. Zbyt to było wyczerpujące, ale możemy sobie to po królewsku wynagrodzić.

Jestem do głębi wzruszoną tą nadgościnnością państwa T., dzięki którym poznałam życie tubylców, ich zwyczaje, mając ku temu, przez wyrobione stosunki gospodarstwa, znakomitą sposobność.

Odbywam więc autem wędrówki po okolicy, odwiedzam wsie tureckie, obserwuję życie małego azjatyckiego miasteczka.

Uszak jest słynnym z wyrobu dywanów w przemyśle domowym. Dywany uszackie mają już swoją ustaloną sławę na rynkach zbytu i są poszukiwane.

Miasto, doszczętnie zniszczone w czasie ostatnich wojen z Grekami, powstaje na gruzach. Ruiny pałaców usuwają, zastępują je domy nowe, dalekie od dawnej świetności. Są to le-



pianki, na pół baraki pozbawione wszelkiej poezji. Obecny burmistrz Uszaku, człowiek kulturalny i energiczny, odbudowuje miasteczko w szybkim tempie, ulice asfaltuje, zakłada ochronki i szpitale, jest prawdziwym ojcem miasta.

Jarmark w Uszaku to wieża Babel, piekło commercialne Wschodu, okropny dziki chaos, popychanie, krzyk negocjantów, pędzenie bydła, tumult, zgiełk, karawany, stada owiec, opętańczy szał kupujących, straszliwy smród z baranów i ludzkiego potu, kakofonia najjaskrawszych barw i typów, oto obraz jarmarku w małym azjatyckim miasteczku.

Handlują wszystkim, najwięcej jednak baranami, jarzynami, opium i dywanami własnego wyrobu. Na jarmark w Uszaku przyjeżdżają specjalni kupcy opium i zaopatrują się w nie u wieśniaków, którzy trudnią się wyrobem opium i sprzedają je w bryłkach

rozmaitej wielkości. Nieraz bryła taka dochodzi do wielkości bochenka chleba.

W okolicach tutejszych trudnią się uprawą maku, którego olbrzymie łany ścielą się po dolinach, a jest to robota niezmiernie żmudna i uciążliwa, zważywszy że dla zdobycia opium nacina się wokół każdą główkę maku w połowie i przed dojrzewaniem, tym nacięciem sączy się sok z ziarnek i osiada na powierzchni w cienkich brązowych warstwach, które wilgotne pozostają aż do zbiorów. Gdy nadchodzi czas, oskrabuje się tę lepką ciecz i zlepia w bryłę.

Nieraz na taki bochenek opium potrzeba mórg maku, to też opium jest drogim przedmiotem i ludność tutejsza żyje z jego uprawy. Kupców opium widziałam kilku. Siedzą na ulicy w otoczeniu „naganiaczy“, ważą skrupulatnie każdą bryłkę i płacą funtami.

Jarmark jak i wszelkie uroczystości odbywają się u Turków bez wszelkich napoi. Koran zabrania alkoholów, piją więc jogurt, czarną kawę i wodę z odświeżającym sokiem tamaryndowym, którą roznoszą w grubych amforach glinianych. Towar swój ogłaszają dzwonieniem szklanki o spodek.

W sklepach, otwartych na szerokość ściany, siedzą na dywanie z podwiniętymi nogami kupcy i piją czarną kawę w maleńkich filiżankach, przyprawioną na ich specjalny sposób, delektując się każdym łykiem.

Kobiety wiejskie noszą na plecach dzieci przywiązane płachtą. Strój jest rozmaity, użycie kolorów kakofoniczne. Szerokie spodnie ściągnięte koło kostki koloru czerwonego lub niebieskiego w białe paski, na to idzie coś w rodzaju długiego obcisłego żupana przepasanego długim pomarańczowym lub pąsowym szerokim pasem. Żupany te zazwyczaj są białe. Głowę otaczają chustą i spuszczają ją dość nisko na plecy. Koło twarzy i przez czoło biegnie przepaska haftowana misternie, nie rzadko prawdziwym srebrem i złotem. Strój ten w dużej części przypomina stroje biblijne.

Noszą przerzucone przez ramię duże torby na wszelakie przedmioty. Są to przeważnie drogocenne tkaniny dywanowe. Mężczyźni mają białe koszule z bolerem lub kabatem krótkim do pasa o bardzo żywych kolorach jak cytrynowych, żółto-zielonych i pomarańczowych. Kabaty są często bogato wyszywane.

Strój ten zakończa szalowy pas szeroko nawinięty, przytrzymujący spodnie krótkie do kolan. Noszą pończochy i wygodne obuwie. Pasy służą im za schowek na rozmaite przedmioty a przede wszystkim na pieniądze. Głowę owiązują szalem w rodzaju turbana lub białą chustką, fantastycznie z boku zakończoną węzłem.

Typy niezmiernie ciekawe. Są Turcy, Kałmyki, Rosjanie, Tatarzy, Mongołowie z kosmykami na łysej głowie, o klasycznych wschodnich rysach Arabowie, Grecy, Włosi, Żydzi.



Uszak w czasie jarmarku staje się stolicą. Przesuwają się ludy rozmaitych szczepów i narodowości, jest to naprawdę wieża Babel, w której słyszy się wszystkie języki, nawet polski. Ku memu wielkiemu zdziwieniu usłyszałam go z ust sprzedawacza owoców.

„Niech pani spróbuje, są dobre!"

Śnię chyba i własnym uszom nie wierzę, lecz człowiek ten śmiejąc się, podaje mi na dłoni najpiękniejsze okazy winogron mówiąc: „Ja rozumiem, pani z Polski, nauczyłem się w niewoli w ostatniej wojnie".

I kto by pomyślał, że w głębi Azji w najbardziej zapadłej miejscowości, usłyszę w ustach tubylca dźwięk mowy polskiej. Turek mówiący po polsku!

Mowa turecka w wielu razach przypomina węgierską, a nawet posiada równoznaczące wyrazy. Mówią ogromnie szybko.

W czasie jarmarku kręcą się bezdomne psy w nieprawdopodobnej liczbie, ściągające tu w tym okresie na „gościnne występy". Głodne, chude, mogące się zaledwie poruszać. Psy po wsiach żyją własnym sprytem, polując na ptactwo, którego tu jest w nadmiernej ilości. Biedne te bezpańskie zwierzęta są zawsze głodne i litości godne.

Kemal Pasza skazujący psy Stambułu na banicję na odludne wyspy, powinien był z nich oczyścić całe państwo, lub nadać prawo przymusowego żywienia zwierząt potrzebnych a nie pozostawienia tych żyjących szkieletów na pastwę głodowej śmierci.

Byłam w Uszaku w aptece. Urządzone są według przyjętej reguły, ale tam każda apteka musi mieć jakiś wabik, jakiś przedmiot, który by dawał instytucji tej powagę i pewne zainteresowanie. W Uszaku na pryncypalnym miejscu stoi w aptece ogromny szklanny klosz, a w nim trzy ludzkie embriony zakonserwowane w spirytusie, rzecz w swoim rodzaju bardzo oryginalna.

Nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć tyle ptactwa, co w tym kraju. Chmury latających jaskółek, gnieżdżących się niemal w każdym domu, wróbli, srok, przepiórek, sojek, sów, zimorodków, jakichś ptaszków egzotycznych, lecz najwięcej widziałam bocianów. W samym Uszaku ptaków tych jest parę tysięcy. Gnieżdżą się na meczetach, na każdym domu, na niskich drzewach, na kopułach moszei, niemal gniazdo przy gnieździe, żyjąc w najlepszej przyjaźni z ludźmi, których przykazaniem jest nie zabijać.

Bociany chadzają sobie po gościńcach razem z ludźmi, gdy się go napotka trzeba go obejść, usunąć mu się z drogi. Na łące nie ucieka, czując się zupełnie bezpiecznym.

Nad rzekami i strumykami napotyka się na łąkach żółwie, których nikt tu nie prześladuje.

Wsie Turków azjatyckich budowane są w niektórych częściach kraju z płaskimi dachami. Są to lepianki ze sieczki, gliny i drzewa, nakryte dachem z perzu lub suchych roślin. Domy skupione razem, jeden przy drugim, stanowią jakby całość rodziny. Wsie bogatsze mają domy z dachówki, zwykle mały meczecik i swego duchownego, „Hodżie", który z minaretu pięciokrotnie w czasie dnia zwołuje do modlitwy.

Ziemia tu nie ma żadnej wartości. Tysiące tysięcy hektarów leży odłogiem w puszczach i nie zamieszkałych okolicach. Zaludnienia nie ma, natomiast w małych miasteczkach mrowie ludzkie jest nieprzeliczone.

W Uszaku ulice tworzą sklepy, jest ich setki. Naród wschodni musi kupczyć, leży to w jego krwi. Wyleguje się w swej kantynie na pryczy i czeka na kupującego. W dnie targowe



każde miasteczko zamienia się w piekło. Nieludzki wrzask, krzyk, brzęczenie janczarskich kapel, wszystko razem składa się na nieznany nam zupełnie dziki nastrój i wprost straszny w swoim charakterze.

Ale ludzie ci są dobrymi ludźmi. Ałłach i prorok bronią ich przed przestępstwem. Turek nie rozumie co znaczy „ukraść“, dla niego cudza własność jest świętością, można przy nim wszystko zostawić otworem, nie ruszy. Ma honor i miłość bliźniego. Słowo Turka, to jakby samego proroka. Nie zdradzi.

Ludność wiejska żyje bardzo marnie. Główne pożywienie stanowi mleko bawole, jogurt, ser domowego przemysłu, jarzyny z oliwą, placki pszenne i żytnie. W święta musi mieć swą ulubioną baraninę z rożna. Placki wypiekają cienkie i olbrzymie,

zwijają je w trąbkę, lub składają jak papier na kilka części i chowają do kieszeni lub za pas.

Olbrzymie drzewa migdałowe rosnące dziko są źródłem ich środków do życia. Owoc z tych drzew drobny i marny, ale smaczny. Z drzew tych może każdy korzystać.

Ziemniaków uprawiają bardzo mało, ze względu na susze, które tu trwają od wczesnej wiosny do późnej jesieni, toteż ziemniaki należą tu do zbytków, bardzo trudno je dostać. Uprawiają jednak pszenicę, która się bardzo rodzi i udaje, kukurydzę, buraki cukrowe, winogrona, fasolę, cebulę, ogórki, kawony i melony, te ostanie są w tak nadmiernej ilości, że można w okresie dojrzewania otrzymać je po 2—4 piastrów za sztukę.

Rosną w tym klimacie drzewa pieprzowe, olbrzymie morwy, których owoc kwaskowaty i słodki gronowaty, jak rubin przejrzysty do słońca, dochodzi wielkości śliwek i jest bardzo smaczny i orzeźwiający. Drzewa brzoskwiniowe, morelowe, gruszki, jabłka, śliwki, kasztany i orzechy.

Lud jest bardzo pracowity i uczciwy, lecz biedny ze względu na nieurodzajność ziemi.

W chatach nie ma żadnych prawie urządzeń, tapczany przykryte dywanem własnego wyrobu i poduszki z wełny owczej. Ani ławek, ani stołków nie ma, stołów także nie posiadają. Życie domowe odbywa się na ziemi. Wszystkie czynności wykonują „kucając". Gotują na kominkach umieszczonych na ziemi, jedzą także na ziemi bez noży i widelcy, biorąc pokarm rękami, jedynie łyżka zostaje w użyciu wieśniaka tureckiego.

Chłop turecki żyje tu jeszcze bardzo pierwotnie, ich wózki na dwóch kołach ciętych z grubości drzewa, a więc nie zawsze równe. Koła te umieszczone na drewnianych, niczym nie nasmarowanych osiach, czynią piekielną muzykę. Jeśli jedzie z lasu 10 furek z drzewem razem, można oszaleć.

Wszędzie gdzie są osady, spotyka się klasyczne arabskie studzienki, a także przy drogach, wśród stepowych okolic, zaopatrzone w długie koryta z przepływającą wodą źródlaną, przy których zatrzymują się karawany oraz poją stada bawołów i owiec.

Widziałam rodzinę odpoczywającą w powrotnej drodze z jarmarku przy takim źródełku wśród stepu. Ojciec rodziny, syn z żoną i dwojgiem dzieci. Pod cieniem drzew siedzieli wszyscy na rozścielonych dywanach i pokrzepiali się, ucztowali, odpoczy-

wali, pozdrowiłam ich używanym powszechnie „Salam alejküm", bardzo uradowani odpowiedzieli, „Alejküm Salam".



Zabierając się w dalszą drogę, ojciec rodziny dał hasło i kobieta zerwała się i zaczęła wszystko pakować, ładować na konia i osły, mężczyźni tymczasem rozciągnięci leżeli wygodnie, nie troszcząc się zupełnie, że to właściwie ich zajęcie, a nie ko-

biety. Ale zwyczaj tu zupełnie inny od europejskiego. Kobieta w Turcji jak w ogóle na wschodzie jest uważana za niewolnicę i za środek do utrzymania rodzaju ludzkiego.

Dziś już w państwie księżyca zabronione wielożeństwo i w życie weszły zwyczaje europejskie, jeszcze tylko starsze małżeństwa tureckie pozostają na dawnych prawach, haremy jednak znikły.

O parę kilometrów od Uszaku, są pola bawełniane, zbiory odbywają się tam latem i karawanami przewożone do Smyrny, a stamtąd w świat morzem.

Niedziela turecka przypada na piątek, nabożeństwa odbywają się od 6 rano. Hodżia czyli kapłan turecki mieszka w lepiance, do której wchodzi się po stromych drabiniastych schodach. Urządzenia w domu żadnego. Dwie izby malusieńkie, jedna do spania, druga do gotowania. Na ziemi dywan, parę poduszek, w kuchence parę sprzętów kuchennych, na terasie parę kwiatów w wazonkach i to wszystko.

Byłam we wsi tureckiej w dniu świątecznym. W polach praca jak w dnie zwyczajne, żną zboże, młócą, zwożą.

Kobiety na przyżbach domów plotkują, przędą wełnę dla samodziału, dzieci pod cieniem olbrzymich morw baraszkują, otrząsają soczysty, gronowaty owoc, spożywając go w nieprawdopodobnych ilościach. Morwa azjatycka jest odmienną od naszej. Tam pod działaniem tropikalnego gorąca buja, owoce są ogromne i mięsiste, koloru granatowo rubinowego, w smaku kwaskowate, słodkie, soczyste i orzeźwiające.

Kobiety zgromadzone przed domem wysłały do mnie deputację z zaproszeniem do ich grona, lecz ze względu na czas podziękowałam za tę oznakę gościnnej życzliwości i ukrywszy się przed skwarem w cieniu moszey malowałam fragment jej dziedzińca.

Wieśniacy bardzo uprzejmi, starają się mi pomóc, więc proszę o stołek, ale w całej wsi nie ma ani jednego, nawet Hodżia, ten najwyższy urząd kapłański nie ma tego przedmiotu.

Proszę o wodę do picia, podają mi ją wprost ze źródła i zapytują grzecznie, czy nie przyjmę filiżanki kawy czarnej. Odmówić znaczy obrazić, więc skłaniam się ku tej propozycji i w parę minut podają mi w maleńkiej filiżance ich ulubiony

napój bursztynowy gorący i słodki. Pieniędzy za poczęstunek nie biorą, są ambitni.

Wszyscy z zainteresowaniem i ze skupieniem spozierają na moją pracę malarską. Dzieci grzeczne, nie dokuczają, trzymane przez starszyznę w pewnym oddaleniu, zadziwiające posłuszeństwo dzieci w stosunku do rodziców.

Wieś ładnie położona w dolinie i nieco na wzgórzu, budowana lekko, domy na drewnianych stelarzach piętrowe z terasami są tak filigranowe, że ma się wrażenie, iż runą przy silniejszym wietrze, jednak to myli. Są to najsilniej skonstruowane i budowane osiedla, każde zamknięte w sobie i otoczone wysokim murem z sieczki, gliny i kamieni. Na płocie płaski, szeroki daszek, na którym rzędem poustawiane doniczki, z najbardziej barwnymi kwiatami.

Życie tam koncentruje się na piętrze, połowę domu przeznaczają na terasę z trzech stron zamkniętą ścianami, łącząc ją z terasą nieosłoniętą, dół domu przeznaczony dla zwierząt.

Pachnie pieczona baranina, chłop turecki musi ją mieć w swoją niedzielę, pieką ją na rożenkach na drewnianych węgielkach popijając czarną kawą.

Bydła mają dużo, zwłaszcza bawołów, wielkie stada owiec pasie się na stepach. W okresie żniw budują szatry w polach na wysokich palach i tam spędzają noce w czasie zbiorów i młocek.

Młócą na sposób pierwotny, od razu w polu, układają zboże w koło ziarnem do środka, narzucają drobnymi ostrymi krzemykami, na nie słomą i depczą, depczą wszyscy, cała rodzina, ziarno opada na dół. Żyją w ogóle bardzo pierwotnie, nie mają żadnych kulturalnych wymagań.

Tu i ówdzie spotyka się samotny obóz cyganów, duży kryty wóz, w którym mieszka cała rodzina z dobytkiem, dwa złe psy i kilka sztuk bawołów, które ich żywią i są zwierzęciem pociągowym.

Gdy drugi raz przyjechałam do wsi malować, zamożny gospodarz zaprosił mnie do mieszkania i narzuciwszy na terasę wielki dywan domowego przemysłu, na który położył parę poduszek, prosił bym usiadła. Z terasy był daleki widok na całą wioskę w pełnym słońcu, a tak malowniczy, że się zaraz zabrałam do pracy. Gospodarz chcąc mnie uraczyć dostojnym towarzystwem zaprosił Hodżię, który w białym turbanie i w czarnym

długim żupanie pozdrowił mnie po trzykroć, zwyczajem wschodnim przykładając rękę do czoła. Miał ogromną ochotę mówić ze mną, ale nieznajomość języka tureckiego stała na przeszkodzie. Umiałam zaledwie kilka słów i zdań, ale to za mało, więc prosił mnie na migi, bym mu przeczytała ustęp z Koranu pisany łacińskimi literami. Był zachwycony i nie mógł uwierzyć w to, że nie rozumiem, skoro czytanie przychodzi mi z taką łatwością. Przyniósł mi potem w darze koszyczek renklod, a gospodarz postawił przed nami czarną kawę. Jakże wielka dobroć szła od tych ludzi i jakie zadowolenie, że mnie mogli ugościć.

Są łagodni w stosunku do domowników i miłosierni i jacyś tacy wszyscy pogodni.

W każdej wsi są w bliskości źródła, pralnie kryte dachami. Pranie odbywa się w specjalnych w kamieniu kutych basenach czworogrannych z ujściem na wodę.

Innym znowu razem, gdy rano zaszłam w głąb uliczek, zabrałam się do pracy a straszliwy upał dokuczał mi pragnieniem, staruszek chłop przyniósł mi na orzeźwienie w jakimś starym krysztale najpiękniejsze okazy morw i dwie wystrugane z drzewa igły, ażebym sobie rąk nie zawalała, bowiem sok morwy jest ogromnie silny i plamisty. Wzruszała mnie na każdym kroku dobroć tych ludzi.

Nawet żebrak ze swoim chudym psem, widząc, że nie mam oparcia dla mej kasetki, podstawił mi swoją puszkę blaszaną na wodę i czekał tak długo, aż skończyłam malować. Wynagrodziłam go za to zasłużenie, a psu głodnemu oddałam swoje śniadanie. — I pan i pies byli zadowoleni.

Pewnego popołudnia wyjechaliśmy do starego młyna, kilkadziesiąt kilometrów za Uszakiem.

Droga prowadziła przez góry i urwiska, auto pracowało. Spotkaliśmy po drodze odpoczywające karawany przy źródle. Blisko sto wielbłądów objuczonych drzemało wypoczywając ze swym ciężarem na garbie, bowiem w czasie odpoczynku nie zdejmują im ładunku. Poczciwe to i szlachetne zwierzę oddające ludzkości największe usługi, znoszące cierpliwie głód, brak wody, żar z nieba lecący, odżywiające się najmarniej ostami lub źdźbłami suchej spalonej trawy, jakżeż okropnie jest traktowane.

Wiozą tytoń, opium, bawełnę, wełnę, cukier, rodzynki, migdały z okolic i do okolic, w których nie ma komunikacji ko-

lejowej. Naczelnik karawany zaprosił nas do namiotu. Był to, jak z brązu ulany wschodni typ araba.

Drogi są tu fatalne, nad przepaściami, nad urwiskami, niczym nie zabezpieczone, o wypadek nie trudno, o śmierć jeszcze łatwiej. Z jednej strony skały, z drugiej przepaście. Jeśli droga zła, a prowadzi przez pola, rozwiązuje się ten problem bardzo prosto, mianowicie wjeżdża się na pola i łąki i jedzie się nimi bez wszelkich względów, jeśli napotka się parów, przez parów, maszyny są silne i wytrzymałe, szoferzy świetni.

Dojechaliśmy nareszcie do miejsca przeznaczenia. Niewielki młyn nad rzeką pracował zawzięcie, przed młynem terasa wyzamiatana jak salon, dokoła kwiaty, eukaliptusy, sad i ogród jarzynowy.

Właściciel bogaty obywatel, zatelefonował do służby, ażeby nam na terasie posłano dywany, dano stół, stołki w ogrodzie i przyjęto czarną kawą i ogórkami ze solą. Taki zwyczaj. Wszystko było przygotowane, ogórki, kawa, dywany, młyn warczał.

Żona właściciela ze swymi damami siedziała w ogrodzie w cieniu drzew na dywanie i tam złożyliśmy jej wizytę. Głaskała mnie po twarzy, po ramionach, coś mówiła, ale widocznie przyjemnego, bo oczy wyrażały radość, jej damy tak samo. Zaprosiła nas do swego domu do Uszaku i nazajutrz pojechałam do niej z panią T.

Za uderzeniem kołatki w drzwi, zjawiła się służąca i wpuściła nas do holu wyłożonego dywanami. Pod oknem na całą szerokość pokoju biegną długie kanapy, zasłane dywanami i poduszkami. W oknach batystowe firanki. Okna od ulicy wszystkie założone misterną drewnianą kratą, pozostałość z czasów wielożeństwa.

Pani domu weszła w pantoflach, ubrana w perkalową suknię jednolitą białą w fioletowe prążki, spod sukni do kostek ukazały się perkalowe białe majtki, na głowie przejrzysta chustka czarna z kwiatowym szlakiem, obszyta złotym haftem, bez której żadna Turczynka się nie ukaże.

Jejmość pani tęga, zażywna kobiecina, lat przeszło 60, była niezmiernie rada naszej wizycie, oprowadzała nas po swoim domu, który lśnił niepokalaną czystością. Jest to mały labirynt, w którym można się zgubić. Salony, gabinety, pokoje gościnne, składy na pościel i dywany, spiżarnie, ubieralnie, szatnie, połą-

czone ze sobą schodami, korytarzami, przesmykami, tonęły w przepychu wschodnich dywanów własnego wyrobu. Ściany białe, czyste, mebli prawie żadnych, tu i ówdzie komoda bardzo wysoka z lustrem, poza tym porozrzucane ogromne poduszki z wełny owczej, miękkie i puszyste w dywanowych narzutach, na których siadają z nogami pod siebie. Życie całe odbywa się na podłodze. Jedzą, siedząc dokoła okrągłego stołu, bo zaledwie 30 cm od ziemi i biorą rękami ze wspólnej misy, czy półmiska, bez talerzy, posługując się małymi placuszkami, które im służą za serwety i chronią od plam na sukni.

Dla gości z Europy są wysokie stoły i stołki i cała zastawa porcelanowa i srebrna.

Prócz jogurtu, wody owocowej i czarnej kawy, nie piją nic więcej, zwłaszcza czarna kawa jest niezbędna na stole Turka. W domach wytworniejszych piją herbatę.

Sufity z drzewa, zawsze umytego, łączenie ścian drewniane i schody, wszystko we wzorowej czystości.

Pani domu zaprosiła nas na terasę, gdzie przygotowano już dywany i krzesła. Terasa czyniła wrażenie barwnej sali przybranej płonącą gamą kwiatów w ustawionych wazonkach na podmurowaniu łączącym terasę z ogrodem, który mimo suszy, należycie i bogato nawodniony zielenił się zdrową i młodą zielenią. Pachła upojnie mięta i drzewa eukaliptusowe.

Przyniesiono nam kawę w maleńkich filiżaneczkach na sposób turecki z pianką, wodę z tamaryndą i chłodniki.

Dzień upalny i odpoczynek w chłodzie orzeźwiający.

Córka gospodyni wyszła do nas ze stylową ozdobą na rękach. Palce do zgięcia wraz z paznokciami zakolorowane na czarno, również dłonie, kosteczki nad palcami u nasady miały czarne punkty, palce u nóg również tak samo zabarwione henną, w sposób, który trzyma się miesiącami. Farbowanie palców u rąk i nóg jest ozdobą bardzo rozpowszechnioną, i do tego celu używane są wszelkie kolory, zależnie od najczęściej używanego koloru sukni. Widziałam też te ozdoby pąsowe, pomarańczowe, zielone, żółte, niebieskie.

W Turcji nie ma siwych kobiet, gdyż z chwilą gdy siwizna się wkrada, malują włosy henną i zawsze na czarno. Włosy zaplatają w kilka, nawet w kilkanaście warkoczów, które bujnie

i bogato spadają na plecy. Dziewczęta do lat czternastu chodzą z gołymi głowami.

Ubiór kobiet miejskich składa się z długiej spódnicy do kostek, na głowę narzucają rodzaj peleryny, która spływa poniżej pasa. Z nad czoła spada przymocowana zasłona, bez której żadna szanująca się starsza Turczynka nie wyjdzie na ulicę. Z chwilą, w której Kemal Pasza nadaniem prawa odsłonił twarz kobiety, młode i piękne Turczynki starają się prawa tego pilnować, wobec czego wspomniane zasłony są już przeżytkiem, używają je jeszcze kobiety na prowincji lub starsze wiekiem.



Suknie kobiet miejskich przeważnie koloru czarnego, lecz chętnie ubierają się jasno, nie zmieniając fryzury przyjętej od dawna.

W domu zasłon nie noszą, lecz w razie wejścia mężczyzny zasłaniają twarz rożkiem chusteczki, jaką noszą charakterystycznie związaną na głowie.

Wszyscy wchodząc z ulicy czy z ogrodu do domu zostawiają obuwie w sionce lub przed progiem i w domu chodzą w pończochach lub boso.

Po przyjęciu zaprowadzono nas do składu z pościelą, kilkanaście szerokich, mięsistych materaców z wełny, ułożone w pi-

ramidę, obok takaż ilość dywanów i poduszek długich a wąskich z wełny i olbrzymie kołdry wełniane, którymi Turek zawija się wraz z głową, dalej jeszcze stosy świeżej płóciennej bielizny pościelowej.

W Turcji wszyscy sypiają na ziemi prócz głów rodziny, którzy mają swoją alkowę z łóżkami ogromnie szerokimi. Bogactwo tych przedmiotów ze względu na gościnność Turków jest wielkie. Turek jest z natury bardzo gościnny, bo tak zresztą nakazuje Koran.

Mówiliśmy na migi, i dość zrozumiale, tych parę słów, jakie się nauczyłam, były im ogromnie miłe. Przy końcu wizyty cała ta żeńska familia wyściskała i wycałowała mnie niezliczone razy i z honorami odprowadziła nas do auta.

Kobiety zajęte cały dzień gospodarstwem i szyciem, panuje tu podział pracy, każda z nich oddaje się powierzonej jej czynności, do mężczyzn neleżą kwestie natury pieniężnej i administracji domu.

W Uszaku jest 23 meczetów. Hodżie (kapłani) nędznie ubrani. Lud biedny, od czasu wojen z grekami wyniszczony, więc i na duchownych się to odbija.

Grecy pożogą i granatami szli przez kraj i zamienili go w perzynę. Nadbudowane mury dawnych domów, dla braku materiału drzewnego są tak przejrzyste, że widać często wnętrze mieszkania.

Uszak dzisiejszy wygląda, jak zepsute pudełko ze słomy, które za pierwszą iskrą pójdzie z dymem.

Obecny burmistrz Uszaku Allaetin Bey, człowiek o zachodniej kulturze, który spędził parę lat w Sorbonie, odbudowuje ze stoiczną energią te gruzy, asfaltuje rozwalone ulice, burzy drewniane baraki i zastępuje je zwolna murowanymi domami. Nowy ratusz, szpitale z europejskim urządzeniem już są czynne, boiska sportowe wykończają, jednym słowem, Uszak pod rządami obecnego prezydenta stanie się w krótkim czasie miastem nowoczesnym w samym środku Azji Mn., łącznikiem Stambułu z obecną stolicą Turcji Angorą.

Pewnego dnia wybrałam się na studia malarskie do miasteczka. Burmistrz przyjął mnie niezmiernie życzliwie czarną kawą i lodami, kazał poustawiać strażników miejskich w ulicach,

które miałam w planie, wysłał dwóch stróżów bezpieczeństwa do moszey w celu zapowiedzenia naszej wizyty w świątyni.

Rygor i posłuszeństwo niespotykane. Za przybyciem do meczetu zastałam przygotowane tureckie sandały, które mi wdziano



na nogi i w których mogłam nie dotykając stopą świętego dywanu, obejrzeć wszystko dokładnie. Było to bardzo uprzejmie ze strony burmistrza, który dla gościa z Polski okazał się dżentelmeńskim, przydzielając mi jeszcze dwóch funkcjonariuszy miej-

skich, którzy mieli mnie bronić przed inwazją dzieci. Sądziłam, że dzieci są wszędzie jednakie, omyliłam się w swym sądzie. Dzieci w Uszaku okazały się nie tylko umiejące uszanować spokój w pracy, ale zarazem grzeczne i uprzejme. Każde z nich wpatrując się we mnie i w moją pracę z największą uwagą, czekały na sposobność, by mi w czym pomóc.

Nazajutrz rano o 7 opuszczałam Uszak, odprowadzana przez oboje państwa T., oraz przez wszystkich, których tam w czasie mego pobytu poznałam. Wyjeżdżałam ze szczerym żalem i z wielką wdzięcznością w sercu dla gospodarstwa, którzy mnie z tak nie spotykaną i wzruszającą życzliwością parę tygodni gościli.

Pociąg przepełniony ze względu na święto tureckie, w którym ministerstwo kolei pozwala podróżnym korzystać z ulg, jakich w dnie takie udziela, a mianowicie, za 6 funtów tur. (25 zł. pols.) można z Uszaku do Smyrny wyjechać i za tym samym biletem po trzech dniach powrócić. Dodam, że 1 kl. pospiesznym. Skorzystałam z tej sposobności i zaoszczędziłam sobie w jedną tylko stronę 12 funtów, zważywszy, że cały bilet kosztuje 18 funtów. Cudowny zwyczaj w państwie księżyca. Żeby to tak u nas!

W przedziale było jedno jeszcze miejsce wolne, które skwapliwie zajęłam, mając za sąsiadów i towarzyszy podróży jakiegoś potwornej grubości tatusia z dwoma synami. O ile mogłam się dorozumieć, był to bogaty kupiec z Konstantynopola, który korzystając ze sposobności przejechania się tanio, wiózł swoich synów do Smyrny po to, by na drugi dzień, tę samą drogę, trwającą 36 godzin bez przerwy podjąć. Ale cóż mnie to w rezultacie obchodzi. Drugim towarzyszem był oficer murzyn, mówiący trochę po włosku i jakieś niesympatyczne indywiduum, siedzące z nogami na poduszkach wagonu, z łysą głową i z okropnymi manierami, przed nim buty na ziemi. Był wstrętny i zupełnie „sans gêne“.

Z razu spozierano na mnie z widocznym zainteresowaniem i zaczęto do mnie mówić, lecz na migi dałam znać, że tureckiej mowy nie znam, mogę jednak porozumiewać się po niemiecku, francusku i po włosku. Okazało się, że niemieckim mówił wcale nie źle konduktor, po francusku nikt, a po włosku i to bardzo słabo oficer murzyn, więc ostatecznie, w razie potrzeby był ktoś, co mnie mógł zrozumić.

Wyjęłam gazetę polską, która nadeszła pocztą na parę minut przed wyjazdem z Uszaku i pochłaniałam skwapliwie wiadomości z kraju, spozierając trochę na okolicę, która zaczyna mnie ogromnie interesować.

Droga z Uszaku do Smyrny, to znowu dla mnie nowe egzotyczne wrażenie. Przejeżdżam znowu pasmo wysokich gór, skalistych gigantów, formacji wapiennej. Skały są oślepiająco białe w słońcu, tunel za tunelem, jest ich kilkanaście, pociąg przesuwa się wąwozami przez nagie, przesmutne w barwie i rysunku



wzgórza, pokryte dziwnego kształtu skałami. Skały te wyglądają jakby złożone z miliona kart, jak księgi jakieś olbrzymie, ksz'ałtu czworograniastego. Wysuwają się z nagich wzgórz, rudych od spalonych słońcem traw jak dachy, pod którymi mogą się skryć stada owiec, a nawet ludzie koczujący zamieszkiwać, ale tam beznadziejna pustka, oset, spalona trawa i niewypowiedziana melancholia, po czym wjeżdżamy już w zupełny świat martwoty, której nie ożywia żadna roślinność.

Żar się zmniejszył, upał znośniejszy, gdyż suchość jaka tam panuje, powstrzymuje rozpalenie się skał. Jest ponuro, dziko, niesamowicie, w okół przepaście mrożące krew, ani śladu życia. Po kilku godzinach takiej martwoty, pejzaż zaczyna się zmieniać

w szybkim tempie, gdzieniegdzie ukazują się karłowate krzewy, w miarę posuwania się pociągu, gęstnieją i przechodzą zwolna w niskopienny las, potem ukazują się większe drzewa i zaczyna się najbujniejsza wegetacja. Kasztany, figi, orzechy, migdały, śliwki, winnice, w dolinach kępy kwitnących oleandrów i jakichś delikatnych błękitnych kwiatów na wysokich krzewach, wygląda to tak, jakby cała ta gigantyczna przestrzeń zarzucona była różowymi i niebieskimi bukietami.

Napotykamy szerokie, wyschnięte koryta rzek, oraz strumienie wąsko płynące. Zaczyna być znowu strasznie gorąco. Słońce piecze, zapuszczamy żaluzje, ale to tamuje przewiew i jest jeszcze goręcej, jeszcze duszniej. Nieopisana męka pragnienia, którego nie ma czym gasić, gdyż stacje tureckie rzadko kiedy są wyposażone w artykuły chłodzące i spożywcze, roznoszą tylko czasami wodę w ciężkich glinianych amforach, z którymi Turcy umieją się doskonale obchodzić, dla obcokrajowców jest to żonglerski wysiłek bez pożądanych efektów.

Mam wysiąść w Bayrakli, które uchodzi za przedmieście Smyrny, w rezultacie jest to osada włoska, oddalona od niej pół godziny koleją.

W Bayrakli oczekuje mnie franciszkanin Ojciec Jeremiasz, który pełni obowiązki misyjne proboszcza w kolonii katolickiej, muszę więc bardzo uważać, by stacji tej nie przeoczyć, pociąg bowiem zatrzymuje się tylko minutę.

Na parę minut przed 6-tą nagle odsłania się morze i zatoka Smyrny. Jest ona różowa od słońca chylącego się ku zachodowi, złotoróżowe żagle lśnią na szafirowej przestrzeni, nad którą wisi turkusowe niebo. Szał mnie ogarnia, chcę dojść do okna, ale tatuś ze swymi synkami tak zatarasował sobą okna, że nie ma mowy bym się tam dostała. Staję więc bez ceremonii na poduszkach i ponad ich głowami zdobywam najwspanialszy z widoków. Pociąg nagle zatrzymuje się.

Bayrakli.

Wychylam się z okna i daję znak chustką w stronę, w której ujrzałam mniszy habit franciszkański. Brodaty ksiądz w okularach spostrzegłszy mnie, powitał jak dobrego znajomego, mimo że oboje widzieliśmy się po raz pierwszy i od tej chwili uczuwam coś w rodzaju opieki kogoś bardzo mi oddanego i z wdzięcznością przyjmuję okazaną mi życzliwość. Ksiądz jest włochem,

jakaś poczciwina, zacna dusza, zabiera mnie do klasztoru i zostaję jego gościem na cały czas mego pobytu w Smyrnie.

Pierwotnie miałam zamiar zajechać do pensjonatu Sorbi, lecz dla braku języka, przyjęłam gościnne zaproszenie księdza.

Ze stacji kolejowej, wprost w górę schodami, wykutymi w kamieniu, wznoszę się coraz wyżej ku kościółkowi, jaki pierwszy od 4 tygodni ujrzałam.

Robi mi się ciepło koło serca, ogarnia mnie wzruszenie. Na progu wita mnie stara Francuzka, pełniąca rolę gospodyni, i prowadzi mnie do przygotowanego gościnnego pokoju. Jest



duży, cały wyłożony dywanami smyrneńskimi, mam wygodne łoże z iluzją przed komarami i wcale europejskie urządzenie. Wrażenie sympatyczne. Jestem zmęczoną do niemożliwości i mam ochotę się wykąpać w morzu, odradzono mi, natomiast korzystam z przygotowanej kąpieli w łazience, odświeżam się i siadam na terasie z widokiem na morze, ocienionej winogradem i patrzę na zatokę, na jej czar nieuchwytny, na jej zlewanie się z morzem w ostatnich blaskach.

Cud. Sen różowy z białych marmurów.

Słońce odchodzi na odpoczynek, morze usypia jakby wchłaniało w siebie spokój świata, szafirowa toń przebija przez gałęzie eukaliptusów, upajam się tą najcudniejszą pieśnią, barw jakie roz-

toczył przede mną przepych natury. Wszystko przyobleka się w złoto, białe pałace Smyrny jak rozrzucone płatki róży tlą się jeszcze i zaledwie słońce zasunęło się za fiolet gór, port smyrneński rozgorzał milionem świateł ślizgających się po powierzchni wód. Zapada noc, rożek księżyca wypłynął na niebo, jest jakaś uroczysta godzina, świat ogarnia cisza przerywana szelestem poruszanych wiatrem gałęzi.

Spożywamy kolację na terasie oświetlonej elektrycznie, woda sodowa z lodu orzeźwia, chłód wieczorny wyciąga żar z rozpalonej ziemi, otacza mnie spokój, królewska nagroda po strasznym dniu podróży azjatyckiej.

Dobroć Ojca Jeremiasza jest wzruszająca i z uczuciem wielkiej wdzięczności idę spać pod gościnnym dachem braci misjonarzy.

Budzę się przed wschodem słońca i już nie mogę spać, wstaję zupełnie wypoczęta. Na prost mego okna wznosi się klasztorek zakonnic wychowujących dzieci włoskie, tuż obok meczecik, z którego muezzin zwołuje w tej chwili wiernych na modlitwy.

Świat spowity jeszcze w głębokim śnie, wychodzę na Boży świat, by się rozejrzeć po okolicy. Klasztorek otwarty na oścież, taki tu zwyczaj, zresztą bardzo miły, bo tu nikt nie czyha na cudzą własność.

Żeby to tak u nas!

Jeśli się zdarzy, że jakiś obcy przybłęda targnie się na VII przykazanie, tubylcy urządzają mu taką łaźnię chłosty, że ten jeden raz wystarczy, by go na zawsze oduczyć sięgania po cudzą własność.

„Żeby to tak u nas"!

Wychodzę na terasę kościółka i spozieram na otwarty świat złocący się od wschodu. Ziemia modli się, zbudzone ptactwo świergoce i szybuje w obłokach, cyprysy szumią, morze bije o brzegi, żagle rybaków czerwienią się na fioletach wód morskich, jest przedziwny jakiś nastrój w godzinie przebudzenia.

Godzina 6 rano i równocześnie dzwon na „Ave" zabrzmiał, wchodzę do otwartego kościółka, który za chwilę zapełnia się wiernymi, ksiądz wychodzi ze Mszą św. Jest to pierwsza Msza od paru tygodni, jakiej słucham i czuję się ogromnie szczęśliwą.

Po śniadaniu jedziemy statkiem do Smyrny zwiedzić miasto. Przestrzeń tę przepływamy w 10 minut. Słońce pali, morze chło-

dzi ale w samej Smyrnie stapiamy się literalnie na skwarek. Jestem od stóp do głów ubrana biało a mimo to pali niemiłosiernie. Panama pełni służbę parasolki lecz i tak wybieram miejsca cieniste.

Odwiedzam włoskie klasztory i składam wizytę arcybiskupowi Smyrny. Przyjmuje mnie z widoczną życzliwością i zapowiada swoją w Bayrakli.

Smyrna przedstawia się jak wielkie morze gruzów. Zrąbana, strzaskana granatami na szuter w ostatniej wojnie z Grekami, pozostaje częścią w absolutnej ruinie.



Pałace na Quai i cudne białe poezje z cienistymi palmami znikły, szczątki kolumn, zgruchotane kapitele zwalone w gruzach. Okropny obraz zniszczenia.

W szczątkach olbrzymiej moschey gnieździ się ludność uboga. Na miejscu dawnej Smyrny powstaje Smyrna moderna. Domy i pałace jednakie, według najnowszej techniki budowane tworząc szerokie ulice wytyczone ostatnim planem. Tylko pałace na Quai pozostały nienaruszone. W pałacach tych mieszczą się konsulaty wszystkich państw, zajmują je dostojne osobistości miasta, pierwszorzędne hotele i pensjonaty, biura nawigacyjne na wprost portu.

Quai ciągnie się na przestrzeni 3 i pół klm. Środek Smyrny tworzą jak węzeł gordyjski powikłane uliczki, w których najłatwiej zabłądzić. Domy tu małe, wąskie, niskie, sklepy ciągną się

łańcuchem wzdłuż obu stron. Przez uliczki te przesuwają się karawany i wszelakie szczepy ludzkie. Najżywsze barwy mienią się w słońcu. Różnobarwna masa ludzka przelewa się przez miasto, które wre życiem wschodnim.

Port przedziwnie czysty i spokojny, a przecież zajeżdżają tu okręty z całego świata, gdyż Smyrna jest portem azjatyckim, łączącym dwie części świata w handlu Wschodu z Zachodem.

Zwiedzam tkalnię dywanów, które tu można dostać za bezcen, niestety cło polskie przenosi dziesięciokrotnie wartość tego przedmiotu. Smyrna pod względem dywanów jest przodowniczką. W magazynach tutejszych spotkałam pierwszorzędne okazy antyczne. Trojańskie, Kazaki, Buchara, Szirwalian, Afgan, Gizwan, Sumak Beludź a ceny ich są już mniej przystępne. Dywany olbrzymy, średnie, małe, maleńkie, jedwabne modlitewniki w najwytworniejszych tonach, o złotym połysku, nieraz bezcenne w swej wartości. Składy tych drogocennych przedmiotów posiadają je w zawrotnych cyfrach, a jednak właściciele wiedzą o każdej sztuce z zadziwiającą pamięcią.

Pytam o cenę jedwabnego modlitewnika, zażądano 100 funtów tureckich czyli 400 zł. U nas rzecz taka przedstawiałaby wartość tysięcy.

Smyrna słynie również z dostawy fig, które w olbrzymich ilościach ładują na okręty. Ze Smyrny odchodzą w świat rodzynki, bawełna, wełna, oliwa, tytoń, opium. Tytoń w przemyśle domowym na wsi otrzymuje się po 2 funty za $^5/_4$ kilograma. Palacze mieliby tu raj wymarzony.

Dawna klasyczna piękność Smyrny zachowana jeszcze w nie zburzonych klasztorach katolickich i moszeach, odsłania się w głębi miasta, które jest bardzo wschodnim.

Na bulwarze nad morzem biegnie tramwaj konny. Biedne te stworzenia, ubrane w kapelusze, ciągną swój ciężar godzinami po rozpalonym bruku, o ile go morze nie ochłodzi przy silniejszej fali.

Koń bity i smagany do krwi przez swego dręczyciela, pada wprost pod razami z chwilą, gdy ciężaru swego nie jest w stanie uciągnąć. Cierpliwe zwierzę, palone słońcem, okryte rankami, okrwawione przez tnące olbrzymie muchy, wiedzie swój żywot w nieprawdopodobnej męce fizycznej.

Psy, głodne szkielety ze świecącymi oczyma, wałęsają się, nikt jeść nie rzuci. Kupowałam przy każdym straganie bułki i chleby i karmiłam je, ileż wdzięczności było w ich gasnącym i zrezygnowanym spojrzeniu. A słońce pali niemiłosiernie i wzmaga straszną mękę tych stworzeń.

Zwiedziłam cmentarz turecki, oddalony o 10 km od miasta. Turcy mają zwyczaj odsuwać jak najdalej miejsce odpoczynku zmarłych. Tym razem cmentarz otoczony murem i wysadzony oliwkami, które wydzierżawiają sadownicy. Nie zazdroszczę oby-



watelom Smyrny! Przez szeroką bramę szofer wjechał w sam środek cmentarza. Taki tu zwyczaj.

Grobowce są już zbliżone do europejskich, napisy tu i ówdzie już łacińskim alfabetem. Dużo złota w obramowaniach napisów.

Cmentarz stary w śródmieściu na zboczu góry pozostaje w zupełnej ruinie.

Nie mam słów dla Ojca Jeremiego, który polskiego gościa przyjmuje z najdalej idącą życzliwością i chcąc mu okazać swą wdzięczność, maluję na pustych polach koło ołtarza dwa, dwumetrowej wielkości obrazy, przedstawiające „Zwiastowanie", mimo że walczę z wielkimi technicznymi trudnościami, nie mogąc

w Smyrnie żadnych do tego przedmiotów uzyskać. Ale w końcu przy pomocy materiału, jaki ze sobą posiadam, obrazy wymalowałam.

Wdzięczność księdza, który w kościółku swoim jest zakochany, nie ma granic.

Wieczorem po pracy jestem tak wyczerpana upałem, że biegnę do znajomych Włochów, którzy mają wille nad zatoką, by się w morzu odświeżyć. Schodzi się tam po schodkach do wody od razu po szyję. Woda ciepła, nieco dalej orzeźwiająca. Kąpię się w morzu Egejskim.

W godzinie odpoczynku siadam na terasie i patrzę na bezmiar wód tak o tej porze cichych i spokojnych. Czar Smyrny występuje dopiero o zachodzie słońca. Opromieniona glorią różowych promieni, drży w wibrach unoszących się z morza, srebrna mgła ściele się jej do stóp, wszystko wokoło jakieś przejrzyste, czyste, lśniące w perłowej już poświacie zbliżającego się wieczoru.

Jak dobrze. — Jak kojąco.

Tuż nad morzem drogą przesuwają się karawany, złożone z objuczonych osiołków. Jest ich kilkadziesiąt, idą szeregiem jeden za drugim, automatycznie, zmęczone, stękające i bardzo biedne. Ładują na nie ciężary przenoszące wielokrotnie wagę zwierzęcia, które ugina się na swych cieniutkich nogach, pracuje płucami, aż pada pod batem swego dręczyciela. Pod tym względem Grecy, którzy tu zamieszkują, nie mają konkurentów.

W Bayrakli mówią odrazu czterema językami: włoskim, francuskim, tureckim i greckim. Rozmowa toczy się we wszystkich językach. Tę językową wieżę Babel ma się prawie w każdym portowym miejscu.

Pewnego dnia konsul włoski Cav. de Fontana zrobił mi wizytę i prosił o portret. Uczyniłam zadość jego życzeniu i w trzy godziny portret pastelowy był gotów. Cav. Fontana okazał się bardzo wdzięcznym i poza rekompensatą, którą w moim imieniu złożył na klasztor misyjny O. Jeremiasza, wręczył mi misterny antyczny upominek, zaś w dniu następnym wydał dla mnie obiad dla uczczenia mej osoby, zapraszając również pułkownika M., który przybył do Smyrny i z którym miałam wracać do kraju. Tegoż samego dnia Arcybiskup Smyrny prosił o namalowanie

portretu, niestety było już niepodobieństwem, gdyż na drugi dzień opuszczałam Smyrnę i miejsca na okręcie były już zamówione.

Ekscelencja chciał mnie zatrzymać i ponieść koszta zakupionych biletów, lecz ze względu na połączenia okrętowe w Stambule, nie mogłam już dłużej ani godziny się zatrzymać.

Bayrakli opuszczałam z wdzięcznością dla O. Jeremiego, żegnana przez tamtejsze obywatelstwo z wyrazem niekłamanego żalu. Odprowadzono mnie i pułkownika na okręt i tam do samego odjazdu dotrzymywano nam towarzystwa.

Długo jeszcze panorama Smyrny i wzgórze Bayrakli złociło się w słońcu aż zwolna rozpłynęło w wibrach seledynowych. Żegnałam się z tym widokiem z prawdziwym żalem i szczerą chęcią ujrzenia go jeszcze raz w życiu.

Leo Cassan.
Przekład: Jan R. R.

Gdyż On jest miłością...

Dzień przed sabatem — ołowiane niebo nad miastem Dawida — na ulicach głośny szept i szum...

Po wąskiej ścieżce płynie pochód. Przeciska się przez bramę struenejską. Ahaswer widzi ten tłum. Spostrzega w środku pochyloną, chwiejącą się postać pod ciężarem krzyża. Wówczas wyciąga zaciśniętą pięść przed siebie, a potem głęboko pochyla się nad swoją pracą.

Obok niego: głośne kroki, mruczeniem odmawiane modlitwy i cichy płacz; nagle westchnienie, głębokie milczenie i tuż blisko zmęczony, drżący głos:

— Patrz, krzyż jest dla mnie za ciężki, dozwól mi nieco odpocząć przy tobie.

Głębiej pochyla się pracujący Ahaswer. W oczach jego jawi się nienawiść. Gniewliwie uderza o klin.

Dźwięk młota nie przegłusza jednak słów:

— Ja odpocznę, lecz ty będziesz tak długo tułał się po ziemi, dopóki znów nie przyjdę w dniu Sądu...

I spadła ciemność. Przyroda cała złączyła się w straszną, wzruszającą do głębi skargę. Ziemia się trzęsła, skały popękały

a w ujadaniu wichru słyszał Ahaswer ostatnie wołanie: Eli, Eli, lamma sabacthani!

Przepełniony strachem porwał się z miejsca.

I poszedł.

*

Wędrował przez lata i dziesiątki lat, które jak chwile wpływały w wieczność. Nigdy sen nie schylał się do jego powiek.

Gdyby spocząć chciał na skalistym gruncie, szemrały pod nim krzemienie: — Idź!!

Gdy w rozpaczy rzucił się na kwiecistą murawę, szepleniły kielichy kwiatów. — Idź!!

Fale strumyka, przy którym ugasić chciał pąlace pragnienie, mruczały: — Idź!!

Słowo to słyszał w śpiewie ptaków, w poszumie liści, w szerokich podmuchach wiatru. Szło za nim w świetle dziennym i w ciemnościach nocy. A kiedy w zmęczeniu zamykał oczy, to zjawiała mu się Golgota, z wysokości krzyża szeptały blade wargi owo straszne słowo: — Idź!!

Śmierć przed nim uciekła, chociaż często ją przywoływał. Rzucił się w rozszalałą rzekę. Natychmiast dzieliły się fale przed przeklętym i wyrzuciły go na brzeg.

Wskoczył w przepaść. Granit rozbił się na atomy przy jego dotknięciu a nieuszkodzony podniósł się Ahaswer z miejsca.

Twarz jego miała ponurość Hakeldamy.

O, dlaczego nie poznał Tego, którego teraz wszystką siłą swego serca wypatruje i wyczekuje! Dlaczego nie znalazł Go w owym męczenniku, który na jego progu się załamał?

I szedł dalej. — — —

*

Ahaswer zastał pochwycony i porwany przez tłum ludzi, który dopiero na stopniach cyrku się zatrzymał. Lud siedział gęsto, patrycjusze i plebeusze w olbrzymiej budowli. Przez przeźroczystość purpurowej kurtyny widoczny był żółty piasek areny, a w jej środku gromadka ludzi, jak gdyby zanurzona we krwi.

— Słuchajcie! Śpiewają! krzyczał naród. — Wzgardzają wiecznymi bogami a wołają na pomoc swego Boga! Wypuścić zwierzęta na nich! Chcemy zobaczyć, czy pośpieszy im z pomocą ich bez władzy, ukrzyżowany Bóg!!

— Szaleńcy, wstrzymajcie się, wołał Ahaswer. — Ja znam Go, widziałem Go!

— Chrześcijanin! Chrześcijanin!! szalało pospólstwo. — Wyrzucić go na dół! Ha, ha! świeża pasza dla partyjskich lwów!

Jedno słowo go mogło uratować, lecz go nie powiedział. Stał więc na arenie, której piasek jeszcze bardziej się czerwienił, niż przedtem, i na której kłóciły się olbrzymie, złe koty o ciepłe, drgające mięso.

— Módlmy się za tych, którzy nas prześladują, słyszał mówiącego młodzieńca. — Pan jest z nami i da nam koronę zwycięstwa.

Nagle lew jakiś pochylił się do skoku — zderzenie powaliło Ahaswera na ziemię.

Gdy się przebudził, ściemniało. Cyrk opustoszał. Nocny wietrzyk igrał kurtyną i z jej fałdów wyszedł głos: — Idź!!

I szedł dalej. — — —

*

Wędrował przez lata, dziesiątki lat i przez stulecia. I razu pewnego znów zatrzymał go tłum na drodze.

Na brzegu żółtych, leniwych fal rzeki Mahanadi widzi płonące stosy. Powietrze jest przepełnione jednostajnym grzechotem bębnów. Naokoło śpiew, westchnienia i wstrętny zapach spalonego mięsa.

— Co to znaczy, pyta Ahaswer.

— Rat - Dszatra, ofiara na cześć Kriszny, prawdziwego stwórcy wszystkiego.

Przerażenie odebrało mu mowę. Prawdziwy Bóg? Czyż to nie był ten, którego sam widział, który modlił się za swoich nieprzyjaciół i który łagodnością był i miłosierdziem?

Próbuje wydostać się z tłumu, chce — czego? Masa ludzka pcha się, kołysze na wszystkie strony i w końcu zatrzymuje się w mieście świętym na ulicy przed świątynią.

Szał radości, ogłuszająco grzechocą bębny, czysto dźwięczą gongi; kapłani, oblani potem, ciągną wóz bogów przed ołtarz.

Tu i tam odrywa się jakaś postać z tłumu i rzuca się na bruk. Tępymi obliczami klekocą bramini na platformach swój pacierz, a wielkie, brązowymi gwoździmi obite koła zgrzytliwie toczą się po żywym mięsie...

W wejściu do świątyni stoi Ahaswer; odurzony na pół bladymi i szarymi obłokami kadzideł spogląda na stojącą wewnątrz olbrzymią, ciemnoniebieską twarz z drzewa o dziwacznych rysach. Wzburzone, szare włosy wiszą mu nad zmizerowanym, poоranym zmarszczkami obliczem. Chuda jego postać jest schylona. Oczy jednak rzucają płomienie...

— Ofiary z ludzi?

— Łączymy duszę z ich stwórcą, odpowiada jeden z braminów.

— Czy on to wam polecił?

— Tak czytamy w świętej księdze Manusa: Pozwólcie wyjść duszy, która do niego tęskni; dajcie mu dusze obcych, by w niego uwierzyły.

— Czy ze mnie chcecie się naśmiewać? Tyle wiecie o bogu, co... jednym skokiem znalazł się przed wizerunkiem bożka, a sękata laska okładała go szalonymi uderzeniami...

Stłumiony krzyk pełen złości i zemsty. Sto rąk wyciągnęło się po niego i jakby z przerażenia opadły natychmiast z powrotem...

— Zostawcie go, rzekł nadbramanin z złośliwym uśmiechem, on jest cudzoziemcem. Dusza jego jest opanowana przez szaleństwo i dlatego nie może poznać naszej prawdy. Zaprowadźcie go do najciemniejszego więzienia, by tym prędzej dotarło do niego nasze światło.

Zwartą masą popłynął tłum na brzeg rzeki, by zobaczyć scenę spalenia tego, który ośmielił bluźnić Krisznie. Dużo z nich natychmiast ofiarowało swe życie, celem przebłagania obrażonego stwórcę.

Ahaswera wyprowadzono z więzienia.

Od czasu pamiętnej nieszczęsnej godziny przed wiekami znów zaśmiał sie po raz pierwszy na widok tłumu, który go obrzucił obelgami, opluł i porwał się na niego.

To samo działo się wówczas, to samo i On wycierpiał na drodze do Golgoty.

Pochód przechodził obok świątyni, przed którą stał nadbramanin i wszyscy kapłani. Ahaswer postępował na samym końcu z podniesioną głową, jak zwycięzca. Za chwilę spocznie na zawsze, za chwilę nigdy już więcej nie będzie mu się cisnęło do uszu słowo: — Idź!!

Jakiś znak — pochód przystaje.

— Jako szczęśliwego należy ciebie wysławiać, gdyż jesteś w stanie przejść na święte łono Trimurti. Czy wiesz o tym? Czy to nie napawa cię radością?

Ahaswer milczał. Chciał umrzeć tak jak On niewinny i uzyskać przebaczenie swych grzechów, jak On przez śmierć swoją zadośćuczynił za grzechy ludzkości.

— Gdybym cię uwolnił od kary śmierci, rzekł nadbramanin, oddaliłbym od ciebie zbawienie. Zarazem podpadłbym w niełaskę Kriszny, gdyż on sam chce ci dać światło. Czy uznajesz go? Mów! Ty milczysz?! — Dalej!

Płomienie trysnęły w górę. Trzask palonego drzewa, przeraźliwe dźwięki instrumentów, wzdychania — wszystko to stopiło się w straszliwy akord...

Stosy się dopalały. Gęsta ciemność roztoczyła się nad placem kaźni. Zwęglone kłody i resztki ludzkiego mięsa trzeszczały obok siebie... Wówczas przebudził się Ahaswer i usłyszał z popiołów to bez granic przeraźliwe słowo: — Idź!!

I poszedł.

*

Jak droga pod jego nogami, tak przemijał czas.

Stał w cieniu kolumny pewnej katedry i przysłuchiwał się słowom kaznodziei:... Powiedział Pan: Przyjdźcie do mnie wszyscy; nie ma takiego grzechu, który by nie znalazł odpuszczenia, gdy za niego się żałuje; nie istnieje granica łaski dla tych, którzy jej się domagają; pukającym otworzy się drzwi; i znów kiedyś otworzył usta swe i rzekł: nie łamię trzciny pochylonej i nie gaszę knota dopalającej się lampy...

Płomień światła rozjaśnił oblicze Ahaswera. Teraz poznał swój cel.

Niezmordowany wędrował poprzez żyzne doliny i rozpaczliwe próżne pustynie, przez ostre skały i ciemne wąwozy, aż zobaczył wzgórze, na którym smutek jego miał się skończyć i przyjść zbawienie...

W niewyraźnych cieniach zmroku widzi stojący przed sobą krzyż. Czołga się po ziemi — ciernie szarpią i rwią jego kruche suknie — teraz dotarł do stóp krzyża i mówi trzęsącymi się wargami:

— O Ty, przez Ojca posłany, nie przyniosłeś nam miecza, lecz miłość, którejśmy nie poznali. A ja byłem jedynie ziarnkiem prochu wśród milionów... Patrz, posłuszny Twoim słowom, wędrowałem od wschodu do zachodu słońca i od zachodu do wschodu; musiałem żyć tułaczką; poznałem Prawdę i widziałem, jak ludzie błądzili i błądzą. W imię miłości, która wszystko cierpliwie znosi i przebacza, w imię tej miłości, którą świat cały chciałeś napełnić, w imię Twoje, które dlatego staje się świętością, kto miłość poznał i dla którego ze skruchy i z miłości nadzieja się rodzi... o, pozwól mi teraz odpocząć i wysławiać Cię na stopniach Twego świętego tronu, Ciebie, którego imię język nie odważa się wymówić...

Drżącymi rękoma objął drzewo krzyża i spojrzał na blade, cierniem koronowane oblicze... Dreszcz jakiś go przejął... Jedna ręka uwolniła się od gwoździa i spoczęła na jego głowie. Strumień boskiej miłości wpadł w jego gasnące oczy. Wargi Ukrzyżowanego wyszeptały to błogie słowo: — Odpocznij!!

Garść popiołu rozpierzchła się w wietrzyku porannym.

W błękicie hymn radosny z gardziołka ptasząt — słońce wschodzi — ziemia odpoczywa w głębokiej ciszy.

Ks. Henryk Weryński.

O pomnik Ks. Markiewicza.

...„co to jeden człowiek może, gdy duchem
— gwiazdą na świata się kirze zapalił"
(Juliusz Słowacki „Beniowski" pieśń VI).

Bracia! Rodacy!

...Niedługo, a będziemy obchodzić setną **rocznicę urodzin Księdza B. Markiewicza**.

Sądzę, że projekt mój nie będzie zbyt śmiały, gdy poruszę tu myśl, która już od dawna kołatała w mej duszy, a odpowie też chyba intencjom wszystkich przyjaciół Dzieła Ks. Markiewicza, zwłaszcza zaś: kolebki tego Dzieła, Miejsca Piastowego.

Różne nasuwają się sposoby uczczenia tej rocznicy.

Jako jeden z nich pozwalam sobie tu wysunąć **projekt wystawienia pomnika Ks. Markiewicza w Jego rodzinnym miasteczku, Pruchniku**, oraz odsłonięcie go w dniu **100-ej** rocznicy Jego urodzin.

Miasteczko Pruchnik przyczyni się niewątpliwie do tego dzieła przez wdzięczność dla swego wielkiego rodaka, przez pamięć, że ojciec Ks. Markiewicza był tam przez pewien czas burmistrzem i zasłużył się dla miasta, oraz w poczuciu dobrze zrozumianego honoru i zdrowej ambicji lokalnej.

Wszyscy przyjaciele Dzieła Ks. Markiewicza przyczynią się również chętnie do utrwalenia pamięci życia i zasług Ojca opuszczonej młodzieży.

Oczywiście nie myślę — broń Boże! — o jakimś kosztownym pomniku. Nie byłby on w duchu ubóstwa, tak drogiego Ks. Markiewiczowi i tak bardzo charakterystycznego dla Jego Zakładów wychowawczych.

Wyobrażam sobie na skromnym cokole postać Ks. Markiewicza, przygarniającego w r. 1892 pierwszego opuszczonego chłopca, sierotę Jędrusia, w Miejscu Piastowym.

Na cokole pewnie umieszczone będą — w razie realizacji tego planu — napisy, daty itp.

Ja bym tam bardzo chętnie umieścił cały cytat z Wyspiańskiego, potrącony tu w artykule pt. „Potężne ramię", bo każdy mógłby go zrozumieć lepiej i w ojcowskim geście, przygarniającym Jędrusia i w spojrzeniu czułym, które zda się mówić:

...„nie pomogą świata znachory,
serce w tobie boleje rozpaczą,
nie pomogą, serc nie przeinaczą.
Bo **ze sercem trzeba, jak z ptaszyną,**
jeno troską żywione matczyną,
jeno w swym szczęśliwe gniazdeńku,
bo ze sercem trzeba pomaleńku"...

Niechby ten pomnik mówił potomności o polskim kapłanie, który — przewidując zmartwychwstanie Polski i wielkie trudności, jakie czekają społeczeństwo, — zrozumiał, że tylko czynna miłość bliźniego, zorganizowana CARITAS, może stać się **tym potężnym ramieniem, co Polskę zdoła podnieść i uszczęśliwić.**

*

„Duchem — gwiazdą zapalił się" Ks. Markiewicz **„na kirze"** naszej Ojczyzny, którą wypieścił wolną i zmartwych-

wstałą państwowo w swych proroczych wizjach. Dobrze zasłużył się Polsce...

Stąd śmiałość nasza, by widomym znakiem — pomnikiem uczcić pamięć tego zasłużonego kapłana.

Wierzymy, że myśl tu rzuconą podejmą wszyscy, co doceniają znaczenie społeczne i narodowe idei i pracy Ks. Markiewicza. I — liczymy na to!

Święty Stanisław Biskup.

Wyjątek z dzieła: *Święci w dziejach Narodu polskiego*, Prof. Dr Feliksa Konecznego. Dzieło to jest do nabycia w naszej Księgarni.

Bolesław Śmiały (1058—1079) dał dobrowolnie dzielnicę na Mazowszu młodszemu bratu Władysławowi Hermanowi, sam zaś zyskał przez to spokojną rękę i głowę do swoich wielkich zamysłów na zewnątrz. Był wielkim wojownikiem. Odzyskał ziemię Lachów i Grody Czerwieńskie, tudzież Słowaczyznę, a w końcu koronował się z wielką uroczystością w sam dzień Bożego Narodzenia w r. 1076. Przywrócił tedy blask polskiego państwa ale niestety — sam go też miał zatracić.

U sąsiadów takie miał wpływy i znaczenie, że rozporządzał tronami na Węgrzech, w Czechach i na Rusi. I miał tam takich książąt, którzy jemu zawdzięczali swe panowanie, a jednak żaden z nich mu nie dopomógł, gdy sam potrzebował pomocy, i nie poczuwał się do wdzięczności. Bo król ten był przez swoją gwałtowność i krewkość niemiły nawet tym, którym świadczył dobrodziejstwa. Tak na przykład kiedy wprowadzał na tron kijowski księcia Izasława, okazywał mu rozmyślnie lekceważenie i publicznie go zawstydził, pociągając go przed całym ludem kijowskim za brodę, żeby tylko w swej pysze okazać, że Izasław panuje tam z jego niejako łaski. Nie umiał sam nad sobą zapanować i był nadzwyczaj krewki, i tymi wadami narobił wielkiej biedy sobie i wszystkim, i całemu państwu polskiemu.

Najbardziej podobało mu się w Kijowie, bo tam mógł sobie na wszystko pozwolić. A był już Kijów wówczas sporym miastem, a bardzo bogatym, bez porównania bogatszym od wszystkich miast polskich; był bowiem po-

łożony na wielkim szlaku handlowym między Carogrodem a północnymi krajami, jako pierwsze miasto za stepami czarnomorskimi.

Zniknęli Pieczyngowie, ale przybyli na te stepy gorsi od tamtych Połowcy. I tę dzicz Rurykowicze przyzywali wzajemnie przeciw sobie, dawali im rozstrzygać swe spory, aż doszło do tego, że ci Połowcy stali się zwierzchnikami Rurykowiczów z Rusi południowej. Nie byłoby do tego doszło, gdyby się było utrzymało polskie zwierzchnictwo nad Kijowem, gdyby Bolesław Śmiały sam nie był zepsuł własnego dzieła.

Niebezpieczne usposobienie tego króla popsuło się jeszcze bardziej w Kijowie (gdzie bawił dwa razy). Tam nie potrzebował się niczym krępować, zaspokajał każdą zachciankę, a za jego przykładem i jego drużynnicy polscy prowadzili życie hulaszcze. Tam nikt nie wystąpił z naganą. Cerkiew przywykła ulegać bezwzględnie każdej władzy świeckiej, a właśnie na te czasy, od r. 1054 przypada stała już schizma bizantyńska. Pobyt w Kijowie zachęcał króla i jego żołnierzy do pewnego lekceważenia duchowieństwa, uległego po bizantyńsku. Król skłonny do samowładztwa, próbował potem i w Polsce postępować z Kościołem po bizantyńsku.

Podczas wojen religijnych w Niemczech stał Bolesław Śmiały przeciw Henrykowi — podczas gdy Wratysław czeski Henryka właśnie popierał. Kiedy Sasi urządzali powstanie przeciw królowi niemieckiemu, otrzymali posiłki z Polski. Należał więc Bolesław Śmiały do obozu papieskiego w polityce europejskiej.

A jednak ten sam król miał wywołać zatarg z Kościołem! Nie o reformy kościelne poszło, bo tym się król nie sprzeciwiał, a zresztą w Polsce rzadko kiedy zdarzyło się jakie nadużycie w Kościele. Szło o przesilenie w polskim ustroju społecznym, o sprawy czysto polskie.

Kościół utrzymywał się z przywróconej dziesięciny grodowej. Pamiętano, jak ten system doprowadził do katastrofy po śmierci Mieszka II, i Kościół musiał wreszcie dążyć do niezawisłości materialnej, żeby nie był zależny od monarszej łaski. Trzeba było posiadać własny majątek

kościelny, bo niezawisłość materialna jest podstawą wszelkiej niezawisłości. Skądżeż zaś mogł Kościół otrzymać własność ziemską, jeżeli nie z darów, z zapisów? To zaś było niemożliwe wobec polskiego prawa rodowego.

Prawo rodowe było z początku wszędzie, ale w zachodniej Europie zdążono już zmienić je odpowiednio, a Kościół polski popierał te postępowe prądy europejskie. Ustrój rodowy powstawał z tego, iż niezmierne trudności pierwotnej walki o byt wymagały, żeby dzieci i wnuki nie rozchodziły się, lecz żeby zostawały na gromadnym gospodarstwie rodowym. Takie rodziny, którym nie poszczęściło się rozrodzić w liczny ród, wyginęły w nędzy i głodzie. Dorobek kilku pokoleń musiał gromadzić się w jednym miejscu. I w ten sposób wytwarzały się zrzeszenia rodzin, wywodzących się od wspólnego przodka i pozostających pod jego władzą. Po śmierci założyciela rodu przechodziła własność na jego synów, którzy pozostawali dalej na miejscu wraz z całym swym potomstwem. Oni tylko byli właścicielami i tworzyli spółkę. Nie można było posiadać własności inaczej, jak tylko odziedziczoną po ojcu; a zatem za życia ojca nie miało się niczego na własność. Ale w miarę jak wymierali synowie założyciela rodu, wchodzili na ich miejsce wnukowie, stający się właścicielami, bo na nich przyszła kolej. Toteż na spółkę rodową mogło się składać nawet kilkanaście działów. Dla porządku uznawano władzę najstarszego z najstarszej gałęzi rodu; ten był starostą rodowym. Zdarzało się, że wspólnicy rodowi, tj. głowy zrzeszonych rodzin, przyznawali sobie wzajemnie prawo używalności swego mienia, a czasem przyznawano używalność pewnej części jednemu tylko członkowi rodu. Rozmaicie się urządzali, jak chcieli, jak uważali, że dogodniej. Żadna władza państwowa nie mieszała się do ustroju rodowego.

Wszystkie sposoby urządzeń rodowych miały atoli tyle wspólnego, że gruntów nie można było ni sprzedawać, ni kupować, ani też podarować komuś. Nie znano też wcale testamentu; Kościół zaś wprowadzał go wszędzie.

Ustrój rodowy obowiązuje obecnie za dni naszych w $^4/_5$ powierzchni ziemi: całe Chiny, całe Indie i wszyst-

kie ludy tak zwane „pierwotne“. Większość ludzkości nie wyzwoliła się nigdy z tego ustroju. Może on być dobry, nawet bardzo dobry, tylko do pewnego czasu; potem jednak wymaga dalszy rozwój, żeby każda rodzina zwolniona była od więzów rodowych. Nazywa się to „emancypacją rodziny“. Gdzie do tego dojdzie, tam musi się też uznać pełnoletność syna z pewnym wiekiem i takiemu synowi wolno mieć własność na siebie, choćby żyli jeszcze ojciec i dziadek. Oczywiście przejść do takich nowych praw można było dopiero natenczas, gdy walka o byt była już łatwiejsza i gdy można się było już ruszać po kraju z większym bezpieczeństwem. A skoro ktoś nie gospodarował już w rodzie i rodu do niczego nie potrzebował, mógł tedy własność swą sprzedać lub podarować, mógł zrobić z niej zapis testamentowy.

Stanowi to przewrót w prawie majątkowym i w ogóle taką zmianę stosunków, iż powstaje przesilenie społeczne. W takich czasach społeczeństwa dzielą się na dwa obozy, według tego, czy kto jest przyjacielem tych nowości, czy nieprzyjacielem.

Walka o emancypację rodziny łączyła się z zabiegami Kościoła o uznanie prawa kanonicznego. Chodziło o to, żeby król przyznał Kościołowi prawo do posiadania własności ziemskiej, która by nie mogła być oczywiście zależna od niczyjego prawa rodowego. Popierał więc Kościół emancypację rodziny.

Ale król Bolesław Śmiały był przeciwnikiem nowych prądów. Nie chciał ani prawa kanonicznego, ani emancypacji rodziny. Wymagał, żeby utrzymać w całej mocy stare prawo rodowe i nie wprowadzać żadnych nowości. Królowi chodziło też o to, żeby nie dopuścić Kościoła do samodzielności, żeby pozostał zależny od jego łaski i niełaski, zawisłym będąc od udzielania dziesięciny, której król mógł był dać lub nie dać. Z całą swą krewkością zabrał się król do tępienia zwolenników nowego rozwoju społecznego, a w opozycji upatrywał zdradę popełnioną wobec siebie.

Tak stały sprawy, gdy w diecezji krakowskiej, a więc w sam raz pod bokiem króla, zaszedł wypadek zapisu

testamentowego i kupna dóbr ziemskich na rzecz Kościoła. Biskupem był Stanisław, syn Wielisława i Bogny ze Szczepanowa (obecnie diecezji tarnowskiej), skąd nazwisko Szczepanowskich. Zapewne protoplasta rodu, który tam osiadł i ród założył, nazywał się Szczepan. Ten Stanisław tedy oddany na nauki do szkoły katedralnej w Krakowie, zwrócił na siebie uwagę ówczesnego biskupa (Suły), który po wyświęceniu zatrzymał go przy sobie i na swego następcę kierował.

Nowy biskup nabył dla diecezji posiadłość Piotrowin (w powiecie puławskim, nieco na południe od Solca, lecz na przeciwnym brzegu Wisły), zapłacił za nią, a nabytek kazał sobie upewnić nadto testamentem, sporządzonym zawczasu przez bezdzietnego właściciela. Piotrowin należał wyłącznie tylko do samego Piotra (od jego imienia nazwa osiedla), bo on dopiero je założył.

Po śmierci Piotra nastąpiło starcie starego i nowego porządku. Biskup stanął twardo przy swoim prawie, ale również bezwzględnie przeciwko temu król. Nie trudno zresztą było namówić stryjców rodowych, żeby zażądali przyłączenia Piotrowina do ich majątku rodowego. Jeżeli się biskup temu podda, ustanowiony będzie przykład na wszystkie inne wypadki tego rodzaju i nabywanie majątku przez Kościół stanie się niemożliwością.

Stosunki pomiędzy Wawelem, siedzibą królewską w Krakowie, a pobliską drugą górką nad Wisłą, zwaną Skałką, siedzibą biskupią, były od początku stale naprężone. Bolesław bowiem chociaż niejedną posiadał zaletę, miał tę wadę, że był zaciętym nieprzyjacielem szóstego przykazania. Narobił wiele zgorszenia publicznego, a wreszcie kazał zbirom swoim porwać jawnie od męża niewiastę, która niczym pozyskać się nie dała i trzymał ją przy sobie. Biskup upominał króla wielokrotnie, lecz na próżno. Gniew królewski wzbierał od dawna, a sprawa o Piotrowin była kroplą, przelewającą dzban.

Król kazał zwrócić Piotrowin stryjcom Piotra, chociaż nieboszczyk nie miał już z nimi nic wspólnego. Biskup upominał króla kilka razy bezskutecznie; co gorsza, pomawiano biskupa o bunt. Aż wreszcie biskup użył ar-

gumentu ostatecznego. Według prawa kanonicznego za publicznie dawane zgorszenia i grabież dobra kościelnego można rzucić klątwę. Klątwą więc obarczył biskup króla.

Działo się to w sam raz w dwa lata po „Kanossie"! Bolesław Śmiały pozwał natenczas biskupa przed swój sąd, a gdy się biskup nie stawił, bo mu tego zabraniało prawo kanoniczne, król tym bardziej podniecony, skazał biskupa na śmierć przez rozsiekanie, ćwiartowanie (co pochodziło z prawa bizantyńskiego)! Gdy nikt nie chciał wykonać tego rozkazu, król wpadł do kościoła biskupiego na Skałce w Krakowie, w towarzystwie trzech dworzan ryzykujących klątwę i kazał biskupa wywlec od ołtarza i ręką własną mieczem go przebił; po czym wywleczone na dziedziniec ciało kazał ćwiartować. Stało się to dnia 11 kwietnia 1079 r.

Legenda dodaje, że biskup wskrzesił Piotrowina, żeby świadczył przed królem i że posiekanego ciała strzegły orły. To były widoczne cudy.

Mylił się Bolesław mniemając, że zakończył sprawę. Teraz klątwa poczęła działać tym mocniej. Unikano go coraz bardziej, aż po dwóch latach widział się zupełnie przez wszystkich opuszczonym. Tuszył, że na Węgrzech znajdzie pomoc i tam się udał, lecz zawiódł się. Zniknął zupełnie z widowni dziejowej. Bardzo jest prawdopodobnym podanie, jako ruszył w samotną pokutną pielgrzymkę, aż nieznany zatrzymał się w benedyktyńskim klasztorze w Ossiaku u Słowieńców w Karyntii, gdzie niepoznany służył aż do śmierci za braciszka — i tam jest pochowany.

Tymczasem zaś w Polsce budziła się już cześć dla św. Stanisława. W dziesięć lat po jego męczeńskiej śmierci zarządził biskup Lambert (Francuz), żeby ciało świętego przeniesione zostało do nowego kościoła katedralnego na Wawelu (pod wezwaniem świętego Wacława).

Obydwaj więc, i zabity i zabójca, i król i biskup, padli ofiarą przesilenia społecznego, jakie w Polsce nastało. Każdy z nich dwóch stał na czele innego kierunku społecznego. Ale zachodziło jeszcze coś więcej. Na tle tego samego przesilenia król padł ofiarą własnego zaślepienia i swoich ciężkich błędów w prowadzeniu życia; a biskup padł ofiarą obowiązku, bo karcił niemoralność

i zgorszenie, a bronił prawa kościelnego; broniąc zaś emancypacji rodziny, pracował około rozwo u społeczeństwa, torował drogę lepszej przyszłości. Gdyby następnie zwyciężyły były poglądy Bolesława Śmiałego, byliby przodkowie nasi popadli w zastój, niezdatni do postępu.

Walka dwóch poglądów na stosunki społeczne miała jeszcze potrwać długo, lecz w końcu wziął górę kierunek wskazany przez świętego biskupa krakowskiego. Dziedzictwem po świętym Stanisławie stał się cały dalszy rozwój społeczny w Polsce. Obeszło się bez gwałtownego przewrotu. Zaden z następców Bolesława Śmiałego ani nie nakazywał, ani nie zakazywał emancypacji rodziny. Pozostawiono to własnej woli i dobrowolnym umowom stron zainteresowanych. Ale prawo testamentowe zwyciężyło.

O czym ma nas pouczać żywot i męczeństwo św. Stanisława biskupa?

Czytelnik spostrzegł już, jak rozmaitych świętych wysuwa historia polska. Wspólne są wszystkim cnoty i praktyki religijne; to się rozumie samo przez się, bo nie może być świętości bez świątobliwości. Poza tym dzielą się święci na takich, którzy mogli sobie byli urządzić życie w oddaleniu od świata i na takich, którzy właśnie w wirze światowym dawali przykład świątobliwości, a obok tego brali udział czynny w życiu publicznym. Jednako świętymi są ci i tamci. Lecz miejmyż na uwadze, że im bliżej naszych czasów, tym trudniej być pustelnikiem. A dziś, gdy osady ludzkie łączą się pasmem nieprzerwanym, gdy resztki lasów poprzerzynane są kolejami żelaznymi, gdy w górach wiją się autostrady i stoją hotele, gdzie dziś miejsce na św. Jędrzeja Żurawka? Ale zawsze miejsca dosyć na takich świętych, jak św. Wojciech, lub św. Stanisław biskup! Im zaś bardziej psują się stosunki ludzkie, im cięższe czekają nas przesilenia, tym gorętsze zanośmy modły do tych wielkich patronów naszej Ojczyzny, którzy umieli chadzać w wirach życia publicznego i nie tylko nie ponosili żadnej szkody na duszy, ale robili dużo dobrego, tyle dobrego, że i nam jeszcze coś w spadku się dostanie, jeżeli będziemy tego spadku godni. A wołają tacy święci na nas: Idź w życie publiczne, bierz w nim śmiało udział, byle po katolicku!

ROZMAITOŚCI.

J. R. R.

Czy Napoleon miał sobowtóra?

(*Legendy o śmierci Napoleona znów wypływają w prasie włoskiej*).

2 maja 1821 zmarł Napoleon na wyspie św. Heleny. Nikt nie odważy się ten historyczny pewnik zakwestionować. A jednak były czasy, w których pogłoski nie chciały się uciszyć, iż ten, który umarł na wyspie św. Heleny, nie był Napoleonem. Szereg niejasnych, często tajemniczych i wprost nie do uwierzenia fantastycznych ułomków, które jednak zdawały się być ze sobą w pewnej łączności, dał właśnie początek tym pogłoskom. Pisma włoskie zajmują się obecnie tą sprawą i to jest nawet ciekawe, widzieć ułomki te poszeregowane w łańcuch o wszystkich ogniwach.

W Veronie znikł optyk.

W styczniu 1816 otworzył jakiś cudzoziemiec w Veronie na Via Langa, dzisiejszej Via del Congresso, sklep z optycznymi artykułami. Był to człowiek blisko pięćdziesiątki, małej, krępej postaci, który był uderzająco podobny do Napoleona. Sąsiedzi nazywali go też żartobliwie Bonapartym. Wówczas to człowiek ten unosił się i twardo odpowiadał: — Nazywam się Silvio Landri!

W czerwcu 1823 przyszedł ów cudzoziemiec do zaprzyjaźnionego z nim kupca i rzekł: — Odjeżdżam w okolice Wiednia. Może nie zobaczy mnie pan więcej. Kiedy po trzech miesiącach nie będę z powrotem lub pan nie otrzyma żadnej wiadomości, to zechce pan przesłać to ważne pismo królowi Francji. Za starania poniesione z tą sprawą sowicie pana wynagrodzi. Po tych słowach wręczył kupcowi troskliwie opieczętowany list i odjechał. Minęły trzy miesiące i ponieważ kupiec nie miał żadnej wieści od Landri'ego, przesłał list Ludwikowi XVIII.

W kilka miesięcy później zjawił się w Veronie wysoko postawiony urzędnik policji i wręczył kupcowi sumę 100.000 franków pod tym wyraźnym warunkiem, nikomu o całej tej sprawie

nic nie mówić. Dopiero na łożu śmierci zwierzył się Verończyk swojemu synowi z tajemnicy: — Sądzę, iż rzekomy Landri był cesarzem Francuzów.

Człowiek, którego zastrzelono w Schönbrunn.

Chociaż historia powyższa jest już dość tajemnicza, podkreślona zostaje jeszcze przez tragedię, która miała miejsce w nocy 5 września 1823 w parku zamku Schönbrunn. O tym pisze w swym dzienniku pod datą 5 września zarządca zamku Karol Fryderyk Arnstein co następuje: — Wczoraj w nocy jakiś nieznany człowiek próbował wedrzeć się do parku zamkowego; chciał przedostać się przez mur. Warta dała ognia. Śmiertelnie ugodzony runął na ziemię. Charcząc, wyrzekł te słowa: — Mój syn... książę... król. Ponieważ zmarły nie posiadał żadnych papierów, nie można było ustalić jego tożsamości. Wydawał się jednak być Francuzem wysokiej rangi, skoro rząd jego z wielkim pośpiechem zażądał wydania jego zwłok.

Należy zwrócić uwagę na datę: początek września 1823. Akurat trzy miesiące po zniknięciu Silvio Landri'ego z Verony, który powiedział, iż wyjeżdża w okolicę Wiednia. A więc Napoleon, który swego syna, księcia Reichstadtu, poszukiwał! Więcej niż w dwa lata po jego zgonie na wyspie św. Heleny. Mimowoli trzeba się schwycić za głowę.

Franciszek Robeaud — „doublé“ Napoleona.

Otóż i w łańcuchu jeden przypadek, który rzeczom nie do uwierzenia nadaje cechy prawdy. Napoleon musiał posiadać sobowtóra. I miał go. Był nim Franciszek Robeaud, pochodził z Baleicourt nad Mozą, był żołnierzem 3 pułku woltyżerów i kilka lat młodszy od Napoleona. To jego uderzające podobieństwo do tego ostatniego sprowadziło na niego w całym pułku nazwę „małego kaprala”. Robeaud został w roku 1808 na zarządzenie ministra policji Fouché zwolniony z pułku i przewieziony w służbę dla osobistych potrzeb cesarza, jako jego „doublé”, określając to dzisiejszym terminem: sobowtór. I on to miał zastępować Napoleona aż do jego upadku w różnych okolicznościach. Nic też dziwnego, skoro się ostatecznie stwierdza, iż on to za Napoleona poszedł na wyspę św. Heleny i tam wziął na siebie martyrium swego pana.

W roku 1816 zaświadczył na żądanie policji paryskiej burmistrz Baleicourt, miasta rodzinnego sobowtóra Napoleona, iż Robeaud znikł od roku bez śladu. A w spisie ludności m. Baleicourt znaleźć można późniejszy dopisek przy nazwisku Robeaud: „Zmarł na wyspie św. Heleny 5 maja 1821“.

To tak osobliwe i do pewnego stopnia groteskowe dążenie tych poszczególnych faktów do pewnej całości dało początek legend o Napoleonowej śmierci, które przed wiekiem tak żywo fascynowały umysły. Żaden, rzecz jasna, trzeźwo myślący człowiek nawet przez chwilę nie będzie brał tych fantastycznych możliwości na serio. Lecz w szeregu nieprawdopodobnych historii, którymi przecież przesiąknięta jest tu i ówdzie rzeczywista historia, legenda o sobowtórze Napoleona pozostanie napewno jednym z najciekawszych i pamiętnych rozdziałów.

Zona Gale:

Poszukuje się rodziców.

(W konkursie „New York Times“ za najlepszy autentyczny reportaż niniejsze opowiadanie otrzymało pierwszą nagrodę.)

Pewnego dnia wręczył mi redaktor wielkiego dziennika nowojorskiego wyciąg z ogłoszenia, którego treść znaleźć można w ciągu mego opowiadania, i rzekł do mnie. — Zobaczno pan, co się tam dzieje.

Co znalazłem, przedstawiało się następująco: Bill liczył trzydzieści lat, gdy mu żona umarła, a mała Minna cztery. Stolarnia Billa mieściła się na podwórzu domu,. w którym mieszkał; myślał, iż zapracuje tu na utrzymanie Minny i swoje. Przez cały dzień trudził się przy swym warsztacie, ona bawiła się na podwórzu, a kiedy na kilka godzin musiał się oddalić, powierzył ją opiece sąsiadki. Bill potrafił coś niecoś ugotować, kawę i mięso, ziemniaki przygrzać i grubą fasolę; sardynki i corned-beef konserwy były bardzo treściwe. Gdy mu sąsiadka powiedziała, iż to nie dla czterolatki, prosił ją, by go nauczyła gotować kaszę i warzywa; i chociaż wciąż potrawy te przypalił, gotował je jednak codziennie. Mył wszystko, z wyjątkiem kątów w pokoju i ścierał kurze. Naprawiał bieliznę i łatał sukienki Minny. Znalazł gdzieś dla niej kotka, by nie

była sama. Pewnej niedzieli zaprowadził ją do kościoła; siedział z pochyloną głową i próbował rozumieć. Minnie dał cukierek miętowy, gdy groziła chrapaniem. Pewnego dnia przestał pracować i zaprowadził ją do ochronki. — Jej matka by to samo zrobiła, objaśniał.

Gdy Minna była dość stara, by chodzić do ogródków dziecięcych, Bill zaprowadził ją tam i sprowadzał z powrotem. Raz ubrał się w najlepsze ubranie i poszedł po informacje do szkoły. — Sądzę, iż matka jej uczyniłaby to samo, rzekł nieśmiało do nauczycielki. Lecz nie mógł jakoś rozpocząć z kolorowym papierem, rysunkami i zabawkami i nie poszedł już więcej. — Są rzeczy, w których nie mogę jej być pomocny, pomyślał.

Minna liczyła sześć lat, gdy Bill zachorował. W pewne popołudnie, w maju, poszedł do lekarza. Gdy wrócił, długo siedział bez ruchu w swym warsztacie. Słońce wpadało oknem szeroką strugą do wnętrza. Nie mógł już więcej być zdrowym. Do życia pozostało mu może sześć miesięcy... Mógł słyszeć, jak Minna na dworze śpiewa swej lalce do snu.

Gdy tego wieczora przyszła, by go na dobranoc pocałować, znalazł wymówkę, iż teraz nie może go więcej całować. Trzymał ją na długość ramion przed siebie, spoglądał w jej oczy i rzekł: — Minna jest teraz dorosłą dziewczynką. Ona nie chce, by ją papa pocałował! Lecz wargi wydęły się i smutna odeszła. Poszedł przeto na drugi dzień do innego lekarza, by uzyskać pewność. Drugi lekarz dał mu pewność.

Zastanawiał się, co począć. Miał siostrę w sąsiednim mieście, lecz była kobietą kłótliwą. A mała Minna garnęła się do rzeczy, których sam nie potrafił, do baśni i do piosenek. Chętnie by poznał takiego, który by ją zrozumiał. A pozostało mu tylko sześć miesięcy.

Wówczas powiedziała mu bez ogródek sąsiadka, iż dłużej nie może zatrzymać dziecka przy sobie, skoro ma taki kaszel; a on wiedział, iż przeznaczenie już się nad nim zacieśniało. Przez całą noc gubił się w myślach. A potem wystąpił w wielkim dzienniku:

„Mężczyzna, mający tylko kilka miesięcy do życia, pragnąłby chętnie oddać życzliwym ludziom przez adoptację swą

małą dziewczynkę; sześć lat; modrooka; włos kędziory; referencje pożądane".

Przyjechali w ogromnej limuzynie tak, jak wierzył, iż przyjadą. Strój ich był taki, jak przypuszczał. Mieli ze sobą małą dziewczynkę, która wołała: — Czy to moja siostra? Na co elegancka dama odparła: — Teraz jednak zachowuj się tak, jak ci mama powiedziała i nie mieszaj się do takich rzeczy, w przeciwnym razie zostawimy cię tutaj i zabierzemy ze sobą tę małą śliczną dziewczynkę.

Wówczas przypatrzył się Bill tej damie i odparł twardo, iż ma teraz inne plany w stosunku do swej małej. Widział uciekający wielki, niebieski wóz. — Na litość Boską! rzekła sąsiadka, gdy się o tym dowiedziała. Zniszczyłeś pan możność wydobycia się dziecka z tego stanu. Pan nie ma prawa do tego — mężczyzna w takim położeniu. A gdy inne samochody przyjeżdżały, a on im pozwalał odjechać z niczym, powiedziała owa kobieta do swego męża, iż należałoby po prostu zgłosić Billa do władz.

Mężczyzna i kobieta, którzy pewnego dnia przestąpili próg warsztatu Billa, nosili jeszcze żałobę po swym jedynym dziecku. Kobieta nie była smutna tylko zmartwiona, a mężczyzna, do którego odnosiła się pełna miłości, był stolarzem. Z wybuchem nadziei i troski rzekł do nich Bill: — Jesteście tymi prawdziwymi! Gdy postawili pytanie: — Jak długo mamy jeszcze na nią czekać? odrzekł Bill: — Jeszcze dzień jeden.

Dzień ten przepędził w warsztacie. Było lato i Minna bawiła się na podwórzu. Mógł słyszeć słowa jej piosenki. Ugotował jej kolację i spoglądał, jak jadła. Gdy ją złożył do łóżka, stanął w zmroku i wsłuchiwał się w jej oddech. — Jestem dziś wieczorem małą dziewczynką — pocałuj mnie; lecz on zaprzeczył głową. — Dorosłą dziewczynką — dorosłą dziewczynką, odrzekł.

Gdy wrócili następnego dnia, by zabrać Minnę, była już gotowa, a jej mała wyprawa była sporządzona, wyprana i połatana; także lalkę jej naprawił. — Minna nigdy jeszcze nie była w odwiedziny, rzekł zadowolony do niej. A gdy przybiegła do niego: — Dorosła dziewczynka! Dorosła dziewczynka! przypomniał jej.

Stał i widział mężczyznę i kobietę schodzących ulicą Minna w środku. Przynieśli jej małą, niebieską parasolkę przeciwsłoneczną w wypadku, gdyby rozstanie miało być bolesne. Parasolką tą chwiała Minna nad głową i tak ją wzięto w rozmowę, że, patrząc na niebieski jedwab, zapomniała się obejrzeć i pożegnać go ręką.

Z niem. oprac. J. R. R.

Ludzie w przeczuciu śmierci.

Tysiące przypadków zbiega się w naszym codziennym życiu. Pospiesznie przechodzimy obok nich, nie zważając na ich wagę. Niekiedy tylko, gdy cień przeznaczenia widoczny się staje na nic prawie nie znaczącym przypadku, jak to miało miejsce nie tak dawno w ostatnim filmie młodej Jean Harlow, w którym śmierć swą grać miała, — wówczas to nadsłuchujemy, wówczas to fantazja nasza doszukuje się jakiegoś związku... W nabożnej obawie i w cichym drżeniu skłaniamy się wtedy przed tym Tajemniczym i Nienazwanym, które bezlitośnie wdarło się w życie ludzkie i przed nakazem którego nikt nie śmie oponować.

Ostatni film Jean Harlow.

Jak przykry dysonans przederła się do nas wiadomość o śmierci tak bardzo w Ameryce kochanej młodej artystki Jean Harlow, która wyrwana została — z wielobarwnego i otoczonego aureolą sławy życia.

Jean Harlow grała w niezliczonych filmach i scenach. Lecz tylko w jednym, w jej ostatnim nieskończonym filmie „Saratoga” — tkwi dla nas wstecz patrzących wróżebne wspomnienie: ciężko chora leży jako bohaterka swego filmu na łożu, a nad nią pochyla się stroskany lekarz... Dziś już stapia się w naszej wyobraźni postać bohaterki z dokonaną tragiczną i nagłą jej śmiercią.

„Dama Kameliowa“ umiera.

Myśl ta odświeża w nas dawno już zapomniany obraz: Paryż. Dumas czyta przed artystami Théatre historique swą „Damę Kameliową”. Głośny szloch nagle mu przerywa.

— Co pani się stało, Matyldo Guizolphe?

Młoda artystka wyciera łzy: — O, monsieur Dumas — myślę o losach pańskiej biednej Małgorzaty Gautrer (Dama Kameliowa)... One będą i moim przeznaczeniem! Miałam sposobność ją poznać, wzór pańskiej „Damy Kameliowej..." i właśnie nabyłam jej łóżko, na którym powaliły ją suchoty. I ja umrę w tym łóżku na tę samą chorobę... a jednak, raz jeden chciałabym przedstawić na scenie jej losy... Głos jej ginie w szlochu...

Cztery lata później:

Matylda Guizolphe gra „Damę Kameliową". Jej partner rzuca się przed jej łóżkiem na kolana. Obok służba przejęta bardzo chorobą swej pani. A jednak — to tylko gra.

A teraz życie:

Dekoracja jest ta sama. Łóżko — lecz tutaj łóżko prawdziwej „Damy Kameliowej". Ze śmiercią walczy suchotniczka: Matylda Guizolphe! Jej koleżanki i koledzy stoją obok posłania. I cicho zjawia się im przed oczyma analogiczny obraz do tego, którego widzami są obecnie...

Kontury zacierają się... raz jeszcze umiera „Dama Kameliowa".

Ostatni lot Elżbiety Mackay.

W głębokim śnie leży mała miejscowość Grantham w pobliżu amerykańskiego lotniska Cranwell. Godzina 5 rano.

Wtem odzywa się dzwonek w mieszkaniu pastora. — Ktoś pragnie rozmawiać z waszą wysokością! Proboszcz przeciera zaspane oczy. Gdy staje na progu, nie może zdać sobie sprawy, czy mężczyzna czy też kobieta stoi przed nim w mgłach poranku.

Szczupła postać — ubiór pilota — skórzana peleryna i walizka w ręce.

— Jestem Elżbieta Mackay, wasza wysokość. Prosić chciałabym o błogosławieństwo przed moją podróżą. Proszę mi wybaczyć, iż przyszłam w nieodpowiedniej porze... lecz za godzinę wystartuje kapitan Hinchliffe i ja do lotu przez ocean... Duchowny z podziwem patrzy na prostą, młodą postać, z której tryska siła i wielka odwaga. A jednak: w czasie błogosławieństwa zjawia się przed nim niepokojące przeczucie.

Klęcząca przed nim kobieta przedstawia mu się nagle jako męczennica w aureoli czystości. Chciałby ją powstrzymać, gdyż tak wyraźnie widzi oczyma duszy tragiczny przebieg jej lotu. Lecz czyż wolno mu, powodując się osobistym przeczuciem, odjąć kobiecie XX wieku wiarę w jej śmiałe zamiary? Kiedy wychodzi z zakrystii i spogląda za znikającą w wschodzie słońca młodą kobietę, wymawia te ciche i poważne słowa: „Też tylko męczennica idei!"

Izadora Duncan nie wierzy w przeczucia.

— Proszę panią — Izadoro — niech pani mi wierzy... Niech pani nie wsiądzie do tego wozu!... Dzisiaj nie — każdego innego dnia. Zrób to pani dla mnie!

Izadora Duncan śmieje się: — Od kiedyż to pani jest bojaźliwa? Z tej strony panią jeszcze nie poznałam... Jedź pani ze mną, skoro się pani obawia puścić mnie samą.

Przyjaciółka oponuje: — O nie, niech pani nie żartuje, mówię na serio... Skoro mnie pani nie usłucha, spotka panią nieszczęście. Mam przeczucie jakiegoś tragicznego wypadku!

Sprzedawca nowego wozu, który co dopiero nabyła sławna tancerka Izadora Duncan, stoi obok z niewyraźną miną... Co też to za komiczne idee mają nieraz kobiety — przelatuje mu przez głowę. Otwiera drzwiczki.

Duncan siedzi już w wozie: — Pani nie wybiera się ze mną? — Więc adieu!

Prawie bez szmeru bieży elegancka limuzyna przez ulice Nicei. Ciepłe powietrze szumi człowiekowi w uszach, włosy jej drgają w wietrze — końce szala płyną za nią na kształt długich jedwabnych chorągwi...

Promenade des Anglais. Uroczyściej wygląda dzisiaj w oczach tancerki. Przyjaciółka ze swymi przeczuciami znikła jej z pamięci...

Nagle — ścisk za gardło. Szal, na litość Boską szal! Tylne koło złowiło jego trzepocący się koniec w swe szalone wiry...

Ręka sięga pod krtań. Szofer siedzi obok i nie wie, co się tu dzieje. Nie widzi nic prócz drogi przed sobą...

Żaden krzyk nie wydobywa się z ściskanego gardła. Straszna obawa śmierci... I teraz wszystko postępuje szybko naprzód: z połamanymi kręgami szyi zostaje ciało tancerki wyrzucone z wozu...

Izadora Duncan nie żyje!

Gdzieś w pobliżu drgać się zdaje w powietrzu zaklinający głos: — Proszę panią — niech pani nie wsiada do tego wozu... właśnie dzisiaj!

Wielki Devrieut gra!

...czy on to zagra?

— Nie ma obawy — to przecież gra Ludwik Devrieut! Wciąż to samo: siedzi obojętny w garderobie, trzyma bezwładnie ręce i nogi i jak lalka pozwala się ubierać. Potem wypychają pijanego na scenę... a potem... przecież dobrze o tym wiecie, ma się wrażenie, że diabeł wstąpił w niego, tak cudownie gra!

Wchodzi... Artyści, stojący przed garderobą, usuwają się z drogi. Ciężko, zataczając się na nogach, wchodzi Ludwik Devrieut, największy może artysta, którego zna historia niemieckiego teatru, na scenę. A potem zaczyna grać swoim sposobem cudownie łącząc doskonałość tragizmu i komizmu, że publiczność płacze i śmieje się do rozpuku, krzyczy z uciechy i szlocha współczuciem. Tak, to tylko on grać tak potrafi, on Ludwik Devrieut.

A przecież każdemu wiadomo, iż artysta takiej miary jest alkoholikiem. Natura, która nie poskąpiła mu bogactwa w dziedzinie artyzmu, nie dała mu dość siły, by mógł się przeciwstawić tej występnej pokusie, której tak często się poddaje. Ciało jego, w które duch artysty w noc każdą tchnie życie najróżnorodniejszych postaci, jest trawione przez niemiłosierną namiętność. Oczy jego żarzą się w wiecznej gorączce. On wie, przeczuwa, iż śmierć tuż, niedaleko na niego już czeka...

1 grudnia 1832.

Ludwik Devrieut zagrał swą rolę jak nigdy przedtem. W garderobie co dopiero polecił odświeżyć szminkę i nałożyć nowy kostium. Wciąż jeszcze wyje i wykrzykuje tłum na widowni:

— Devrieut — Devrieut!!

Raz jeszcze wychodzi przed kurtynę. Otulony w swój płaszcz, twarz wychudzona o niespokojnych oczach, blada i śmiercią znaczona.

Okrzyki giną.

Te kilka słów drżących, którymi dziękuje swym wielbicielom, ciężko przechodzi mu przez wargi. Zdaje mu się, iż obok niego stoi ktoś, jakby cień czyjś olbrzymi pada na niego, nawet reflektory zaciemniając...

Potem wraca z powrotem za kulisy.

Ciało drży, jakby mrozem opanowane, łzy stoją mu w oczach: — Skończyło się, szepcą zimne wargi.

Nikt z kolegów nie zdobywa się na słowo. Nad wszystkimi unosi się waga tego przerażającego przeczucia... W milczeniu opuszcza się teatr.

W trzydzieści dni później Ludwik Devrieut już nie żyje!

Taryfa pocztowa.

I. Przesyłki listowe.

A. Obrót wewnętrzny (łącznie z obrotem wzajemnym z polskim urz. poczt. Gdańsk 1 i z w. m. Gdańskiem).

LISTY:

do	20 gramów	miejscowe	15 gr	—	zamiejscowe	25 gr
20 „	250 „	„	30 gr	—	„	50 gr
250 „	500 „	„	40 gr	—	„	75 gr
500 „	1000 „	„	55 gr	—	„	100 gr
1000 „	2000 „	„	75 gr	—	„	175 gr

Listy miejscowe, nadawane w stanie otwartym, zawierające wezwania lub nakazy płatnicze do 20 g — 10 gr, do 250 g — 20 gr, najwyższa dopuszczalna waga — 250 g.

Wymiary listów nie mogą przekraczać w sumie tj. długość, szerokość i wysokość razem 90 cm, największy wymiar 60 cm, lub — jeśli list ma formę rulonu — długość i podwójna średnica razem 100 cm, największy wymiar 80 cm.

Kartki pocztowe: pojedyncze miejscowe 10 gr, zamiejscowe 15 gr; z opłaconą odpowiedzią miejscowe 20 gr, zamiejscowe 30 gr. Kartki miejscowe zawierające wyłącznie zawiadomienie o płatności weksli, nieumotywowane wezwania do zapłaty — 5 gr.

Wymiary kartek nie mogą przekraczać: największe 10,5×15 cm, najmniejsze 7×10 cm.

DRUKI:

Wysyłane pojedynczo: do 20 gramów — 5 gr, ponad 20 do 50 g — 10 gr, ponad 50 do 100 g — 15 gr, ponad 100 do 250 g — 25 gr, ponad 250 do 500 g — 50 gr, ponad 500 do 1000 g — 60 gr, ponad 1000 do 2000 (tylko pojedynczo wysyłane tomy) — 70 gr.

Wysyłane jednocześnie w ilości: ponad 500 do 1000 sztuk — 70%, ponad 1000 do 5000 sztuk — 65%, ponad 5000 do 10.000 sztuk — 60%, ponad 10.000 sztuk — 50% opłat za druki odpowiedniej wagi.

Bezadresowe w ilości: 1000 do 5000 sztuk (za każdy tysiąc) — 8 zł, ponad 5000 do 10.000 sztuk — 7.50 zł, ponad 10.000 do 50.000 sztuk — 7 zł, ponad 50.000 do 100.000 sztuk — 6.50 zł, ponad 100.000 sztuk — 6 zł.

Ulotki w ilości: 1000 do 5000 sztuk — 7.—zł, ponad 5000 do 10.000 sztuk — 6.50 zł, ponad 10.000 do 50.000 sztuk — 6.— zł, ponad 50.000 do 100.000 sztuk — 5.50 zł, ponad 100.000 sztuk — 5.— zł (za każdy tysiąc).

Druki dla ociemniałych: do 5 kg — 5 gr.

Papiery handlowe: do 100 gramów — 15 gr, ponad 100 do 250 g — 25 gr, ponad 250 do 500 g — 50 gr, ponad 500 do 1000 g — 60 gr.

Wymiary druków i papierów handl. jak dla listów.

Próbki towarów: do 100 gramów — 10 gr, ponad 100 do 250 g — 25 gr, ponad 250 do 500 g — 30 gr.

Wysyłane jednocześnie w ilości: ponad 100 do 500 sztuk — 70%, ponad 500 do 1000 sztuk — 65%, ponad 1000 sztuk — 60% opłat za próbki odpowiedniej wagi.

Wymiary próbek jak dla listów.

Przesyłki mieszane (druki, próbki towarów, papiery handl.) wysyłane pojedynczo: do 100 gramów — 15 gr, ponad 100 do 250 g — 25 gr, ponad 250 do 500 g — 50 gr, ponad 500 do 1000 g — 60 gr.

Wysyłane jednocześnie (tylko druki i próbki towarów) w ilości: ponad 100 do 500 sztuk — 70%, ponad 500 do 1000 sztuk — 65%, ponad 1000 sztuk — 60% opłat za przesyłki mieszane odpowiedniej wagi.

Opłaty za przesyłki listowe urzędowe (z opłatą przerzuconą na adresata) pobiera się według powyższej taryfy.

B. Obrót zagraniczny.
(Z wyjątkiem w. m. Gdańska).

Listy: do 20 gramów — 55 gr, za każde dalsze 20 gramów — 30 gr. Do Austrii, Czechosłowacji, Rumunii i Węgier: do 20 gramów — 45 gr, za każde dalsze 20 gramów 30 gr. Najwyższa dopuszczalna waga 2 kg.

Wymiary listów jak w obrocie wewnętrznym.

Kartki pocztowe: pojedyncze — 30 gr, z opłaconą odpowiedzią — 60 gr, do Austrii, Czechosłowacji, Rumunii i Węgier: pojedyncze — 25 gr, z opłaconą odpowiedzią — 50 gr.

Druki: za każde 50 gramów — 10 gr. Najwyższa dopuszczalna waga — 2 kg. Waga pojedynczo wysyłanych tomów może wynosić 3 kg.

Druki dla ociemniałych: za każde 1000 gramów — 5 gr. Najwyższa dopuszczalna waga 5 kg. Do Austrii, Czechosłowacji i Węgier do wagi 5 kg — 5 gr.

Papiery handlowe: do 250 gramów — 50 gr, za każde dalsze 50 g — 10 gr. Dopuszczalna waga 2 kg.

Próbki towarów: do 100 gr — 20 gr, za każde dalsze 50 g — 5 gr. Najwyższa dopuszczalna waga 500 gramów. Wymiary jak dla listów.

Przesyłki mieszane: (druki, próbki towarów, papiery handl.): do 100 gramów — 20 gr, za każde dalsze 50 g — 10 gr, jeśli przesyłka zawiera papiery handlowe, najmniej 50 gr. Najwyższa dopuszczalna waga 2 kg.

II. Poczta lotnicza.

A. Obrót wewnętrzny i z w. m. Gdańskiem.

Opłata dodatkowa, oprócz zwykłych taryfowych opłat pocztowych:

Kartki pocztowe pojedyncze i z opłaconą odpowiedzią — 5 gr.

Inne przesyłki listowe (listy, druki, papiery handl., próbki towarów, przesyłki mieszane): do 20 gramów — 5 gr, ponad 20 do 100 g — 10 gr, ponad 100 do 250 g — 20 gr, ponad 250 do 500 g — 30 gr, ponad 500 do 1000 g — 60 gr, za każde dalsze 500 g — 30 gr.

Paczki: za 1 kg lub jego część — 30 gr.

B. Obrót zagraniczny (z wyjątkiem w. m. Gdańska).

Opłata dodatkowa:

Kartki pocztowe pojedyncze i z opł. odpow.: do wszystkich krajów europejskich (z wyj. Z. S. R. R.) — 20 gr, do Z. S. R. R. część europ. za każde 10 g — 30 gr.

III. Listy wartościowe.

A. Obrót wewnętrzny (łącznie z obrotem wzajemnym z polskim urzędem pocztowym Gdańsk 1).

Za listy wartościowe pobiera się, oprócz opłaty jak za list polecony odpowiedniej wagi, należytość asekuracyjną: za każde 100 zł, przy listach nadawanych w stanie zamkniętym — 10 gr, w otwartym — 30 gr. Wartość podana nie może przekroczyć 10.000 zł, przy listach urzędowych — 100.000 zł.

W polskim urzędzie poczt. Gdańsk 1 pobiera się, oprócz opłaty jak za list polecony odpowiedniej wagi, należytość asekuracyjną: za każde 300 zł podanej wartości — 5 gr, najmniej jednak 10 gr. Wysokość podanej wartości j. w.

B. Obrót z w. m. Gdańskiem.

Za listy wartościowe pobiera się, oprócz opłaty jak za list polecony odpowiedniej wagi, należytość asekuracyjną: za każde 300 zł — 50 gr. Wartość do 10.000 zł.

C. Obrót zagraniczny.

Za listy wartościowe pobiera się: a) opłatę za list polecony odpowiedniej wagi, b) należytość asekuracyjną za każde 300 — 50 gr. Wartość podana nie może przekraczać 5.000 franków w złocie, lub ich równowartość w zł.

IV. Przekazy.

A. Obrót wewnętrzny (łącznie z obrotem wzajemnym z polskim urzędem pocztowym Gdańsk 1).

P r z e k a z y: do 20 zł — 20 gr, ponad 20 zł do 50 zł — 40 gr, ponad 50 do 100 zł — 60 gr, ponad 100 do 500 zł — 100 gr, ponad 500 do 1000 zł, — 150 gr, ponad 1000 do 2000 zł — 200 gr, ponad 2000 do 5000 zł — 300 gr.

P r z e k a z y t e l e g r a f i c z n e: opłata jak wyżej plus opłata za telegram przekazowy i koresp. osobistą, oraz należytość manipulacyjną za sporządzenie telegramu przekazowego — 20 gr, należytość za pospieszne doręczenie (przy przekazach adresowanych poste restante lub do miejscowości należącej do zamiejscowego okręgu doręczeń).

B. Obrót zagraniczny.

(Łącznie z obrotem z w. m. Gdańskiem).

Do krajów, z którymi wprowadzono obrót przekazowy, z wyjątkiem Kanady, Stanów Zjedn., W. Brytanii i krajów, z którymi obrót przekazowy odbywa się za pośrednictwem W. Brytanii: do 100 zł — 85 gr, za każde dalsze 100 zł lub ich część — 50 gr.

Do Kanady, Stanów Zjedn. A. P., W. Brytanii i krajów, z którymi obrót przekazowy odbywa się za pośrednictwem W. Brytanii: do 100 zł — 1 zł, za każde dalsze 100 zł lub ich część — 1 zł.

V. Paczki.

Obrót wewnętrzny (łącznie z obrotem wzajemnym z polskim urzędem pocztowym Gdańsk 1).

WAGA	Strefa. 1. do 100 km	2. od 101—300 km	3. od 301—600 km	4. ponad 600 km
Paczki prywatne i urzędowe.				
do 1 kg	0,50 zł	0,50 zł	0,60 zł	0,60 zł
1— 3 „	0,70 „	0,80 „	1,20 „	1,40 „
3— 5 „	0,90 „	1,30 „	1,80 „	2,30 „
5—10 „	1,30 „	2,30 „	3,00 „	3,50 „
10—15 „	1,70 „	3,00 „	4,50 „	5,00 „
15—20 „	2,00 „	3,80 „	5,80 „	7,00 „
Paczki żywnościowe.				
do 5 kg	0,50 zł	0,50 zł	1,00 zł	1,20 zł
5— 6 „	0,50 „	0,50 „	1,20 „	1,50 „
6— 7 „	0,50 „	0,70 „	1,30 „	1,70 „
7— 8 „	0,50 „	0,80 „	1,50 „	2,00 „
8— 9 „	0,60 „	0,90 „	1,60 „	2,30 „
9 –10 „	0,60 „	1,20 „	2,00 „	2,90 „
10—15 „	0,80 „	1,60 „	3,00 „	4,50 „
15—20 „	1,00 „	2,20 „	4,00 „	5,50 „
Paczki z książkami i wydawnictwami.				
do 1 kg	0,25 zł	0,25 zł	0,30 zł	0,30 zł
1— 3 „	0,35 „	0 40 „	0,60 „	0,70 „
3— 5 „	0,45 „	0,65 „	0,90 „	1,15 „
5—10 „	0,65 „	1,15 „	1,50 „	1,75 „
10—15 „	0,85 „	1,50 „	2,25 „	2,50 „
15—20 „	1,00 „	1,90 „	2,90 „	3,50 „

Paczki ochronne: opłata od wagi 50 procent wyższa.

Opłata od podanej wartości: za każde 100 zł lub ich część — 10 gr. Wartość podana przy paczkach prywatnych nie może przekraczać — 10.000 zł.

Za paczki pilne pobiera się podwójną opłatę taryfową.

VI. Należytości dodatkowe.

Przy nadaniu:	Obrót wewn.	Zagr. i z m. Gdańskiem
Polecenie przesyłek listowych . . . . , .	30 gr	45 gr
Zwrotne poświadczenie odbioru	25 „	50 „
Zwrotne poświadczenie wypłaty	25 „	50 „
Pisemne doniesienie na blank. PKO.	15 „	—

Przy nadaniu:	Obrót wewn.	Zagr. i z m. Gdańskiem
Za doręczenie pospieszne przesyłek	50 „	110 „
Za przesyłki listowe i przekazy poste restante. .	10 „	—
Za paczki (z wyj. żywnościowych) listy wartościowe poste restante	50 „	—
Za zarządzenie nadawcy, by go powiadomiono o niedoręczaln. paczki	50 „	—
Za nadanie przesyłki rejestrowanej lub przekazu telegraficznego poza godzinami urzędowymi .	30 „	30 „
Po nadaniu:		
Zwrotne poświadczenie odbioru	50 „	80 „
Zwrotne poświadczenie wypłaty	50 „	110 „
Zmiana adresu lub zarządzenie zwrotu przesyłki .	55 „	100 „
Reklamacja przesyłki pocztowej	50 „	100 „
Poświadczenie na zagubiony dowód nadania. . .	50 „	100 „

Przy odbiorze:

Za doręczenie przekazów poczt.-telegr. i przekazów PKO z pieniądzmi: do 50 zł — 10 gr, do 100 — 20 gr, do 500 — 40 gr, do 5000 — 60 gr.

Za doręczenie paczek do domu:

Krajowych lub zagranicznych, bez względu na miejscowość: do 5 kg — 30 gr, ponad 5 do 10 kg 40 gr, ponad 10 do 15 kg — 60 gr, ponad 15 do 20 kg — 80 gr.

Za doręczenie paczek żywnościowych, bez względu na wagę i miejscowość — 30 gr.

Za skrytki i przegródki na listy, gazety i przekazy 2 zł, na paczki — 30 zł.

Składowe za każdą paczkę: dziennie 15 gr, najwyżej jednak 5 zł, za list wartościowy — 10 gr.

Pełnomocnictwo: 2 zł.

VII. Telegramy.

Za telegramy krajowe miejscowe za każdy wyraz 5 gr + opłata zasadnicza 25 gr.

Za telegramy zamiejscowe od wyrazu 15 gr + opłata zasadnicza 25 gr.

Za telegramy zagraniczne opłata zależna od kraju przeznaczenia i drogi, oznaczona w zagranicznej taryfie telegraficznej.

PROGRAM i CEL

TOWARZYSTWA ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA

ORAZ SPOSOBY i WARUNKI

PRZY POMOCY KTÓRYCH KAŻDY MOŻE SIĘ PRZYCZYNIC DO ROZWOJU TOWARZYSTWA i JEGO ZAKŁADÓW WYCHOWAWCZYCH DLA SIERÓT i OPUSZCZONEJ MŁODZIEŻY.

Cel naszego Towarzystwa jest religijno-społeczny: praca nad udoskonaleniem własnym oraz wychowanie sierót i opuszczonej młodzieży.

Przyjmujemy do zakładów naszych:

Kandydatów na członków-zakonników Towarzystwa:

Wiek, stanowisko lub zawód są rzeczą podrzędną. Aby zostać zakonnikiem, czyli członkiem Zgromadzenia, trzeba odbyć odpowiednie studia, nowicjat i złożyć śluby zakonne. Przy wstąpieniu wymagane są następujące dokumenta

1) Metryka urodzenia i chrztu, 2) świadectwo moralności od proboszcza, 3) ostatnie świadectwo szkolne i ewentualnie świadectwo wyzwolin, względnie pracy, oraz 4) lekarskie świadectwo zdrowia.

Żyjemy odpowiednio do naszego hasła „Powściągliwość i Praca“ ubogo, na wzór włościan. Utrzymujemy się w wielkiej mierze z ofiar ludzi miłosiernych, więc niesłuszną byłoby rzeczą żyć zbytkownie za pieniądze tych, którzy żeby nas wesprzeć, nieraz sobie od ust odejmują. Nadto wychowując młodzież ubogą i ucząc ją przestawać na małym, musimy jej świecić pod tym względem przykładem, który jest w wychowaniu czynnikiem najważniejszym. Tytoniu u nas nie wolno palić.

II. Dzieci na wychowanie.

Na wychowanie przyjmujemy dzieci ubogie i opuszczone od m. w. 12-tu lat. Stałego jednak terminu przyjęcia nie naznaczamy. Dziecko biedne i opuszczone czekać nie może, więc o ile jest miejsce, przyjmuje się takowe kiedy się zgłosi.

Zakłady nasze nie są zakładami ściśle naukowymi, ale w pierwszym rzędzie zakładami wychowawczymi. Wielu jednak nas nie rozumie i wskutek tego stawia bardzo często zakładom naszym zbyt wielkie wymagania. Mimo to, wychowankowie nasi mają możność wyuczenia się różnych rzemiosł, a obok tego mogą zdobyć odpowiednie wiadomości szkolne potrzebne w obranym zawodzie. Nauki średnie i wyższe ułatwiamy tylko kandydatom na zakonników, którzy mają powołanie do stanu duchownego i którzy jako kapłani lub bracia poświęcają się pracy w duchu Towarzystwa.

Dziec .horych i moralnie zepsutych nie przyjmujemy pod żadnym warunkiem. Jest jednak gorącym naszym pragnieniem założyć osobny zakład poprawczy, aby i tych najgorszych sprowadzić na drogę cnoty. Narazie jednak ciężkie stosunki obecne nie pozwalają nam urzeczywistnić naszych zamiarów.

Do podania o przyjęcie dołączyć należy: 1) metrykę chrztu, 2) świadectwo moralności od proboszcza, 3) świadectwo ubóstwa z gminy, potwierdzone przez urząd parafialny, 4) świadectwo szkolne, o ile dziecko do szkoły uczęszczało i 5) lekarskie świadectwo zdrowia i szczepienia ospy.

U W A G A: Do wszelkich podań i korespondencji wymagających odpowiedzi w sprawie przyjęć, upraszamy dołączyć znaczek pocztowy.

Członkowie wspierający.

Wielki nasz Założyciel, śp. Ks. Bronisław Markiewicz, zakładając zakłady dla sierót i opuszczonej młodzieży, zdawał sobie dokładnie sprawę

z tego, że aby można było wychowywać dzieci opuszczone, trzeba mieć także moralne i materialne poparcie ludzi miłosiernych. W tym to celu założył Towarzystwo „Powściągliwość i Praca", pod sztandarem którego skupili się wszyscy ci, którzy głęboko zrozumieli i przejęli się jego ideą i którzy dla niej pracują; jedni jako członkowie zakonnicy w zakładach w charakterze nauczycieli, wychowawców i majstrów, — inni zaś, żyjąc na świecie, jako członkowie wspierający, pomagają zakładom moralnie i materialnie, jak kogo stać i jak kto może.

Na wspierającego członka Towarzystwa wpisać się może każdy, posyłając swój dokładny adres i ofiarę, na jaką go stać.

Od chwili przyjęcia, każdy członek otrzymuje bezpłatnie nasz miesięcznik „Powściągliwość i Praca", zaś po kilku miesiącach dyplom członkowski.

Obowiązki członków wspierających.

Obowiązkiem członków wspierających naszego Towarzystwa jest przede wszystkim przykładne życie według zasad katolickich, oraz:

a) moralne i materialne wspieranie zakładów naszych wedle sił i możności przez ofiary własne i zbieranie składek na cele Towarzystwa;
b) zjednywanie nowych członków wspierających;
c) zachęcanie pobożnej i przykładnej młodzieży do poświęcenia się życiu zakonnemu w naszym Towarzystwie w charakterze kapłanów lub braci;
d) rozpowszechnianie w swej okolicy wydawnictw (książek) i miesięcznika „Powściągliwość i Praca", organu Towarzystwa, zawierających artykuły dostosowane do religijnych i narodowych potrzeb naszego społeczeństwa, aby rozpalić w nim gorącą wiarę ojców naszych i szlachetną miłość ojczyzny, aby uświęcić życie rodzinne i zachęcić do dobrego i przykładnego wychowania dzieci;
e) zjednywanie członków majętnych, którzy by, mając ku temu możność i warunki, wspierali ofiarami i jałmużnami nasze Zgromadzenie i jego Zakłady Wychowawcze dla sierót i opuszczonej młodzieży, zaopatrywali je w aparaty religijne, utensylia szkolne, książki do nauki i biblioteki. bieliznę, odzież, obuwie (nawet używane), przyrządy do gier i zabaw dziecinnych itd.

Społeczeństwo nasze coraz żywiej interesuje się sprawą wychowania najuboższych i uznaje jej doniosłość, ale jeszcze nie w tym stopniu, jak ona tego wymaga.

Polska ma do wychowania setki tysięcy sierót, które nie mając opieki giną w haniebny sposób w nurtach wszelkiego zła i zgnilizny moralnej. Czyż nie lepiej byłoby, gdyby wszystkie te dzieci wychowywały się na chwałę Boga i pożytek Ojczyzny i zamiast przeklinać, błogosławiły swój naród, boć przecież i te wydziedziczone istoty są dziećmi jednej i tej samej Matki-Ojczyzny i mają prawo domagać się od swoich rodaków pomocy i miłosierdzia. Na to jednak trzeba ogromnych funduszów i ludzi pełnych zaparcia się i poświęcenia. Za jedno i drugie Pan Jezus sowicie zapłaci „boć coście jednemu z tych najmniejszych uczynili, mnieście uczynili".

Wszelką korespondencję w sprawach Towarzystwa upraszamy kierować pod adresem:

Towarzystwo Świętego Michała Archanioła
w Miejscu Piastowym (woj. lwowskie).

Do

P. T.

ODBIORCÓW KALENDARZA
Królowej Korony Polskiej

Bardzo uprzejmie prosimy należytość za niniejszy Kalendarz w kwocie 1·20 zł wpłacić załączonym przekazem rozrachunkowym. Kwota powyższa przyjęta będzie jako ofiara na utrzymanie tysiąca sierót, które w Zakładach naszych przebywają.

Prenumeratorów miesięcznika „Powściągliwość i Praca“

uprzejmie prosimy zaległą i bieżącą prenumeratę zapłacić również tym samym przekazem rozrachunkowym. Ofiarności litościwej Czytelników Kalendarza Królowej Korony Polskiej polecamy niniejszym Zakłady nasze. Wszelkie ofiary najmniejsze, groszowe, będą przyjęte z wielką wdzięcznością.

REDAKCJA

ZAKŁAD WYCHOWAWCZY
DLA SIERÓT i DZIECI OPUSZCZONYCH
W MIEJSCU PIASTOWYM

UTRZYMUJE I KSZTAŁCI 250 SIERÓT
Z CAŁEJ POLSKI ZUPEŁNIE BEZPŁATNIE

ŻADNYCH OPŁAT NIE POBIERA OD WYCHOWANKÓW. NIE OTRZYMUJE ŻADNYCH SUBWENCJI ANI ZASIŁKÓW. NIE MA ŻADNYCH FUNDUSZÓW ANI STAŁYCH ŹRÓDEŁ UTRZYMANIA.

NIE POSIADA ŻADNEGO MAJĄTKU, JEDYNIE 14 MORGÓW ZIEMI WŁASNEJ I UŻYTKUJE 25 HEKTARÓW ZIEMI PLEBAŃSKIEJ.

UTRZYMUJE SIĘ JEDYNIE Z PRACY WARSZTATOWEJ WYCHOWAWCÓW I WYCHOWANKÓW.

NADE WSZYSTKO ISTNIENIE SWOJE OPIERA NA OFIARNEJ POMOCY DOBRODZIEJÓW ZAKŁADU.

SZLACHETNY CZYTELNIKU!

DAJ I TY GROSZ OFIARY NA SIEROTY ZGROMADZONE W ZAKŁADZIE WYCHOWAWCZYM W MIEJSCU PIASTOWYM JAŁMUŻNA NIE ZUBOŻY, A WYJEDNA BŁOGOSŁAWIEŃSTWO BOŻE.

DYREKCJA ZAKŁADU
W MIEJSCU PIASTOWYM